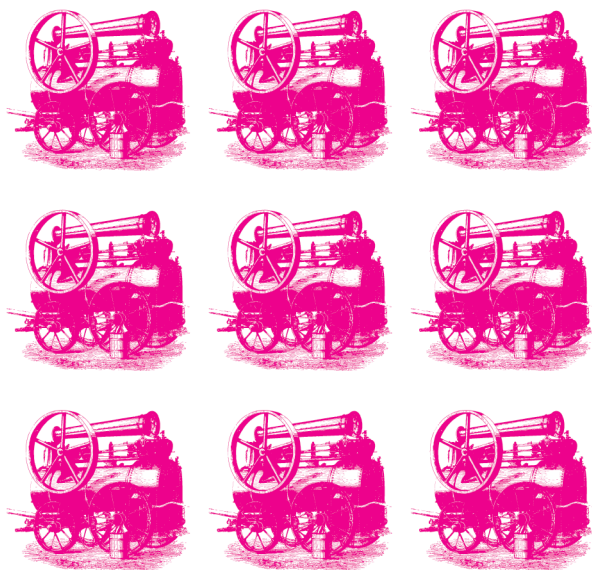
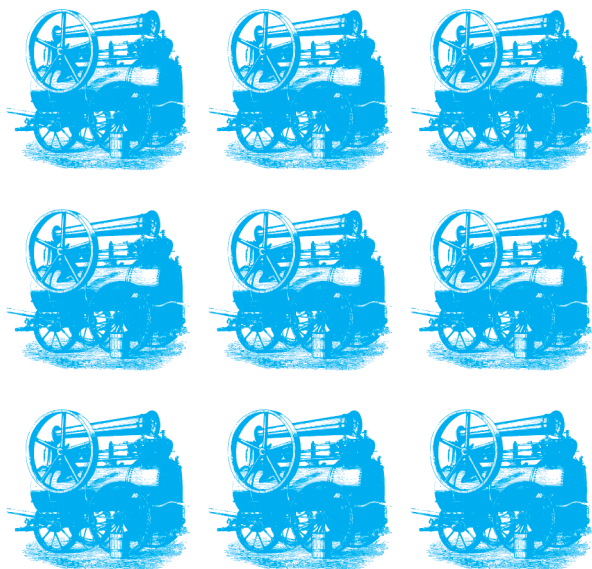




Autorzy reportaży

Piotr Bojarski

Maciej Brzeziński

Joanna Ciechanowska-Barnuś

Magdalena Hrycz

Anna Jantos

Karolina Kozłowska

Janina Kraszkiewicz

Alexander Mills

Bartłomiej Najtkowski

Łukasz Opłatek

Patryk Rzemyszkiewicz

Przemysław Semczuk

Klaudia Siekańska

Maria Sobczak

Ewa Spławska

Marcel Woźniak

Joanna Żółdkowska

WIELKOPOLSKA ORGANICZNA

Reportaże o sztuce pracy



**SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA
WIELKOPOLSKIEGO**



wielkopolska.
kultura u podstaw

Copyright © Urząd Marszałkowski Województwa Wielkopolskiego
w Poznaniu, Departament Kultury, Poznań 2019

Koncepcja warsztatów i książki: Departament Kultury Urzędu
Marszałkowskiego Województwa Wielkopolskiego

Projekt okładki: Teodor Jeske-Choiński

Wstępna redakcja: Maszyna do Pisania Magdalena Kostrzewska

Redakcja i korekta: Paulina Jeske-Choińska
Projekt graficzny i skład: Teodor Jeske-Choiński

ISBN 978-83-60782-27-9

Urząd Marszałkowski Województwa Wielkopolskiego
Departament Kultury
al. Niepodległości 34
61-714 Poznań
tel. 61 626 68 80
fax 61 626 68 81

dk.sekretariat@umww.pl
www.umww.pl
kulturaupodstaw.pl

Marcin Kącki

Pylek rzeczywistości

Rozumny egoizm — tak wyglądał początek idei pracy organicznej w pierwszej połowie XIX wieku. Różnił się od kapitalistycznej idei chciwości, bo pozytywiści uważali, że dla dobra społecznego jest ważne, by bogacili się wszyscy, a Polska rosła dostatnio w drodze ku niepodległości.

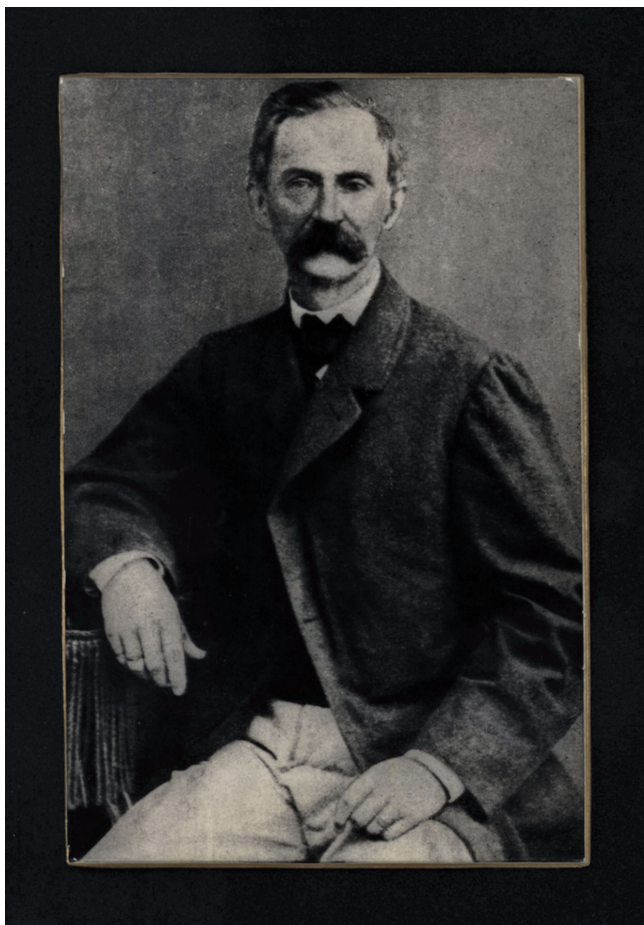
Wypuściliśmy w Wielkopolskę kilkunastu adeptów warsztatów reporterskich i reporterów, by sprawdzili owoce tej pracy. Przerzyli mrówczo archiwa, odwiedzali wioski, konfrontowali się z niechętnymi czasami rozmówcami, by starą ideę przybliżyć na nowo: po dwustu latach dobrobyt i edukacja nadal nie są powszechnym przywilejem, więc praca organiczna trwa.

„Ostatnio tak smutno było mi dziesięć lat temu, kiedy [...] organizowałam pogrzeb nieznanego mężczyzny, którego zwłoki znaleziono w lesie. Wybierałam wtedy trumnę, model Opieka”¹ — wstrząsające wyznanie pracownicy socjalnej pokazuje, że praca organiczna nie musi polegać na budowaniu wielkiego kapitału. Czasami to niewdzięczna codzienność, ale napędzana pasją, która wydaje się paliwem naszych bohaterów.

¹ Cytat z reportażu Joanny Żołądkowskiej „*Jadwiga*” w drodze.

Tak jak i wybudowany na złość zaborcom Bazar, będący siedzibą pierwszego na terenie byłej Rzeczypospolitej klubu szachowego, w którym wojna szalała przez... telegraf; albo ucieczka z miasta i uczenie dzieci w domu; albo chóralna mobilizacja piosenką czy codzienna gorycz nauczycieli, którzy po latach pracy mogą sobie pozwolić na remont pokoju w mieszkaniu babci; tak jak i zmagania księdza, który dzieciom pomoże, ale od antysemityzmu nie stroni.

To nie jest opowieść o wielkich, pomnikowych postaciach, przykrytych sztywnym gorsetem brązu, lecz o pszczołach robotnicach, często zapomnianych, dla których pasją jest codzienne zbieranie pyłku gorzkiej rzeczywistości.



Piotr Bojarski

Urodzony w Trzech Króli

➤ Hipolit Cegielski
Ze zbiorów Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk

„Młodzieniec rokujący najpiękniejszą przyszłość” — napisał o nim pruski prezes prowincji poznańskiej¹. Człowiek, który wprowadził go w zachwyt, okazał się początkiem końca pruskiego panowania w Wielkopolsce.

Ze zdjęcia, wykonanego w połowie XIX wieku, spogląda szczupły mężczyzna pod czterdziestkę, z wąsem i zaczesaną dłonią bujną grzywą. Patrzy prosto w obiektyw. Jego spojrzenie jest pewne, wręcz wyzywające. Znamionuje mocny charakter.

Miał „5 stóp 6 cali wzrostu” (ok. 160–162 centymetry), „ciało raczej chude”, a jego klatka piersiowa była „prawidłowa” — zapisał w świadectwie zdrowia doktor Karol Marcinkowski w 1845 roku².

¹ Bolesław Januszkiewicz, *Hipolit Cegielski i jego dziedzictwo*, Poznań 2006, s. 5.

² Piotr Bojarski, *Czy udało się odnaleźć grób Cegielskiego?*, https://poznan.wyborcza.pl/poznan/1,36001,13809374,Czy_udalo_sie_odnalezc_grob_Cegielskiego_.html [data dostępu: 19.10.2019].

Skromnej postury człowiek ze starej fotografii to potentat na rynku wyrobów żelaznych. Rychło okaże się mocniejszy, niż sądzili wszyscy wokół.

Krzyżyk od matki

Na początku 1813 roku w folwarku Ławki, dziewięć kilometrów od Trzemeszna, jest zapewne biało i mroźno. Gaspar Józef Hipolit Cegielski przychodzi na świat w święto Trzech Króli jako drugie dziecko Michała Cegielskiego i Józefy Cegielskiej z Palkowskich. Imiona otrzyma tydzień później podczas chrztu w drewnianym kościełku parafialnym w Kruchowie.

Michał Cegielski ma dwadzieścia dziewięć lat, o sześć więcej niż jego żona. Małżeństwem są od trzech lat. Michał dzierżawi nieduży folwark, ale nie ma szczęśliwej ręki do wiejskiej gospodarki. Ciągłe kłopoty powodują, że przyrastającą gromadką dzieci — będzie ich w sumie szóstka — zajmuje się głównie matka.

Mały Gaspar Józef Hipolit wychowuje się w parterowym dworku z drewnianym gankiem (stoi do dziś). Za domem rozciąga się pole, które kusi chłopca. „Przed oczyma [...] ściele się ziemia w różnych kolorach obsiana zieleń, obsadzona krzewiną i drzewem. Pełza się i stacza mnóstwo rozmaitych zwierzątek, a po łąkach i błoniach hasają żrebce, próbują się wołki na rogi, bełkoczą owce bez liku [...]”³ — wspomni te pierwsze lata i obrazy w 1840 roku w „Orędowniku Naukowym”.

O jego rozwój intelektualny zadba matka. Józefa Cegielska jest kobietą czytającą i rozmyśloną w poezji. To ona kieruje syna

³ Bolesław Januszkiewicz, dz. cyt., s. 4.

w 1827 roku do sześcioletniej szkoły wydziałowej w Trzemesznie. Krótko potem jednak umiera.

Po matce zostanie mu na całe życie drewniany krzyżyk. Będzie go miał w dłoniach nawet w chwili konania.

W szkole w Trzemesznie — jako człowiek niezamożny — Hipolit mieszka w alumnacie, miejscowym przytułku. Na ojca liczyć nie może. Michał Cegielski doprowadza folwark do katastrofy i niebawem musi opuścić Ławki. Tuła się później bez powodzenia po innych gospodarstwach w Wielkim Księstwie Poznańskim i Królestwie Kongresowym. Dla młodego pólseroty pobyt w Trzemesznie to twarda szkoła życia. Chłopiec często cierpi głód i chłód, a kadra szkoły stosuje kary cielesne za byle uchybienia.

Dłonie chłopca nieraz są czerwone od różgi.

Maria Magdalena

W 1830 roku Hipolit Cegielski z nieznanых przyczyn przerywa naukę w Trzemesznie i przenosi się do Poznania. W wieku siedemnastu lat rozpoczyna jesienią edukację w renomowanym Królewskim Gimnazjum Świętej Marii Magdaleny, które mieściło się wówczas przy ulicy Gołębiej. Szybko okazuje się, że — choć jeden z najbiedniejszych — jest najlepszym uczniem.

Prymus z prowincji nabiera pewności siebie i zaczyna sobie nieźle radzić, udzielając korepetycji. Szczególnie mocny czuje się w naukach humanistycznych. W szlifowaniu polskiego pomaga między innymi synowi pruskiego dowódcy garnizonu poznańskiego, generała Karla von Grolmana.

Dobre wyniki procentują — Hipolit zostaje dostrzeżony przez samego Eduarda Flottwella, prezesa prowincji poznańskiej. Gdy w 1835 roku ciężko zachoruje na febrę gastryczną, Flottwell przy-

dzieli mu pięćdziesiąt talarów zasiłku na kurację w Szczawnie (Salzbrunn). „To młodzieniec rokujący najpiękniejszą przyszłość”⁴ — napisze w uzasadnieniu wniosku o pomoc dla Cegielskiego.

Wszechstronnie uzdolniony młody Cegielski mieszka w poznańskim domu rodziny Suchorzewskich z Kostrzyna. Udziela bowiem korepetycji z matematyki trzem synom Jana Suchorzewskiego. Z czasem gospodarze zaczynają go traktować jak czwartego potomka — wszystkie wakacje spędza u nich w Kostrzynie.

W gimnazjum zaprzyjaźnia się z Marcelim Mottym — synem Jana, spolonizowanego Francuza, który uczy w szkole języka francuskiego i przyrody. W domu Marcelego poznaje trzynastoletnią wówczas siostrę kolegi, Walentynę — uczennicę Luisenschule. Młodzi szybko przypadają sobie do gustu, potem się w sobie zakochują. Pobiorą się 1 października 1841 roku w poznańskiej farze.

Do Berlina

Wrzesień 1835 roku. Cegielski składa z powodzeniem egzamin abituriencki (dojrzałości). Należy do najlepszych uczniów, podczas uroczystości zakończenia roku szkolnego doświadcza więc zaszczytu wygłoszenia mowy po łacinie. Idzie w dobre ślady — we wcześniejszych latach mowy wygłaszali inni wybitni abiturienti: Karol Marcinkowski i Karol Libelt.

Razem z Marcelim Mottym wybierają się na studia do Berlina. To wówczas ulubiony kierunek młodych Polaków z Poznania, znacznie popularniejszy niż Wrocław. Cegielski zapisuje się na wydział filologiczny ze specjalnością filologia klasyczna. Jego pomysł na życie

⁴ Tamże, s. 5.

jest czytelny: chce zostać nauczycielem. Wie też, że w poznańskich szkołach brakuje właśnie filologów.

Przychyłość samego prezesa Flottwella procentuje: podczas studiów Cegielski może liczyć na stypendium rządowe. Dorabia sobie korepetycjami, uczy między innymi księcia Augusta Sułkowskiego oraz Wandę z Radziwiłłów Czartoryską — córkę Antoniego Radziwiłła i pruskiej księżnej Luizy.

W Berlinie mieszka razem z Mottym. Nie stroni od życia towarzyskiego i zaciekłych politycznych dysput z kolegami. Intensywny tryb życia nie przystaje jednak do jego lichego zdrowia. W semestrze zimowym 1838/1839 ciężko choruje. Na nogi stawiają go dopiero połączone działania doktorów Jaffego ze Swarzędza i Karola Marcinkowskiego z Poznania, a także troskliwa opieka Suchorzewskich.

Kłopoty zdrowotne przedłużają jego studia. Kończy je w styczniu 1840 roku egzaminem doktorskim i obroną pracy *De negatione* (*O przeczeniu*). Zdaje też, choć zaskakująco słabo, egzamin nauczycielski. Wraca do Poznania, by rozejrzeć się za pracą.

Nauczyciel i przysięga

Swoje pierwsze kroki kieruje znowu do Królewskiego Gimnazjum Świętej Marii Magdaleny, lecz niskie oceny z egzaminu nauczycielskiego nie ułatwiają mu zadania. Rozważa też pracę w Lesznie. Ostatecznie przyjmują go na rok próby w Świętej Marii Magdalenie. Pracuje początkowo jako wolontariusz. Dopiero od września 1841 roku otrzymuje posadę nauczyciela pomocniczego — uczy przez czternaście godzin tygodniowo, zarabia czterysta talarów rocznie.

W gimnazjum naucza łaciny, greki, polskiego, historii i geografii. Ma dobry kontakt z uczniami. „Chłopcy mnie przyjmują dobrze” —

pisze z radością w liście do Mottego. Ciepła laurka od uczniów klasy IV b z sierpnia 1842 roku potwierdza, że to prawda.

W październiku 1841 roku Hipolit Cegielski żeni się z Walentyną z Mottych. Z tego początkowo udanego, zgodnego związku przyjdą na świat syn Stefan oraz córki Karolina i Zofia (ta druga poślubi w przyszłości Michała Bobrzyńskiego, namiestnika Galicji). Trudy porodów i kłopoty zdrowotne doprowadzą Walentynę do rozstroju nerwowego.

Na razie jednak trwa rodzinna sielanka, a Cegielski czuje się coraz pewniej jako nauczyciel i pedagog. W 1840 roku publikuje w „Orędowniku Naukowym” rozprawę *O zasadach wychowania w szkołach wyższych*. Dla potrzeb edukacji szkolnej pisze dwa podręczniki: *Gramatykę języka greckiego* i *Naukę poezji*. W tym drugim dokonuje wyboru polskiej poezji, z którego uczyć się będzie kilka pokoleń młodych Polaków z zaboru pruskiego.

W 1845 roku jest już nauczycielem mianowanym. Odbierając dokument nominacyjny, zgodnie z obowiązującą procedurą składa przysięgę wiernej służby pruskiemu królowi i jego państwu.

Niebawem pożałuje tych słów.

Krach pierwszego życia

Luty 1846 roku. W Poznaniu narasta konspiracyjne wrzenie. Uczestnik spisku przeciwko pruskiej władzy, hrabia Henryk Poniński, zdradza plan powstania Juliusowi von Minutoliemu, szefowi policji, i wyjawia mu nazwiska kierownictwa polskiej konspiracji.

W połowie lutego policja pruska ujmuje generała Ludwika Mierosławskiego i ponad siedemdziesięciu spiskowców, między innymi Karola Libelta. Mimo to konspiratorzy spod znaku Wiarusów —

tajnej organizacji rekrutującej również wśród uczniów Królewskiego Gimnazjum Świętej Marii Magdaleny — nie ustają w wysiłkach. Prowadzeni przez Władysława Niegolewskiego, chcą w nocy z 3 na 4 marca zaatakować cytadelę i uwolnić aresztowanych towarzyszy. O ich planach dowiadują się jednak policja i wojsko. Rusza fala aresztowań.

Marzec 1846 roku. W gimnazjum gorąco jak nigdy wcześniej. Radca szkolny Antoni Brettner nakazuje dyrektorowi, księdzu Jakubowi Prabuckiemu, aby ten polecił wychowawcom klas, by dokonali kontroli mieszkań i stancji uczniów podejrzewanych o udział w spisku.

Cegielski, Motty i kilku innych odmawiają. Cegielski argumentuje, że jako nauczyciel i Polak nie może wykonać tego polecenia.

Nauczyciel w Prusach to *de facto* urzędnik państwowy. Nie-subordynacja wobec władzy to najgorsze przestępstwo. Prusacy nie patyczkują się z opornymi: doktor Cegielski zostaje zawieszony w obowiązkach i rusza przeciwko niemu postępowanie dyscyplinarne. Cegielski jest zrozpaczony, chce bowiem nadal uczyć. Odwołuje się i dramatycznie argumentuje, że nie sympatyzuje z polskim ruchem spiskowym, a jedynie nie chciał być w oczach rodaków „narzędziem policyjnym”, denuncjowanie zaś uczniów „nie leżało w zakresie”⁵ jego obowiązków służbowych.

Dla władz pruskich te subtelności nie mają znaczenia. Prusacy uważają, że Cegielski złamał złożoną rok wcześniej przysięgę i moralnie wspiera konspiratorów.

Dwa odwołania do ministerstwa i wyprawa do Berlina nie dają żadnych efektów. W wieku trzydziestu trzech lat Cegielski musi pożegnać się z ukochanym zawodem.

⁵ Tamże, s. 11.

Jego dotychczasowe życie zawodowe rozpada się na kawałki jak rozbite lustro.

Feniks, czyli drugie życie

Na dnie rozpaczy Hipolit Cegielski nie pozostaje z niczym. W Poznaniu jest już znaną i cenioną postacią, której dobrze życzy wiele wpływowych osób.

Wsparcie i porady życzliwych szybko wyprowadzają Hipolita ze stanu szoku. Kluczowe okazują się rozmowy z Józefem Łukaszewiczem, wówczas dyrektorem Biblioteki Raczyńskich. Za jego namową — i dzięki jego finansowej pomocy — Cegielski porzuca raz na zawsze ambicje pedagogiczne i spogląda w kierunku handlu. Chce teraz otworzyć sklep z prostymi narzędziami rolniczymi, tak niezbędnymi wielkopolskim gospodarzom.

Wie, że w nowej branży nie ma praktyki, ale jest odważny i pilny. Mobilizuje się — jedzie na siedmioletnią praktykę w placówce handlowej Jacoba Ravenego w Berlinie. Gdy wraca do Poznania, w październiku 1846 roku otwiera w Bazarze przy ulicy Nowej (dzisiejsza Paderewskiego) skromny sklep pod szyldem Handel Żelaza.

Wybór Bazaru jest ze wszech miar trafny: budynek, wzniesiony z inicjatywy Karola Marcinkowskiego, mieści różnorakie polskie sklepy, hotel, kasyno i salę balową. Wyrasta na centrum polskiego życia publicznego w Poznaniu. I centrum poznańskich organiczyków.

Ci powtarzają jak mantrę: „Dość powstań. Najpierw praca i dobrobyt materialny, potem wolność”.

Cegielski już nie myśli o nauczaniu. Już mu nie żal, bo błyskawicznie łapie handlowego bakcyła. Nowa pasja wciąga go i uzależ-

nia. Jeździ do dużych niemieckich miast, by wiedzieć, jakie nowości pojawiają się na rynku narzędzi rolniczych — i sprowadza je do swojego sklepu. W rozwoju interesu pomagają mu czterej pracownicy handlowi zwani kupczykami.

W sklepie Cegielskiego „można było nabyć prawie wszystko — od gwoździ, klódek, sierpów i kos, do prostych maszyn rolniczych”⁶ — opisuje Bolesław Januszkiewicz w książce *Hipolit Cegielski i jego dziedzictwo*. Głównymi odbiorcami narzędzi od Cegielskiego są znani wielkopolscy ziemianie, między innymi Dezydery Chłapowski z Turwi, książę August Sułkowski z Rydzyny czy Wincenty Turno z Objezierza. Już wtedy furorę w Poznaniu zaczyna robić hasło: „Swoj do swego” — Polak kupuje u Polaka.

Interes kręci się coraz lepiej, więc Cegielski idzie krok do przodu. W 1849 lub 1850 roku w podwórzu przy ulicy Butelskiej (dzisiejsza Woźna) otwiera warsztat naprawczy narzędzi rolniczych, który stanie się zaczynem przyszłej fabryki. Wkrótce na Butelskiej Cegielski produkuje proste narzędzia rolnicze: pługi i radła, a także wozy. Zatrudnia kilkunastu rzemieślników.

Wyzwanie

Rok 1855. Cegielski nabywa „po świętej pamięci mechaniku Simonie” warsztat „fabryki machin z wszelkimi pozostałościami” i rozpoczyna „na własną rękę i na własny rachunek fabrykę machin i narzędzi rolniczych”⁷. Pierwsza fabryka Hipolita powstaje przy ulicy Koziej 7, na terenie podwórza późniejszego szpitala imienia Strusia. Z kupca Cegielski przeistacza się w fabrykanta. Czuje się

⁶ Bolesław Januszkiewicz, dz. cyt., s. 12.

⁷ Tamże, s. 14.

w nowej roli na tyle pewnie, że rzuca wyzwanie niemieckiemu przemysłowcowi Juliusowi Moegelinowi, który dwa lata wcześniej rozpoczął podobną produkcję przy ulicy Ogrodowej.

Aby mieć jakiegokolwiek szanse, Cegielski nabywa do swojej fabryki dziesięciokonną maszynę parową oraz pięć obrabiarek. Wyposaża ją też w nowoczesne narzędzia, warsztaty stolarskie i kuźnię.

Lawinowo rośnie liczba klientów byłego nauczyciela. Odbiorcami produktów Cegielskiego są nie tylko rolnicy i ziemianie z terenu Wielkiego Księstwa Poznańskiego, lecz także klienci ze Śląska, z Prus Zachodnich, Galicji i Królestwa Polskiego. Rychło powstają pierwsze składy komisowe firmy Cegielskiego w Kole, Koninie i Łowiczu. W ofercie fabryki znajduje się już sto sześć rodzajów maszyn i narzędzi! Wśród nich: brony, siedemnaście rodzajów pługów, śrutowniki, spulchniacze, drapacze, siewniki, żniwiarki, młockarnie, kieraty, młynki do czyszczenia zboża, sieczkarnie, torfiarki i pompy.

Cegielski kształci się: staje się znawcą teorii maszyn. Dbą o nowoczesny marketing. Aby podtrzymać kontakt z klientami, wydaje pierwszy fachowy podręcznik opisujący „najpraktyczniejsze” narzędzia i maszyny rolnicze, a także pierwszy katalog maszyn.

Na Koziej robi się ciasno, więc w 1858 roku przemysłowiec wprowadza swoją fabrykę poza ściśle zabudowane centrum Poznania. I znowu z pomocą idą mu życzliwi i przyjaciele. Dzięki dwudziestu tysiącom talarów kredytu, udzielonego mu przez Bazar Poznański i Macieja Mielżyńskiego, buduje nową, większą fabrykę na dwóch hektarach gruntu pomiędzy ulicami: Strzelecką, Bernardyńską (dziś: Garbary) i tak zwanym Rowem Karmelitańskim.

W nowej fabryce pracuje dziesięciokonna maszyna parowa, która porusza maszyny w warsztatach. Na placu za klasztorem Sióstr Miłosierdzia Cegielski stawia również nową odlewnię. Jej uroczyste otwarcie następuje w październiku 1859 roku.

Ojcowski kapitalista

Mieszkańcy Poznania nie mogą się nadziwić. Szyby w oknach kamienic drżą, gdy brukowanymi ulicami miasta suną potężne, napędzane parą maszyny. To doktor Cegielski testuje swoje nowe produkty — najczęściej na trasie od dziedzińca zakładu na ulicy Rybaki, przez Strzelecką, Podgórną, Berlińską do teatru i z powrotem...

Nowa fabryka Cegielskiego przy Strzeleckiej jest jednym z pierwszych polskich nowoczesnych zakładów w zaborze pruskim. Daje zatrudnienie blisko tysiącu pracowników, ale z pracy w niej żyje około czterech tysięcy poznaniaków. To trzy procent mieszkańców ówczesnego Poznania! Cegielski traktuje swoich podwładnych po ojcowsku. Zatrudnia na fabrycznym etacie doktora Teofila Kaczanowskiego, naczelnego lekarza szpitala miejskiego, który dba o dobrą kondycję robotników.

W modernizujących się majątkach ziemskich rośnie zapotrzebowanie na silniki parowe. Cegielski o tym wie, dlatego już w 1860 roku zaczyna budować lokomobile. Wyroby fabryki Cegielskiego idą jak ciepłe bułki również poza Wielkim Księstwem Poznańskim, między innymi w Warszawie, Kaliszu, Płocku, a także na wielkim rynku rosyjskim: w Moskwie, Petersburgu i Rydze. Powodzenie firmy pomnaża bogactwo Cegielskiego. Rzeczoznawcy szacują, że u schyłku życia wartość jego majątku wynosi ponad osiemset siedemdziesiąt cztery tysiące marek.

„Lepiej go dociąć”

Mimo handlowego szafu nadal ciągnie wilka do lasu. Dar publicystyczny nie pozwala Cegielskiemu milczeć. Wiosna Ludów, która wstrząsa Poznańskiem w 1848 roku, nie pozostawia przemysłowca

obojętnym, tym bardziej że w obawie o rozprzestrzenienie się powstania władze pruskie zakazują jego firmie swobodnej sprzedaży kos — podstawowego uzbrojenia powstańców.

On sam walczy na słowa. Od marca wraz z Walentym Stefańskim, poznańskim drukarzem i księgarzem, wydaje „Gazetę Polską” — pierwszy niezależny polski dziennik w Poznaniu. Pismo przetrwa raptem dwa lata, ale zdoła wyrobić sobie markę głównego forum Polaków, którym marzy się modernizacja.

„Kto się od narodu swego dobrowolnie odrywa, kto dobrowolnie zostaje na zewnątrz narodowego życia, wspólnej pracy nie pełni, obowiązku nad sobą nie uznaje — ten jest obumarłym członkiem — lepiej go dociąć, by się choroba dalej nie szerzyła [...]”⁸ — pisze na łamach „Gazety” po upadku zrywu. I dodaje, że tylko w „narodowym życiu” każdy Polak znajdzie „wartość i znaczenie swoje”⁹.

„Jesteśmy członkami zgnębnionego narodu, nasze życie jest ciągłą względem niego powinnością, a jego zbawienie jest naszą *lex suprema* [łac. prawem najwyższym — przyp. red.]!”¹⁰ — nawołuje. Szansy narodu na odrodzenie upatruje właśnie w rozniecaniu obowiązku wobec ojczyzny wśród wszystkich rodaków, w poświęceniu i służbie dla narodu.

Rozumie znaczenie wolnej prasy. W 1859 roku zainicjuje powstanie „Dziennika Polskiego”, pomoże też w zawiązaniu „Gońca Polskiego”.

⁸ Hipolit Cegielski, *Obowiązek*, „Gazeta Polska” nr 143, 13 września 1848. Cyt. za: Marek Rezler, *Nie tylko orężem. Bohaterowie wielkopolskiej drogi do niepodległości*, Poznań 2013, s. 109.

⁹ Tamże.

¹⁰ Tamże, s. 110.

Sam był w młodości beneficjentem stypendiów, angażuje się więc w akcję wspierania ubogich polskich uczniów, prowadzoną przez Towarzystwo Naukowej Pomocy dla Młodzieży Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Choć jest wierzącym i praktykującym katolikiem, sprzeciwia się próbie wprowadzenia kontroli życia religijnego stypendystów.

— Nie wolno wnikać w tak delikatne sprawy młodego człowieka — argumentuje.

Wszędzie go pełno. Pomaga poznańskim sierotom, peroruje jako rajca na forum rady miejskiej. W końcu zostaje wiceprezesem Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. W Poznaniu staje się równie znany i sławny jak wcześniej „doktor Marcin” — Karol Marcinkowski.

Willa bez ukochanej

Lata pięćdziesiąte XIX wieku to najlepszy okres w jego życiu. Niestety, żona Walentyna coraz bardziej słabuje na zdrowiu. Nie pomagają częste wyjazdy lecznicze w góry i nad morze. W czerwcu 1859 roku Cegielskiego dopada rodzinna tragedia. Jego znerwicowana, często popadająca w melancholię żona odchodzi; przedwcześnie, w wieku zaledwie trzydziestu sześciu lat. Być może to skutek trzeciego porodu — Walentyna umiera dwa miesiące po narodzinach drugiej córki.

Dla Cegielskiego to prawdziwy cios. W wychowaniu dzieci pomaga mu teściowa Apolonia Motty. To dzięki niej wdowiec z wolna dochodzi do siebie. W listach do syna poucza go, by szanował i kochał babcię.

W latach 1861–1862 Cegielski buduje dom na zwolnionym terenie po dawnym zakładzie przy ulicy Koziej. Włoska willa nie cieszy go jednak, gdy brak w niej jego ukochanej.

Do Walentyny

Listopad 1868 roku jest mglisty, dżdżysty i zimny. Cegielski osobiście dogląda montażu gazomierza dla gazowni miejskiej przy Grobli. Ubiera się ostatnio mało starannie, nie ma kto o niego zadbać. Z zimna czuje dreszcze, ale lekceważy je. Ból gardła i katar przeradzają się w ostre przeziębienie. Choroba postępuje szybko i bezlitośnie — zapalenie płuc!

Na to nie ma ratunku.

Hipolit Cegielski umiera 30 listopada 1868 roku w wieku pięćdziesięciu pięciu lat.

Podczas jego pogrzebu idą zgodnie obok siebie Polacy i Niemcy.

— Był tytanem pracy — mówi nad mogiłą Leon Śmitkowski, wiceprezes Towarzystwa Przemysłowego.

Zamiast przypisu

Poznaniacy chowają go na cmentarzu parafii Świętego Marcina przy ulicy Towarowej. Jego grób przetrwa siedemdziesiąt lat. Zostanie zniszczony podczas prac budowlanych, przeprowadzonych przez niemieckich okupantów na cmentarzu w latach 1941–1942. Poszukiwania szczątków, podjęte w dwusetlecie urodzin Cegielskiego, na cmentarzu przy ulicy Samotnej na poznańskim Dębcu (gdzie być może trafiły w czasie okupacji) nie przyniosą pozytywnych rezultatów.

W 1919 roku spółka akcyjna Cegielski wykupi tereny po upadłej firmie Moegelina na Wildzie, dając początek znanym do dziś zakładom Cegielskiego. W czerwcu 1956 roku tysiące robotników z zakładów Cegielskiego — przejściowo zwanych Zakładami imienia Józefa Stalina — wyjdą na ulice, by upomnieć się o godność u komunistycznych władców PRL.

W styczniu 1920 roku imię Hipolita Cegielskiego nadane zostanie dawnej, krótkiej ulicy Pastalozziego. Na pomnik słynny poznański przedsiębiorca będzie musiał poczekać niemal kolejne sto lat. Stanie na cokole, tuż obok koła parowego, u zbiegu Podgórznej i Świętego Marcina.

Bibliografia

Bojarski Piotr, *Czy udało się odnaleźć grób Cegielskiego?*, https://poznan.wyborcza.pl/poznan/1,36001,13809374,Czy_udalo_sie_odnalezc_grob_Cegielskiego_.html [data dostępu: 19.10.2019].

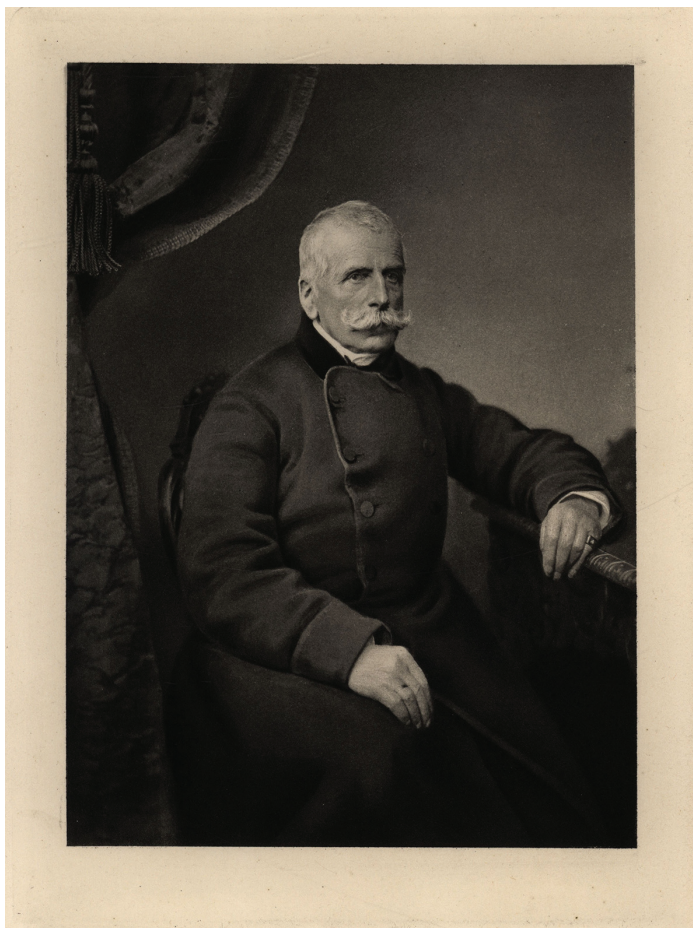
Grot Zdzisław, *Hipolit Cegielski*, Poznań 2000.

Januszkiewicz Bolesław, *Hipolit Cegielski i jego dziedzictwo*, Poznań 2006.

Rezler Marek, *Hipolit Cegielski*, Poznań 2000.

Rezler Marek, *Nie tylko orężem. Bohaterowie wielkopolskiej drogi do niepodległości*, Poznań 2013.

Rezler Marek, *Wielkopole pod bronią 1768–1921*, Poznań 2011.



Maciej Brzeziński
Trzej mocarze

➤ Dezydery Chłapowski
Ze zbiorów Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk

Szable i konie zamienili na pług i pióro. Klęska powstania zmieniła ich bezpowrotnie — i pokazała drogę ku zwycięstwu.

Rok 1831. Jesienne słońce kryje się za drzewami. Świeżo mianowany dowódca powstania na Litwie, generał Dezydery Chłapowski herbu Dryja, przechadza się pomiędzy grupami rannych, zmęczonych i obdartych żołnierzy. W ich oczach widzi klęskę i zwątpienie.

Wiara i kres

Chłapowski poszedł do powstania, bo wierzył w zwycięstwo. Szczerze ufał, że jego wieloletnie doświadczenie bojowe przyda się powstańcom.

„Wyjazd mój, opuszczenie kochanej żony i dzieci, nie było spowodowane żadną namową, żadnym przykładem, ale było skutkiem surowej rozważy” — wspominał w swoich pamiętnikach *Wojna 1830–1831 roku*. I dalej napisał: „Miałem już lat 43, przeszedłem

różne koleje. Wiadomości moje wojskowe, całe życie zbierane, i doświadczenie, wskazywały mi możliwość walki i zwycięstwa. Ambicja osobista żadnego wpływu w tym kroku nie miała. Jeśli kiedyś w młodości mojej ambicja i chęć wywyższenia się mną jakiś czas powodowała, uprzątnięta już dawno była. Miejsce jej zajęła chęć wypełnienia mojej powinności. Za najświętszą miałem, być użytecznym moim rodakom. Użyteczniejszym być nie można, jak przyczynić się do odrodzenia naszej ojczyzny”¹.

Wojak-ziemianin, właściciel nowocześnie zorganizowanego majątku w Turwi, ma już spore doświadczenie bojowe. Walczył u boku Napoleona od 1806 do 1813 roku, uzupełniając wiedzę wojskową pomiędzy kolejnymi kampaniami. Pewnie popłynąłby z cesarzem na Elbę albo nawet na Wyspę Świętej Heleny, gdyby ten nie zaproponował carowi Aleksandrowi I Królestwa Warszawskiego w zamian za pokój. Chłapowski dowiedział się o tajnych negocjacjach i podziękował cesarzowi za służbę jeszcze przed bitwą pod Lipskiem. Pamiętliwi rodacy ciągle mu to wypominali.

Właśnie podjął najtrudniejszą decyzję w swoim życiu. Walka się kończy, dalsze rozlewanie cennej żołnierskiej krwi zdaje się bezcelowe. Pozostaje jedynie liczyć na łaskę króla Prus Fryderyka Wilhelma III. Dezydery jest pruskim poddanym, dołączając do powstania, świadomie złamał prawo. Zaryzykował. Wie, że grozi mu konfiskata dóbr, a nawet pobyt w twierdzy. Wielu żołnierzy, którymi dowodzi, służyło w armii Królestwa Polskiego, na której czele stał wielki książę Konstanty Pawłowicz. Prywatnie to szwagier Chłapowskiego. Choć ich żony są siostrami, Chłapowski i książę to zawzięci wrogowie.

¹ Dezydery Chłapowski, *Pamiętniki, część II. Wojna roku 1830–1831*, Poznań 1899, s. 2.

General i adiutant

Adiutantem jest Gustaw Potworowski, oficer dwanaście lat młodszy od generała. Ten mężczyzna o skupionym, nieco smutnym spojrzeniu potrafi zjednywać sobie ludzi i wzbudzać powszechny szacunek. Urodził się w 1800 roku, gdy wolnej Polski już nie było. On także wierzył w zwycięstwo. Pewnie zazdrościł tym, którzy mieli okazję walczyć w czasach Napoleona. Przypadł do gustu Chłapowskiemu i ten mianował go swoim adiutantem. Teraz razem złożą broń na ręce przedstawicieli króla pruskiego.

Różni ich nie tylko wiek. Chłapowski to gorliwy katolik, syn utracjusza i libertyna. Potworowski zaś pochodzi z dobrej rodziny kalwińskiej. Religii reformowanej pozostanie wierny do końca życia.

General decyduje się na przekroczenie granicy pruskiej i internowanie w Kłajpedzie. Adiutant tymczasem nie zamierza czekać na decyzję króla pruskiego i tkwić beczynn timer w obozie internowania. Chłapowski jako dowódca musi pozostać z żołnierzami, ale Potworowskiego to nie dotyczy. Postanawia uciec z internowania i wrócić w rodzinne strony, do Goli koło Gostynia. Chce zająć się majątkiem.

Represje, które na niego spadają — konfiskata majątku i pół roku więzienia — szybko zostają anulowane. Fryderyk Wilhelm III okazał mu swą łaskę, choć Potworowski o nią nie prosił. Szybko rzuca się w wir pracy. Na trwałe wyzbywa się wszelkich mrzonek o wyzwoleniu Polski drogą zbrojnego powstania, przynajmniej w obecnej chwili. Teraz trzeba zająć się pracą społeczną.

Do tego wniosku dochodzi nie tylko w wyniku klęski powstania — to przede wszystkim wpływ Karola Marcinkowskiego. „Doktor Marcin”, rówieśnik Potworowskiego, to już żywa legenda. Jest jednym z najlepiej zarabiających lekarzy w Poznaniu, a większość pieniędzy przekazuje na pomoc ubogim i inne cele społeczne. Biednych leczy za darmo, bogaci muszą płacić. Pod wpływem dotych-

czasowych doświadczeń doktor dochodzi do wniosku, że tylko zrzeszanie się, praca, rozwój handlu i rzemiosła, edukacja i kurczowe trzymanie się ziemi mogą zapewnić Polakom przetrwanie. Z Potworowskim znają się z czasów studiów w Berlinie. Podczas powstania ich znajomość przeradza się w przyjaźń, bo Marcinowski służy w oddziale Chłapowskiego. To właśnie młody doktor leczy Potworowskiego, kiedy ten zostaje ranny w bitwie pod Hajnowszczyzną.

Pierwsza połowa życia Potworowskiego to walka. Druga upłynie pod znakiem pracy organicznej.

Dyplomata mimo woli

W tym samym czasie, wiele mil od granicy prusko-litewskiej, w stolicy Prus, Berlinie, do powrotu w rodzinne strony szykuje się wielkopolski arystokrata Edward Raczyński. Nie przypomina typowego wielmoży swoich czasów. Skromny frak i włosy w lekkim nieładzie wskazują na człowieka, który nie bardzo dba o swą prezencję. Wzrok Raczyńskiego jest jakby nieobecny i hrabia sprawia wrażenie wiecznie roztargnionego.

Urodził się w 1786 roku, a więc jest starszy od Chłapowskiego i Potworowskiego. Wybuch powstania w końcu listopada 1830 roku zastał go w Warszawie. Mimo granic, które podzieliły dawną Rzeczpospolitą, arystokracja polska nadal uważała Warszawę za stolicę Polski i w okresie jesienno-zimowym zjeżdżano do niej na bale, rauty i wzajemne wizyty. Tak było również z Raczyńskim i jego żoną Konstancją. Kiedy wybuchło powstanie, Raczyńscy zdecydowali się opuścić Warszawę, gdyż hrabia czuje wstręt do wszelkich buntów i rewolucji. Nawet do tych, które za cel stawiają odzyskanie przez Polaków niepodległości. Zanim jednak opuści stolicę,

odda swój warszawski pałac na szpital wojskowy, a Konstancja, równie jak jej mąż nienawidząca rewolucji, przekaże znaczną sumę pieniędzy na rzecz powstańców.

Edward wyjeżdża do Berlina. W związku z tym księżę Adam Jerzy Czartoryski usiłuje powierzyć mu nieoficjalną funkcję ambasadora rządu powstańczego przy królu Prus. Raczyński wymawia się jednak od tego zaszczytu. Tłumaczy, że powstanie to błąd i nie ma żadnych szans.

Pozostając w Berlinie do upadku powstania, przekazuje do Warszawy wiele informacji zasłyszanych na berlińskich salonach. Usiłuje też wpłynąć na rząd pruski w sprawie złagodzenia represji, jakie spadają na powstańców wywodzących się z zaboru pruskiego.

Bez powodzenia.

Po powstaniu

Listopadowy zryw łączy tę trójkę, choć każdy z nich przeżyje go inaczej. Chłapowski walczy, bo chce być potrzebny. Potworowski walczy, bo czuje, że tak trzeba. Raczyński nie walczy, ale jedzie do Berlina z polecenia rządu warszawskiego, choć wcale nie musi.

Po upadku powstania Raczyński utwierdza się tylko w swoich przekonaniach. Chłapowski przestał wierzyć w skuteczność takiej walki z zaborcą. Obaj przeszli podobną drogę życiową. Potworowski jest od nich młodszy, epopeję napoleońską ledwie pamięta i dopiero udział z listopadowej insurekcji zmienia jego pogląd na sposób odzyskania niepodległości.

Przegrane powstanie przemienia każdego z nich. Wszyscy trzej są zgodni co do tego, że walka zbrojna w obecnych warunkach nie ma sensu i trzeba działać inaczej niż szablą. Niepodległość to pieśń przyszłości. Najpierw trzeba po prostu przetrwać.

W Turwi Chłapowskich

Dziesięć lat później w wielkopolskiej Turwi zmęczony Chłapowski w starym wojskowym płaszczu narzuconym na ramiona siedzi przed swoim pałacem, przeglądając najnowszy numer „Gazety Wielkiego Księstwa Poznańskiego”. Włosy i sumiasty wąs przyprószyła już siwizna. Ogorzała twarz wskazuje, że mężczyzna więcej czasu spędza na powietrzu niż w zaciszu własnego domu. Gazetowe litery przelatują mu przed oczami, nie widzi treści, jakie się za nimi kryją. Chłapowski spogląda fronton pałacu. Niegdyś kazał zdjąć z niego Dryję, rodowy herb, aby zawiesić w jego miejscu zegar, który ma przypominać domownikom, że czas to pieniądz. I że upływającego czasu nie da się zatrzymać. Zamiana herbu na zegar wywołała irytację ojca Dezyderego, ale generał postawił na swoim.

Będzie już tak zawsze.

Czas mija nieubłagane — myśli generał. Wydawałoby się, że ledwie wczoraj do spokojnej Turwi dotarła wiadomość o rozbiciu w proch niepokonanej dotąd armii pruskiej. Sprawcą tej niesłychanej sztuki był cesarz Francuzów: niepozorny, ale niezwykle groźny gracz na arenie międzynarodowej, Napoleon Bonaparte. Generał Dąbrowski, który przybył tu przed Francuzami, wezwał Polaków do broni.

Przed oczami Dezyderego znowu stają jak żywe obrazy z tych gorących, jesiennych dni roku 1806. Pamięta je doskonale. Tamto poruszenie w całym powiecie. Od dworu do dworu biegali posłańcy, wymieniający się wieściami, plotkami i obawami.

— Nie można zmarnować takiej okazji — mówi Józef Chłapowski, ojciec Dezyderego i starosta kościański. — Zbieraj się, Dezydery! Pojedziesz do Poznania i wstąpisz do gwardii honorowej Napoleona. Niech nikt nie waży się mówić, że Chłapowscy są tchórze i kunktatorzy.

Poszedł, a wraz z nim i inni. Do gwardii dołączył także dziedzic Rogalina, Edward Raczyński. Młodego Chłapowskiego nie zabra-

kło na polach bitew. Spodobał się Napoleonowi, który mianował go swoim adiutantem.

Napoleon jednak przegrał, a Chłapowski musi żyć dalej. Wrócił więc do Turwi. Teraz jednak zaczęła się dla niego walka stokroć cięższa — walka o ratowanie zrujnowanego przez ojca-utrącusza majątku. Jedynie bolesne reformy mogą ocalić dziedzictwo Chłapowskich. A jeśli zapoznać się z nowoczesnymi metodami gospodarowania, to tylko od Anglików.

W kraju dzentelmenów Chłapowski pilnie uczy się hodowli, staje za pługiem i siewie. Kiedy już nauczy się wszystkiego, wraca do kraju. Nakazuje obsadzać drzewami miedze pomiędzy polami, zadrzewiać nieużytki, sprowadzić nowe rasy bydła i owiec. Sąsiedzi kręcą głowami, a pułkownik Chłapowski staje się obiektem żartów sąsiadów. Ale trud się opłaca. Długi zostają spłacone, majątek uratowany, a nowoczesna gospodarka zaczyna przynosić zyski. Sąsiedzi przestają drwić — zamiast tego zaczynają naśladować metody Chłapowskiego i posyłać mu synów na naukę.

Nadchodzi jednak rok 1830. W Warszawie wybucha powstanie. Dezydery Chłapowski się nie waha. Poczucie obowiązku bierze górę nad rozsądkiem. Po kilku miesiącach, już jako generał, wraca do Turwi. Jednakże jako poddany pruski złamał prawo. Jego majątek więc podlega sekwestrowi, a sam Chłapowski ląduje w twierdzy szczecińskiej. Musi odpokutować za ostatni poryw serca.

Twórca Kasyna

Rok 1841. W zacisznym gabinecie pałacu w Goli, należącym od kilkudziesięciu lat do kalwińskiego rodu Potworowskich, za solidnym, dębowym, bogato zdobionym biurkiem siedzi Gustaw, głowa rodu.

Rachunki, rachunki, nic, tylko rachunki — myśli, pochylając się nad stertą papierów. Nawet nie zauważa, kiedy służąca przynosi mu popołudniową kawę.

Na jednej stercie leżą rachunki za dostawy wełny i zboża z majątku Potworowskich, z których rodzina ma duże zyski. Drugą piramidę tworzą sprawozdania i inna korespondencja związana z działalnością Kasyna Gostyńskiego, które założył sześć lat wcześniej. Trzeci stos dokumentów to papiery związane z powstającym właśnie Towarzystwem Naukowej Pomocy, które powołał do życia Karol Marcinkowski, ale dziedzic Goli jest jednym z jego głównych współpracowników w tym dziele.

Potworowski, gorliwy wyznawca chrześcijaństwa reformowanego, wierzy w moc pracy jako głównego zadania ludzi podczas ziemskiej wędrówki. Pomyślność materialna to dla niego dowód Bożego błogosławieństwa. Dziesięć lat temu wrócił z Królestwa Polskiego, w którym walczył w szeregach Pułku Jazdy Ochotników Poznańskich. Były adiutant generała Chłapowskiego i pracowity gospodarz nie miał czasu dumać nad klęską walki powstańczej, pozostawiając to skłóconej emigracji polskiej w Paryżu i Londynie. Zamiast tego zabiera się do pracy.

Czas najwyższy, bo polskie majątki w zaborze pruskim są zagrożone. Wraz z ich upadkiem i przejęciem ziemi przez Prusaków akcja germanizacji ziem nadwarciańskich mogła zakończyć się powodzeniem, do czego dążył naczelny prezes prowincji, Edward Flottwell. Wraz z grupą ziemian i inteligencji ziemi gostyńskiej i krobskiej Potworowskiemu udaje się założyć Kasyno w Gostyniu.

Celem organizacji ma być rozwijanie i propagowanie nowych metod gospodarowania. Oprócz dyskusji nad modernizacją rolnictwa i przemysłu rusza praca nad podniesieniem stanu oświaty ludowej, do czego namawiają księża, zaangażowani w pracę Kasyna. Wśród jego członków są także młodzi, dobrze wykształceni ludzie, którzy

domagają się dyskusji nad rozwojem działalności naukowej i literackiej. I tak Kasyno, które miało być klubem towarzyskim i forum do dyskusji nad ratowaniem majątków polskich w zaborze pruskim, zmienia się w potężną organizację.

Gustaw jest dumny ze swego dzieła, a najbardziej z periodyku „Przewodnik Rolniczo-Przemysłowy”, który wydaje Kasyno — podobnie jak polskie książki. Źródłem finansowania działalności Kasyna są składki członkowskie oraz fundusze gromadzone podczas balów, przedstawień i koncertów.

Nie tylko Kasynem żyje Potworowski. Wraz z Marcinkowskim zakładają Bazar Poznański, pracują też nad stworzeniem Towarzystwa Naukowej Pomocy. Ta nowa organizacja, pomysł Marcinkowskiego, ma zajmować się gromadzeniem środków, które planowano przeznaczyć na kształcenie zdolnej, acz ubogiej młodzieży męskiej.

Trzeba będzie sięgnąć do kieszeni szlachty i co bogatszych mieszczan — rozmyśla nad rachunkami Potworowski. I zaraz przypomina sobie hrabiego Edwarda Raczyńskiego. Z tego, co wiadomo Potworowskiemu, to dziwak i ekscentryk. Hrabia niewiele przeznacza na swoje potrzeby, a większość pieniędzy wydaje na cele społeczne.

Dziedzic Goli zna Raczyńskiego. Kilkakrotnie bywał u niego w Rogalinie i w założonej kilka lat temu bibliotece poznańskiej. Trzeba go zainteresować projektem Marcinkowskiego — postanawia.

Samotnik z Rogalina

Rok 1841. Do małej sali w poznańskim gmachu Biblioteki Raczyńskich, przypominającym wschodnią fasadę Luwru, dochodzi gwar z tłoczego w godzinach wczesnopopołudniowych placu Wilhelma. W niczym nie przeszkadza to jednak hrabiemu Edwardowi Raczyńskiemu, pochylonemu nad okazałym piętnastowiecznym ma-

manuskrytem — psalterzem. Dokument, bogato zdobiony miniaturami scen biblijnych, to zbiór psalmów, przepisanych przez pracujących mnichów benedyktyńskich z klasztoru w Lubiniu, skasowanego pięć lat wcześniej z nakazu władz pruskich. Psalterz ów był jednym z kilkuset kodeksów z bogatej biblioteki klasztornej, które udało się Raczyńskiemu ocalić dla przyszłych pokoleń.

Hrabia nie żałuje pieniędzy na rzecz kultury narodowej. Wie o tym Józef Łukaszewicz, pierwszy dyrektor Biblioteki założonej w 1829 roku, który przed chwilą przyniósł hrabiemu ów bardzo cenny manuskrypt.

Raczyński, który obcowanie z księgami przedkłada nad kontakty z ludźmi, nie kryje zadowolenia. Wie jednak, że mimo ogromnego trudu nie ocali wszystkich bibliotek klasztornych w Wielkopolsce, odkąd kilka lat temu Prusacy przeprowadzili wielką akcję likwidacji tutejszych klasztorów. Dobrze, że choć część z nich trafi do jego biblioteki i będzie służyła kolejnym generacjom Polaków.

Polacy — rozmyśla przez chwilę hrabia — jakiz to dziwny naród. W chwilach tragicznych potrafią się zjednoczyć i walczyć o wspólną sprawę, jak choćby w powstaniu sprzed dziesięciu lat, ale kiedy pył bitewny opadnie, natychmiast zapominają o wszystkim i zwalczają siebie nawzajem. Kiedy zaś chcesz coś dla nich zrobić, oni najpierw dopatrywać się będą w tym prywaty czy zgoła działania na ich szkodę, a dopiero potem to docenią. Sam od lat spotyka się z oskarżeniami i oszczerstwami, mimo że sfinansował nowoczesne wodociągi w Poznaniu oraz ofiarował na rzecz rodaków bogate zbiory książkowe, zbierane przez jego przodków. Można z nich teraz korzystać bez ograniczeń w pierwszej bibliotece publicznej, ufundowanej przez hrabiego.

Od lat wydaje też źródła do dziejów Polski i zabytki staropolskiej literatury, aby te nie zginęły w pomroce dziejów. Dopiero co przekazał ogromne sumy na rzecz budowanej właśnie kaplicy gro-

bowej pierwszych władców Polski w katedrze poznańskiej, którą współprojektował. To on wymyślił, aby nawiązywała do kaplic bizantyjskich z elementami sztuki ottońskiej i normandzkiej. Taki styl, jego zdaniem, bardziej odpowiada czasom chrztu Polski i osobom Mieszka I i Bolesława Chrobrego. Głównym elementem kaplicy będą masywne posągi pierwszych władców państwa polskiego. Prusacy bowiem za żadne skarby nie zgodzili się na to, aby pomniki te stały na wolnym powietrzu.

Com otrzymał w zamian? — rozmyśla Raczyński z goryczą. — Kalumnie i zarzuty, że nie robię tego dla narodu, tylko ku chwale swojej i swej rodziny. Coraz trudniej znieść mi te słowa pogardy i nienawiści...

Od dawna uważany jest za dziwaka. Kiedy w 1806 roku do Wielkopolski wkroczył Napoleon, Raczyński wraz z Chłapowskim wstąpił do jego gwardii honorowej. Później była walka z Prusami i Austrią, jednak wojna nie była żywiołem hrabiego, zrezygnował więc z kariery wojskowej. Podczas gdy młodzi arystokraci wybierali Paryż, Londyn i Rzym na cele swych podróży edukacyjnych, młody Edward wołał Laponię, a później Grecję czy Turcję, gdzie bez powodzenia szukał ruin Troi z egzemplarzem *Iliady* Homera w rękach. Dopiero za kilkadziesiąt lat uda się to Heinrichowi Schliemannowi.

Raczyński nie odnalazł co prawda ruin Troi, ale przejeżdżając przez majątki Potockich na Ukrainie, odnalazł miłość swojego życia — żonę Konstancję.

Kiedy wybucha powstanie listopadowe, Raczyński odmawia udziału. Ofiarowuje jednak swój warszawski pałac na szpital i wyjeżdża do Berlina z nieudaną misją dyplomatyczną, zleconą mu przez rząd powstańczy.

Do dziś wielu zarzuca mi tchórzostwo i brak patriotyzmu, ale dla mnie wszelka rewolucja była i jest zgubą — myśli nad manuskryptem.

Najważniejsza dla samotnika z Rogalina jest walka o dziedzictwo i kulturę narodową. O dokumenty takie jak ten przed nim. Mimo prośb Karola Marcinkowskiego, Gustawa Potworowskiego i braci Mielżyńskich hrabia nie zdecydował się dołączyć do spółki Bazaru Poznańskiego. Handel, przemysł i rozwój rolnictwa nie interesują go w takim stopniu jak biblioteka, działalność wydawnicza i edytorska. Jedni to rozumieją i — jak Karol Marcinkowski — szanują. Dla innych Raczyński jest dziwakiem dbającym tylko o chwałę swojego rodu.

Hrabia nie jest człowiekiem ze szkła, które łatwo rozbić, ale tylko najbliżsi wiedzą, jak bardzo dotykają go oskarżenia i niechęć części Polaków.

Strzał na wyspie

Ataki na Raczyńskiego mnożą się i powtarzają. Po Poznaniu krąży niewybredne wierszyki uderzające w hrabiego. Poznaniacy zapomnieli już o jego zasługach dla miasta, nawet o nadanym mu przez nich w 1834 roku honorowym obywatelstwie. Zwolennicy pracy organicznej zarzucają arystokracie niechęć do pracy zespołowej i brak zaangażowania w projekt budowy Bazaru Poznańskiego.

Oliwy do ognia dolewa decyzja hrabiego o ufundowaniu pomników Mieszka I i Bolesława Chrobrego do złotej kaplicy w katedrze poznańskiej. Raczyński zleca wyrycie na nich napisu informującego o swojej fundacji. Gdy ataki przybierają na sile, nie jest już w stanie tego znieść.

Wczesnym rankiem 20 stycznia 1845 roku każe się zawieźć przez skute lodem jezioro na wyspę w Zaniemyślu. Wyjątkowo silny mróz trzyma od wielu dni, wszędzie leży gruba warstwa śniegu. Życzenie to nie jest dla służby zaskoczeniem — Raczyński uwielbia strzelać na

wyspie z działu zwanego wiwatówką. Hrabia dociera do pokrytego białym puchem domku w stylu szwajcarskim. Odprawia stangreta. Kilkanaście minut później zwolniony służący słyszy w oddali armatni strzał... Rozerwane kulą ciało hrabiego Edwarda Raczyńskiego odnajdą po kilku godzinach.

Posel, dyrektor, dziedzic

Pięćdziesiąta rocznica urodzin Gustawa Potworowskiego jest obchodzona hucznie, ale sam jubilat nie ma czasu na długie świętowanie. Cztery lata wcześniej przeżył dwie tragedie, które położyły się cieniem na jego życiu. Najpierw zmarł jego przyjaciel i współpracownik Karol Marcinkowski, a później, w obliczu nieudanej próby wywołania trójjaborowego powstania w Poznaniu, władze pruskie rozwiązały Kasyno Gostyńskie.

Potworowski uznaje, że dzieło Marcinkowskiego nie może umrzeć wraz z nim. Staje więc na czele Towarzystwa Naukowej Pomocy, które po zdławieniu Wiosny Ludów w Wielkopolsce popada w kłopoty finansowe i organizacyjne. Jakby tego było mało, były adiutant zabiera się do tworzenia powiatowych towarzystw rolniczych i do polityki. Zostaje posłem do parlamentu pruskiego, organizuje w nim Koło Polskie i angażuje się w działalność Ligi Polskiej.

Dziesięć lat później. Na 20 listopada zaplanowano uroczysty obiad dla polskich posłów zasiadających w pruskim parlamencie. Honorowym gościem ma być prezes Koła Polskiego, Gustaw Potworowski. Wszyscy zaproszeni już się zbierają. Wesoly, a zarazem podniosły gwar w Bazarze Poznańskim przerywa smutna informacja — gość honorowy nie przybędzie. Gustaw Potworowski pada sparaliżowany. Niezwykle pracowite życie odbija się na jego zdrowiu. Umiera w nocy z 22 na 23 listopada 1860 roku.

Jego pogrzeb na cmentarzu ewangelickim w Lesznie staje się okazją do wielkiej patriotycznej manifestacji.

Ostatnie lata generała

Dziewięćdziesięcioletni generał Dezydery Chłapowski niemal nic już nie widzi i z trudem słyszy. Całe dnie spędza na rozpamiętywaniu życia, sukcesów i porażek. Przeżył już wszystkich, zarówno tych, którzy go atakowali, jak i tych, którzy go wielbili. Urodził się, kiedy Polska była jeszcze na mapie Europy, a teraz chodzą już po świecie zrodzeni w niewoli. Niektórzy z nich dożyją odzyskania niepodległości.

Ile razy starzec wspominał rok 1831, swego adiutanta Gustawa Potworowskiego i samotnika z Rogalina, Edwarda Raczyńskiego? Przeżył ich, a także Karola Marcinkowskiego i Hipolita Cegielskiego. Żyli jednak ich spadkobiercy, którzy zdecydowali się kontynuować ich dzieło.

Generał Dezydery Chłapowski odchodzi w zaświaty 27 marca 1879 roku.

* * *

Zamiana koni i szabel na pług i pióro, choć mało efektowna, w dłuższej perspektywie okazała się zbawienna. Trzej mocarze pracy organicznej: Dezydery Chłapowski, Gustaw Potworowski i Edward Raczyński, wyznaczyli szlaki dla przyszłych pokoleń i wysoko podnieśli im poprzeczkę.

Bibliografia

Chłapowski Dezydery, *Pamiętniki, część II. Wojna roku 1830–1831*, Poznań 1899.

Grot Zdzisław, *Dezydery Chłapowski 1788–1879*, Warszawa — Poznań 1983.

Jakubczyk Witold, *Potworowski Gustaw (1800–1860)* [w:] *Wielkopolski słownik biograficzny*, pod redakcją Antoniego Gąsiorowskiego i Jerzego Topolskiego, Warszawa — Poznań 1983.

Jakubiak Tadeusz Adam, Polak Bogusław, *Wielkopole w powstaniu listopadowym*, Poznań 1981.

Molik Witold, *Edward Raczyński 1786–1845*, Poznań 1999.

Paprocki Franciszek, *Legalna działalność polska w latach 1831–1847* [w:] *Dzieje Wielkopolski, Tom II. Lata 1793–1918*, pod redakcją Witolda Jakubczyka, Poznań 1973.



Joanna Ciechanowska-Barnuś
Bogu miła mrówka

➤ Bożena Chrzęstowska

Fotografia udostępniona przez autorkę reportażu

W latach osiemdziesiątych w jedną niedzielę w miesiącu wyjeżdża z Poznania. Nie mówi rodzinie dokąd i po co. Na wszelki wypadek.

Prolog

Ta pierwsza Bożenka ma osiem lat i właśnie zdyszana wbiegła na dworzec w Puszczykowie.

Miała jechać do szkoły, do Poznania, ale nie zdążyła, pociąg uciekł. Ociągała się, zajmowała sprawami nieważnymi i teraz stoi na peronie, patrzy na odjeżdżające wagony. Z drugiego końca pustego peronu nadchodzi zawiadowca stacji.

— Musisz wychodzić wcześniej z domu — mówi do dziewczynki.

Ona milczy. Nawet nie pomyśli, żeby mu powiedzieć, że skoro jest jej tatą i widział, jak biegnie, mógł poczekać z odprawieniem składu jeszcze chwilę. On nie mówi nic więcej. Choć bardzo kocha córkę, pociąg musi odjechać o czasie, a ona powinna nauczyć się rzetelności, punktualności i odpowiedzialności — najpierw za siebie, by potem móc brać odpowiedzialność za sprawy wspólne. Musi wie-

dzieć, że wszystko w życiu zdobywa się ciężką pracą, sumiennością i odpowiedzialnym postępowaniem.

Jest 1937 rok i w wychowaniu dzieci nie ma pobłażliwości.

Druga Bożena ma ponad dziewięćdziesiąt lat. Nazywa się Chrzastowska. Już nie kojarzy tej pierwszej lekcji, którą przeżyła wtedy na dworcu. Ani innych, których odbyła bardzo wiele. Siedzi w fotelu — drobniutka staruszka w wielkich okularach, z aparatem słuchowym, który niewiele pomaga, wpatrzona uważnie w głośno grający telewizor. Płyną z niego kolejne newsy o strajkach nauczycieli. Pani minister edukacji, absolutnie pewna swoich racji, mówi z ekranu, że nic się nie stało, że polska szkoła ma się dobrze, a strajki to polityczna prowokacja.

— Jak można tak kłamać? — wzdycha starsza pani. — Nie wytrzymam tego! — Wyłącza telewizor.

Zapada cisza.

Początek

Styczeń 1929 roku. W rodzinie Józefa i Ludwiki Mazurków w Poznaniu rodzi się trzecia córka. Rodzice są uradowani, dziecko zdrowe i kochane, ale... znowu córka. Za rok na świecie pojawi się syn i to on skupi na sobie uwagę bardzo szczęśliwych rodziców. Tymczasem mała Bożenka rośnie w cieniu dwóch starszych sióstr, w domu pełnym miłości i kultu taty. To tradycyjna wielkopolska rodzina, w której mężczyzna odgrywa niezwykle ważną rolę, wzmocnioną zasługami dla ojczyzny: w 1920 roku Józef został odznaczony Orderem Virtuti Militari za męstwo w wojnie polsko-bolszewickiej. Wtedy był saperem i wspólnie z innym żołnierzem wysadził most pontonowy na Berezynie.

Kiedy rodzi się Bożenka, jest sierżantem, szefem kompanii sa-

perów na poznańskiej Cytadeli. To cierpliwy i kochający ojciec, ale dziewczynka ma trudny charakter i potrafi naruszyć spokój rodziców. Mama Ludwika utyskuje, że łatwiej trzech chłopców wychować niż jedną Bożenkę. Wkrótce dociekliwością i uporem dziewczynka przerośnie niejednego.

Edukacja

Ma sześć lat, kiedy idzie do szkoły. Zapisano ją, bo czytała samodzielnie i bardzo chciała się uczyć, choć codziennie musi sama dojeżdżać do Poznania. Nikt nie myślał o tym, że dzięki tej decyzji dziewczynka zyska rok nauki w szkole podstawowej.

Potem wybuchnie wojna i rozpocznie się sześcioletnia przerwa w edukacji. W 1945 roku Bożenka wróci na trzy lata do szkoły, by w 1948 roku zdać maturę. Z tych trzech powojennych lat pierwsze pół roku spędzi na odgruzowywaniu szkoły. Osobiste doświadczenia edukacyjne są więc w tym przypadku bardzo skąpe. Może dlatego później będzie walczyć o prawa uczniów do samodzielnego myślenia, do ćwiczenia umysłu, poszukiwania rozwiązań, popełniania błędów, a nie powtarzania gotowych formuł, tak chętnie podawanych uczniom przez armię nauczycieli korzystających z własnych pożółkłych zeszytów. Ale to potem — najpierw zda na polonistykę na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza.

Jest w tych powojennych rocznikach przedziwna zbieranina. Wojna pogmatwała także edukacyjne ścieżki Polaków. Na roku Bożena Mazurkówna ma kolegów nawet o dwadzieścia lat starszych. Są ludzie po obozach, są księża, wojskowi, partyzanci. Ona jest najmłodsza i bardzo nieśmiała. Na jednym z seminariów profesor Szweykowski wrywa ją do odpowiedzi. „Jąkałam się, gubiłam wątek, przekręcałam nazwiska lub tytuły. Cała grupa mi pomagała. Profesor

pięknie podsumował i podziękował za »przemyslaną wypowiedź«¹ — wspominała tamte chwile.

Dzięki interwencji profesora jednak przestała milczeć. I tak zostało.

Obywatelskie szlify

Bożena Mazurkówna po studiach dostaje nakaz pracy w Białostoku. Gdyby nie wcześniej rozpoznana ciężka choroba płuc, pewnie wyłudowałaby na tej wschodniej rubieży zgodnie z administracyjnym nakazem. Uratowało ją zaświadczenie lekarskie o konieczności dalszego leczenia w rodzinnym Poznaniu. W 1952 roku podejmuje pracę w poznańskiej Bibliotece Pedagogicznej, której szefem jest profesor Grot — „człowiek mądry i szlachetny”. Pod jego wpływem pracownicy przechowują w swoich domach cenne książki, które zgodnie z odgórnym poleceniem PZPR mają iść na przemiał. Cenzura wydała na nie wyrok śmierci, bo są niewygodne i zakazane. Ludzie chronią je jednak jak skarby. Bożena bierze lekcję odpowiedzialności za wspólne dobro. Tak ją wychowano, o tym czytała w podsuwanych lekturach. Potem będzie przechowywać bibułę, zapraszać niepokornych, wspierać odrzuconych i walczyć o prawo do samodzielnego myślenia.

Potem.

Szkoła

Trochę z przypadku trafia do niej w 1955 roku. Wychodzi wtedy za mąż za Andrzeja Chrzastowskiego — prawnika, którego poznała

¹ Bożena Chrzastowska, Joanna Ciechanowska-Barnuś, *Dwugłós z życia wzięty*, Poznań 2015, s. 11.

trzy lata wcześniej na przyjęciu zorganizowanym w rodzinnym domu. Będą dzieci i rodzina. Między innymi dlatego Bożena Chrzęstowska zmienia pracę — przenosi się do sekcji bibliotecznej w Ośrodku Doskonalenia Nauczycieli w Poznaniu. A tam postawiono wymóg pracy w szkole. Chrzęstowska szybko odkrywa swoją pasję. Pracuje z nauczycielami i uczy z wielkim zaangażowaniem. Widzi, jak bardzo potrzebne są zmiany w nauczaniu języka polskiego, jak łatwo popaść w nudę, schematyzm i odtwórcze działania, jak łatwo zgubić wrażliwość uczniów i zabić samodzielne myślenie — swoje i ich. Widzi, jak mało trzeba, by propaganda partyjna zrobiła swoje.

Czerwiec 1956 roku odczuwa jako powiew wolności — coś, w co już prawie nikt nie wierzy. Radość jest krótka, ale ziarno zostało posiane. Nauczyciele stają się nagle ważni, ponieważ muszą chronić i kształtować niezależność myślenia. W szkole i ośrodku Bożena Chrzęstowska pracuje siedemnaście lat. Bardzo szybko staje się osobą, która wspiera i inspiruje nauczycieli. Garną się do niej i chętnie współpracują.

Ufają.

Spotkanie

Połowa lat sześćdziesiątych. Seweryna Wysłouch jest młodą nauczycielką i uczy w zasadniczej szkole w Poznaniu. Po trzech latach, zgodnie z obowiązującymi przepisami, musi zaprezentować swoje umiejętności dydaktyczne przed hospitującą lekcję dyrektorką szkoły i opiekunką młodych nauczycieli z ramienia ośrodka — Bożeną Chrzęstowską.

— To była trudna szkoła — wspomina profesor Wysłouch. — Klasy były przepełnione, uczniowie przebywali w szkole tylko trzy dni, potem pracowali u rzemieślników, a ci wykorzystywali ich jako

tanią siłę roboczą. Termin hospitacji był mi znany, ale to nie uchroniło mnie przed wpadką. Najpierw okazało się, że nie zadbałam o gości, bo w klasie zabrakło krzesła. To był zarzut dyrektorki. Druga wpadka wyniknęła z niespodziewanego braku prądu. Przewidziałam lekcję poświęconą *Deszczowi jesiennemu*². Chciałam zacząć od odsłuchania nagrania z płyty. Adapter nie działał, więc poprosiłam uczennicę, która moim zdaniem dobrze recytowała, o odczytanie wiersza. Potem Bożena uświadomiła mi, że w tej sytuacji powinnam sama przeczytać, bo pierwszy kontakt z tekstem musi być na najwyższym poziomie. Piękny tekst nie zasługuje, by czytać go „z biegu”. A uczennica tekstu nie знаła.

To spotkanie obie panie profesor — niegdyś młoda nauczycielka i niewiele starsza instruktorka — wspominają dziś z uśmiechem. Wtedy nic nie wskazywało na to, że właśnie rozpoczęły wieloletnią współpracę, owocującą kilkoma ważnymi dla nauczycieli książkami i serdeczną przyjaźnią na całe życie.

Wspólne książki tworzyły przez telefon, by nie tracić czasu na dojazdy — mieszkaly na dwóch końcach miasta. Na szczęście obie miały telefony na biurku, co w drugiej połowie ubiegłego stulecia wcale nie było takie oczywiste i powszechne.

Nikt nie lubi nauczycielek

W 1969 roku na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza powstaje Wyższe Studium Nauczycielskie. To odpowiedź na likwidację dwuletnich Studiów Nauczycielskich, znajdujących się dotychczas w jurysdykcji kuratoriów oświaty. Szefową WSN zostaje docent Monika

² *Deszcz jesienny* Leopolda Staffa ze zbioru wierszy *Dzień duszy* z 1903 roku [przyp. red.].

Gruchmanowa. Studium mieści się w budynku socjologów i pedagogów i jest traktowane jako nieużyteczna przybudówka wydziału nauk pedagogicznych. Kierownictwo placówki bardzo dba, by nie ulegać zideologizowanej pedagogice i dawać studentom niezbędną wiedzę. Do kadry dobiera się najlepszych fachowców.

W 1970 roku dołącza do tego zespołu Bożena Chrzastowska. Wnosi bagaż doświadczeń, znajomość problemów i środowiska, zgromadzone w czasie siedemnastu lat pracy w oświacie. Zna słabe punkty nauczycieli polonistów, rozumie szkołę. Wspólnie z Seweryną Wysłouch piszą książkę ułatwiającą przełożenie wiedzy akademickiej na praktykę szkolną. *Wiadomości z teorii literatury w analizie szkolnej* adresują głównie do studentów i nauczycieli pracujących w szkołach średnich. Publikacja bardzo szybko staje się podręcznikiem przygotowującym nauczycieli do pracy z tekstem. Z kolejnych wydań pod zmienionym tytułem (*Poetyka stosowana*) korzystają poloniści w całej Polsce.

W 1973 roku Wyższe Studium Nauczycielskie zostało zlikwidowane. Zwyciężył pogląd, że nauczyciel musi mieć pełne wykształcenie akademickie i tytuł magistra. Pracownicy Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza wracają do swoich zakładów, a ewentualna kandydatura Bożeny Chrzastowskiej na pracownika uniwersytetu jest ostro dyskutowana — bo to przecież „nauczycielka”. Naukowcy są przekonani, że nauczycielka nie da sobie rady z uprawianiem nauki. Nie tylko akademickie gremia mają duży dystans do nauczycieli. Władza socjalistyczna chętniej ich wykorzysta, niż uszanuje, doceni i... należyście opłaci. Szczególnie nie lubi niepokornych. W końcu wątpliwości oponentów zostają przełamane — Bożena Chrzastowska otrzymuje pracę w Zakładzie Dydaktyki Literatury i Języka Polskiego Filologii Polskiej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza.

Rozpoczyna swoją walkę o jakość dydaktyki języka polskiego, o kształcenie dobrze przygotowanych nauczycieli — by ci formo-

wali mądrych, poszukujących i twórczych ludzi, sprawnie posługujących się językiem polskim, świadomych odbiorców i twórców kultury. W szkolnych pracowniach pokutują wtedy poźółkłe zeszyty z notatkami sprzed lat, na lekcjach polskiego królują pytania z serii: „Co poeta chciał powiedzieć?”, i wykute na blachę odpowiedzi. Model edukacji, w którym nauczyciel wie, a uczeń ma powtórzyć.

Chce to zmienić. Temu wyzwaniu poświęci całe swoje życie.

Życie

Podobno na studenckich giełdach, pod salami egzaminacyjnymi na filologii polskiej, mówili o niej „krwawa Bożenka”. Nieprzygotowanych potrafiła boleśnie otrzeźwić. Co innego zajęcia.

— Z Bożeną Chrzastowską miałam zajęcia z metodyki nauczania języka polskiego. I to było coś zupełnie innego niż wzniosłe filozoficzne czy historyczne dywagacje, znane z innych zajęć. Byłyśmy zachwycone, szczególnie te dziewczyny, które myślały o pracy w szkole. Wszystko było takie przemyślane i uporządkowane. Piłowała nas, ale nie czuliśmy się zdominowani, tylko zachęcenі. Zajęcia z nią były wytchnieniem, nie było na nich złośliwości, patrzenia na nas jak na niedouczone studentów. Potrafiła nas zmobilizować i czuliśmy się podmiotem, a nie przedmiotem. Jestem jej bardzo wdzięczna, choć nigdy nie trafiłam do szkoły jako nauczycielka — wspomina Anna Stuligrosz-Biedak, absolwentka filologii polskiej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza.

Oprócz pracy ze studentami są jeszcze: praca naukowa, publikacje i aktywność w prasie fachowej, udział w pracach formalnych i nieformalnych grup przygotowujących kolejne reformy oświaty, liczne spotkania z nauczycielami w całej Polsce. A także: rodzina,

dom, przyjaciele. Żeby te różne role jakoś pogodzić, trzeba siły. Z siłami bywa różnie, ale kiedy ich brakuje, pojawia się... upór.

Tak trzeba. I koniec.

1980

Kiedy wybuchają strajki i w Polsce rozpoczyna się wielka przemiana, Bożena Chrzastowska jest już po doktoracie, obronionym w Instytucie Badań Literackich w Warszawie, i kilku ważnych dla środowiska publikacjach. Nazwisko społecznie zaangażowanej „młodej” uczoney jest coraz częściej brane pod uwagę, kiedy pojawiają się do rozwiązania problemy edukacji polonistycznej młodych Polaków. Przez kolejne lata i w trakcie kolejnych reform edukacji Bożena Chrzastowska niezmiennie będzie rzeczniczką zmian, które wymagają od nauczycieli samodzielnego myślenia i kreatywności. Walczy z arbitralnym powrotem do odgórnie sterowanego i encyklopedycznego modelu nauczania, przeładowanego spisu lektur, pozbawionego refleksji twórców nad zmieniającym się światem, człowiekiem i jego potrzebami oraz możliwościami. Upomina się o wartości ważne dla polskiej kultury, a wyrzucone przez komunistów z programów nauczania i podręczników.

Tę wojnę o rozwój polskich uczniów będzie niezmiennie prowadzić przez kilkadziesiąt lat. Zgromadzi wokół siebie najlepszych specjalistów. W jednym będzie dla nich ekspertką — umie przełożyć akademicką wiedzę na szkolną praktykę. Robi to, czego potrzebują nauczyciele — i polski uczeń.

Chleb

W 1981 roku pracuje w jednym solidarnościowym zespole z Marią Janion, Janem Błońskim, Januszem Sławińskim, Aleksandrą Okopień-Sławińską, Michałem Głowińskim i wieloma innymi autorytetami, przygotowującymi nowy program nauczania języka polskiego dla szkół średnich, obejmujący treści dotychczas zakazane: wolnościowe, demokratyczne, religijne. Obok pracuje drugi zespół — resortowy, którego program podtrzymywał dawne idee. W sklepach pustki, a prace trwają cały dzień. Po latach Bożena Chrzastowska wspomina: „Pamiętam, [...] że obeszłam wszystkie okoliczne restauracje, by zjeść śniadanie. I tylko w jednej zaoferowano mi bigos, bez chleba. Podziękowałam... Z uporem szukałam chleba i w jednym sklepie na Koszykowej kupiłam bochenek. Zaniosłam do gmachu Ministerstwa i położyłam na środku, na czystym papierze. Pachniał. W czasie przerwy w obradach prof. Janion, łamiąc ten chleb, zapraszała wszystkich obecnych na symboliczny posiłek — także uczestników resortu”³.

Obydwa programy — ten z ducha wolny i ten tradycyjny — miały być poddane publicznej ocenie. Wydrukowano je w „Polonistyce”, ale zanim trafiły do odbiorców, prawie cały nakład skasowano, gdyż władze wprowadziły stan wojenny.

Wielcy

„Prawda jest wartością podstawową i obrona tej wartości nie może być »ponad siły polskiej inteligencji«, skoro nie była ponad siły

³ Bożena Chrzastowska, Joanna Ciechanowska-Barnuś, dz. cyt., s. 232.

robotników, którzy upomnieli się o jej miejsce w życiu narodu”⁴ — tymi słowami Bożena Chrzastowska, wówczas prezeska Poznańskiego Oddziału Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza, kończy sprawozdanie ze spotkania ze Stanisławem Barańczakiem, który odwiedził rodzinne miasto w październiku 1980 roku. Do Poznania na zaproszenie Towarzystwa przyjeżdżają wtedy wybitni pisarze, opozycjoniści, ludzie kultury. Na spotkania przychodzą studenci i młodzi nauczyciele. Kiedy Bożena Chrzastowska zapraszała poetę, ten się wahał.

— Bożeno, narobisz sobie bigosu...

— Będę w dobrym towarzystwie — odparła.

Barańczak mówił wtedy o cenzurze. Sala była wypełniona po brzegi, dyskusja trwała do późnych godzin nocnych. W wypowiedziach poety były spokój, pewność własnych racji, opartych na trwałych zasadach. Bez triumfu. „Barańczak był człowiekiem wewnętrznie wolnym”⁵ — wspominała później Chrzastowska.

Bycie wolnym i uczenie tego innych to siła napędzająca. Szkoła i nauczyciele mają ważną misję do wypełnienia. W tym samym czasie inny wolny Polak dostaje Literacką Nagrodę Nobla. Nauczyciele nic nie wiedzą o jego twórczości, bo skutecznie usunięto autora i jego utwory z programów studiów. Nie ma tekstów, nie ma opracowań. Bożena Chrzastowska przygotowuje opracowania wybranych wierszy Czesława Miłosza, które wyda w popularnej serii „Biblioteka Analiz Literackich”. W 1982 roku znajdują się na biurku każdego polonisty jako nieoceniona pomoc. Chrzastowska nie dopuści, by ważne dla kultury teksty trwały w niebycie, a kolejne pokolenia wyrosły bez znajomości przesłania, które płynie z wierszy Miłosza.

⁴ Tamże, s. 279.

⁵ Tamże.

Lata osiemdziesiąte. Raz w miesiącu, w ustaloną wcześniej niedzielę (nie pamięta już w którą), wsiada do pociągu razem z Grażyną Ziółkowską — polonistką, późniejszą kurator oświaty w Wielkopolsce. Czas w podróży wykorzystują na dyskusję, jak przywrócić do programów szkolnych treści wykreślone przez partyjnych dygnitarzy. Jadą do Wrocławia na spotkanie konspiracyjnego zespołu przygotowującego kolejne tomy *Glosariuszy* — materiałów pomocniczych do nauki języka polskiego w szkole średniej. Spotykają się w prywatnym mieszkaniu Tadeusza Patrzalka.

Glosariusze wydawane są w nielegalnym obiegu. Mają koszmarny papier, maleńki druk — dziś to znak minionej epoki. Wtedy są jednak na wagę złota, bo zawierają interpretacje tekstów wyrzuconych przez cenzurę lub pokazują znane teksty w zupełnie nowym ujęciu, wolnym od partyjnych wytycznych. W zespole redakcyjnym pracują poloniści z różnych ośrodków: z Wrocławia, Poznania, Warszawy, Szczecina, Krakowa. Z Wielkopolski pochodzą dwie polonistki bardzo zaangażowane w walkę o prawo do wolności. To ciągle jest niebezpieczne, więc autorzy publikują pod pseudonimami. Jeden z redaktorów napisze we wstępie pod koniec lat osiemdziesiątych: „Odnutowano z satysfakcją spostrzeżenie o odbiorze glosariuszy. Otóż zauważamy stopniowe osvajanie się nauczycieli języka polskiego z materialną obecnością glosariuszy na lekcjach języka polskiego. Zaczęli je przynosić do szkoły chyba najpierw uczniowie. Ale można już spotkać glosariusz wśród innych materiałów potrzebnych do lekcji, także na stoliku nauczycielskim — i to bynajmniej nie zamaskowany w nieprzezroczytych okładkach”⁶.

⁶ *Od redaktora [w:] Glosariusz 4*, opracowanie redakcyjne Stanisława Stelmachowa, Jan Żernicki, Wrocław 1988, s. 3.

W *Glosariuszu* Bożena Chrzastowska publikuje pod pseudonimem Bogumiła Mrówa. Na wszelki wypadek nie opowiada, dokąd i w jakim celu wyjeżdża w niedzielę. Rodzina dowie się o tej działalności i pozna jej pseudonim dopiero, kiedy *Glosariusze* zostaną wydane w wolnej Polsce przez wydawnictwo Ossolineum i staną na półkach szkolnych bibliotek w całym kraju.

Nauczyciele

Są najważniejsi. Chrzastowska jest dla nich autorytetem, a oni dla niej inspiracją.

„Zawsze odrzucała schematy, ceniła nauczycieli, szanowała uczniów i miała rękę do wierszy”⁷ — napisał o niej Michał Ratajczak, polonista z Liceum Ogólnokształcącego Świętej Marii Magdaleny w Poznaniu. I wspomina swój pierwszy kontakt z „Mrówą” oraz hospitowaną lekcję, na którą przygotował „staranny” wykład o baroku: „Nie to było najważniejsze, że po zajęciach spotkałem się z dość stanowczą krytyką — że nudne, bez pomysłu i nie trafia do młodzieży (która zresztą „grzecznie” słuchała). Najbardziej zaskoczyło mnie to, że w ciągu kilku chwil, jakby z rękawa, posypały się pomysły, jak by można/jak należało — zdaniem Pani Profesor — zrobić to inaczej. Wówczas po raz pierwszy pomyślałem: Mistrzynie”⁸.

Potem utwierdzi się w tym przekonaniu, kiedy Mistrzynie, jako redaktor naczelna „Polonistyki” i bezpośrednia przełożona Michała Ratajczaka (ich współpraca trwała dwadzieścia lat), wykreślała fragment tekstu, by tym samym niespodziewanie odsłonić jego sens.

⁷ Michał Ratajczak, *Mistrzynie i Majsterka* [w:] *Polskie czytanie wschodu. Kultura — autobiografia — edukacja*, Poznań 2018, s. 39.

⁸ Tamże.

„Od tamtej pory, ilekroć mam coś do napisania lub proszę o napisanie tekstu uczniów, staje mi przed oczyma maksyma: »Piszę długo, ponieważ nie mam czasu pisać krótko«, i zastanawiam się, ile wypowiedź może zyskać, jeśli się ją roztropnie skróci”⁹.

W stanie wojennym Bożena Chrzastowska podkreśla bardzo mocno swój związek ze środowiskiem nauczycielskim.

Barbara Rapp, polonistka ucząca wtedy w Liceum Ogólnokształcącym imienia Heleny Modrzejewskiej w Poznaniu, w 1984 roku otrzymuje polecenie służbowe przygotowania akademii z okazji czterdziestolecia PRL-u. Wspólnie z uczniami wymyślają montaż z partyjnych przemówień. Wymowa tego widowiska jest krytyczna wobec obowiązującej linii partii. Spektakl zostaje świetnie przyjęty przez młodzież, ale dla nauczycielki oznacza szykany. Pojawia się groźba wyrzucenia z pracy.

W trakcie rozprawy dyscyplinarnej Barbary Rapp bronią nauczyciele z poznańskich szkół, artyści i nauczyciele akademicki. Wśród obrońców jest też Bożena Chrzastowska.

— Bardzo jej byłam za to wdzięczna — wspomina Rapp.

1989

W latach osiemdziesiątych Chrzastowska wraz z nauczycielami poszukuje rozwiązań ułatwiających trudną pracę polonistów. W 1981 roku z jej inicjatywy i pod jej kierownictwem na uniwersytecie w Poznaniu powstaje zespół polonistów, który przygotowuje własną propozycję nowego programu nauczania języka polskiego w szkole średniej. Powiew wolności w kraju uruchamia ważną dyskusję o kształcie edukacji polonistycznej i kulturowej.

⁹ Tamże, s. 40.

Pierwszy w kraju wolnościowy program nauczania, nastawiony na „czytelniczą koncepcję nauczania literatury”¹⁰, utworzony w Poznaniu w 1981 roku i wzbogacony metodycznie, zostaje po drobnych korektach zatwierdzony przez minister Annę Radziwiłł po 1989 roku. Dwa lata wcześniej, według tej właśnie nowej koncepcji, na biurka polskich uczniów trafia podręcznik *Starożytność — oświecenie*. Autorami są poloniści z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, specjaliści z różnych okresów kultury. Chrząstowska — twórczyni tego projektu i redaktorka podręcznika — dba o to, by zarówno uczeń, jak i nauczyciel, przestali wymieniać daty i tytuły, szukać odpowiedzi na pytanie, „dlaczego Słowacki wielkim poetą był”. Zachęca, by jedni i drudzy weszli w rolę czytelnika i badacza literatury.

Podręcznik jest fatalnie wydany: gruby, brązowy i na okropnym papierze. Brzydki. Mówią na niego „cegła”. Otwiera jednak nowy rozdział w edukacji polonistycznej Polaków. Wyznacza kierunki kolejnych reform, przywraca wykreślone konteksty kulturowe.

Popieranie szaleńców

W wolnej Polsce Bożena Chrząstowska jest uznanym autorytetem w dziedzinie edukacji polonistycznej. Włącza się w kolejne reformy, wskazując niebezpieczne zakręty. Uczy, pisze, działa w strukturach uniwersyteckich, współpracuje z aktywnymi grupami nauczycieli. Jest otwarta na wszystkich, dla których ważne są polska kultura, literatura, sztuka.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych trafia do niej Przemysław Baśniński. Szuka wsparcia dla swojego pomysłu uczczenia Milenium — chce w 2000 roku zorganizować dwanaście uroczystych prezentacji

¹⁰ Bożena Chrząstowska, Joanna Ciechanowska-Barnuś, dz. cyt., s. 233.

Biblii. Teksty biblijne będą czytali najlepsi polscy aktorzy, a wprowadzenie powierzy się duchownym i świeckim biblistom. „Kiedy po raz pierwszy usłyszałam, jak mamy uczcić Milenium, pomyślałam, że Przemysław Basiński jest człowiekiem uduchowionym i szanuje to, co święte, ale nie liczy się z rzeczywistością. Kto przyjdzie na takie spotkanie?”¹¹ — wspominała później. Basiński jednak nie ustępował. Drążył, przekonywał, działał, więc powiedziała mu, że jest szalony, ale szaleńcom trzeba pomagać. Dlatego ofiaruje mu swoją pomoc.

Oddała temu projektowi swoje serce, kawałek biurka, użyczyła komputera, wykorzystała kontakty. Dzisiaj Verba Sacra jest projektem interdyscyplinarnym, artystyczno-naukowo-religijnym, poświęconym tradycji słowa w kulturze duchowej narodu, ze szczególnym uwzględnieniem dziedzictwa europejskiego. Ma prawie dwadzieścia lat, poświęcono mu tysiące publikacji, kilkaset koncertów i prezentacji oraz doczekał się wiernej publiczności w całym kraju.

Od Basińskiego Bożena Chrzastowska otrzymała honorowy tytuł Matka Verba Sacra.

Puenta

Drobnej postury, dostoja wiekiem kobieta siada za stołem i bierze do ręki najświeższe wydanie „Gazety Wyborczej”. Na półkach stoją napisane kiedyś przez nią książki. Z widokówki, opartej o nie i dołączonej kiedyś do wzmiankowanej gazety, uśmiecha się Bartoszewski. Na ścianie wiszą zdjęcia z najważniejszych chwil: zaszczytów uniwersyteckich, nominacji, odznaczeń, nadania doktoratu honoris causa, kolejnych jubileuszy. Dużo tego, bo życie wyjątkowo pracowite.

¹¹ Tamże, s. 204.

W gazecie czyta o rozkładzie państwa, aferach, korupcji, podziale narodu, nienawiści. Upada na duchu, kiedy widzi rozpad więzi. Podnosi się, gdy znajduje dowody, że ludzie jednak się jednoczą, buntują i walczą z zakłamaniem.

Niewiele pamięta i pewnie, jak każdy Polak, coraz mniej rozumie. Jednego jest pewna: w życiu nie ma drogi na skróty.

Bibliografia

Chrzastowska Bożena, Ciechanowska-Barnuś Joanna, *Dwugłos z życia wzięty*, Poznań 2015.

Od redaktora [w:] *Glosariusz 4*, opracowanie redakcyjne Stanisława Stelmachowa, Jan Żernicki, Wrocław 1988.

Ratajczak Michał, *Mistrzynie i Majsterka* [w:] *Polskie czytanie wschodu. Kultura — autobiografia — edukacja*, Poznań 2018.



Magdalena Hrycz

Podzielmy się na dzielni

➡ Givebox

Fotografia udostępniona przez autorkę reportażu

Na początku tej historii jest schab w sosie łzowym. A na końcu — cud w Mediolanie.

Lata osiemdziesiąte ubiegłego wieku, dogasający PRL. Wszystko jest spod lady, w sklepach tylko ocet z czerwoną naklejką. W telewizji nadają premierowo *Najdłuższą wojnę nowoczesnej Europy* — chyba ku pokrzepieniu serc, że mieliśmy już gorzej. Raz w tygodniu idzie jeden odcinek. O tej godzinie pustoszeją ulice, bo Polacy zasiadają przed telewizorami. Nikt do nikogo nie dzwoni i nikogo nie odwiedza. Nie wypada. Bohaterowie pracy organicznej: Marcinowski, Cegielski, Mielżyński. Kolberger w roli Dezyderego Chłapowskiego... Cała Polska kocha się w Kolbergerze.

Ale codzienność za oknem też ma swoich bohaterów, tych z osiedla, bloku, dzielnicy. Znacznie skromniejszych, takich bohaterów od zwykłych spraw. Trzeba przecież sobie pomagać.

Szklana strzykawka i spódnica z chusteczek

O tę pomoc pytam ówczesnych nastolatków.

— Ci Holendrzy bardzo chcieli pomóc — wspomina Piotr. Kończył wtedy poznańską podstawówkę i marzył o szkole morskiej. Marzenie jednak się nie spełniło. — Pierwszy raz przyjechali do parafii z transportem jedzenia i ubrań, szukali ludzi w trudnej sytuacji. Moja ciocia znała angielski, pomogła się dogadać. Ojciec objeżdżał okoliczne miejscowości, szukał potrzebujących i kontaktował tych ludzi z Holendrami. Potem pomoc szła już bezpośrednio. Były paczki, transporty. Tata też rozwoził. Do tej pory jest z nimi w przyjaźni.

— Moja matka robiła całemu blokowi zastrzyki — wspomina Magda.

Podobnie jak Piotr kończyła wtedy szkołę podstawową. Wybrała liceum ogólnokształcące, chociaż mama, położna, namawiała ją na medyczne. „Dzieci zawsze będą się rodziły” — argumentowała.

— Nie wiem czemu, ale tyle chorób leczyło się zastrzykami. Nie było jednorazówek — opowiada Magda. — Mama miała taką szklaną strzykawkę, którą za każdym razem wygotowywała. Wszystkie dzieciaki bały się tej strzykawki, ale ich rodzice byli wdzięczni. Gdzie w tamtych czasach jechać z chorym dzieckiem? Nie każdy miał samochód, o taksówkę trudno. Mama nigdy nie brała pieniędzy. Jak ktoś próbował coś wciskać, oburzała się. „Nie szarpicie się ze mną” — mówiła.

— Pamiętasz kryzysowe spódnice z męskich chusteczek do nosa? — śmieje się znajoma z kursu krawieckiego, z którą połączyły mnie wspomnienia bluzek z tetrowych pieluch i džinsów dekatyzowanych domowo w Bielince. — Chyba pokazali to w telewizji. Pamiętam jak przez mgłę. W każdym razie następnego dnia z pasmanterii wymiotło wszystkie chusteczki. Nawet te damskie, batystowe, z hafciem, choć one w ogóle się nie nadawały. Musiały być takie kraciaste,

z mocnej bawełny. W telewizji tak szybko to pokazali, a tu okazało się, że trzeba je umiejętnie połączyć. Matka koleżanki opracowała sposób. Przychodziło do niej mnóstwo dziewczyn. Pokazywała, pomagała. Za darmo. Teraz myślę, że mogła sama kupić te chusteczki, uszyć spódnice i sprzedawać znajomym.

No i przyszła wolność

Wtedy większość ludzi tak nie myślała. Byli i tacy, co mieli żyłkę do handlu, życzliwość stoi jednak wyżej od przedsiębiorczości.

— Ludzie rzeczywiście kiedyś bardziej się dzielili — mówi Piotr. — Przysługami, papierem toaletowym — śmieje się. — Ale też jabłkami z działki, a czasem informacją, przy kim najlepiej za dużo nie mówić.

W 1989 roku przychodzi wolność, również ta ekonomiczna. Pojawia się tyle pokus, tyle rzeczy można kupić! Pieniądze nabierają nagle głębszego sensu. Nastają też jednak bezrobocie, lęki i upokorzenia. Nie każdy okazuje się przedsiębiorczy.

Ludzie zaczynają się wtedy dzielić — ale już nie tym, co mają; dzielą się na tych, którym się powodzi, i na tych, którzy się na kapitalizmie przejechali.

— Każdy ciągnie tylko do siebie — powtarzają gorzko ci, którzy się nie odnaleźli.

Po remasteringu

Kilkadzieciąt lat po premierze *Najdłuższej wojny nowoczesnej Europy* telewizja chwali się, że serial został zremasterowany! Można w każdej chwili obejrzeć go na VoD, kupić wydanie cyfrowe.

Rzeczywistość za oknem też jest inna niż ta z czasów premiery. Też zremasterowana, podkolorowana, ale nie w całości. Gdzieś jest dużo koloru, a gdzie indziej mniej i tam szaro, smutno, biednie. O wiele smutniej niż wtedy.

Znowu przydają się organiczni. Nie tacy jak Marcinkowski i Cegielski, raczej tacy jak tata Piotra czy pani Teresa od szklanej strzykawki.

Wilda — *mon amour*

Czerwiec 2019 roku. W Poznaniu trwa właśnie w najlepsze słynny Festiwal Malta. Dzieje się. Są spektakle, ale też spacerzy tematyczne. Zapisuję się na ten po Wildzie. Bo Wilda to jest *mon amour*. Przyciągnęła mnie.

Pochodzę z małego miasta, które przed wojną było piękne, a po wojnie brzydkie — odbudowane w całkowitym zapomnieniu tego, co było kiedyś. A na Wildzie znalazłam nagle miejsce, gdzie czasem może i śmierdzi moczem w bramach i stęchlizną w klatkach, ale też pachnie historią. A właściwie nie jedną wielką historią, tylko tysiącami mniejszych, tych ludzkich, rodzinnych. Ten zapach oszałamia mnie do dziś. Potrzebuję go od czasu do czasu i po to jeżdżę na Wildę. Żadni barbarzyńcy nie wygonili stąd starych duchów. Dawna zabudowa trzyma się doskonale, przyprowadzając o jakąś dziwną melancholię. Taka jest właśnie Wilda.

W czerwcowe popołudnie chodzimy po tej dzielnicy, oprowadza nas Barbara Prądyńska, autorka społecznej mapy Wildy. Dostajemy ją do ręki jako marszrutę. Co kilka chwil do opowieści pani Prądyńskiej planowo wtrąca się pani Helena, rodowita wildzianka. Jesteśmy w różnych miejscach. Słuchamy o nich.

Wilda A i B, zupełnie jak Polska

Dochodzimy do Rynku Wildeckiego. Tu przebiega granica obu Wild: tej bogatszej i tej biedniejszej. Przy jednym ze stoisk stoi kobieta, która przyciąga spojrzenia — wysoka, ma długie, kasztanowe włosy i czerwone usta. Straganiarki tak nie wyglądają. Chyba że w włoskim filmie albo reklamie. Na Wildzie raczej nie. Bo to nie straganiarka ani zwykły stragan, to wildecka Jadalnia. Jedni ludzie przynoszą tu jedzenie, a inni je zabierają. Tak właśnie to działa.

— Żaden wstyd — dodaje Magda Pribe, piękna pani od Jadalni.

Schab we łzowym sosie

Na początku tej historii jest opowieść o schabie w sosie łzowym. Ktoś kiedyś przyniósł na stragan zamrożone mięso. Być może czyścił lodówkę. Było zimno, w innym razie mięso na stragan raczej by nie trafiło. Nie ma tu chłodziarki, więc mięso nie jest mile widziane. Ale i tak wątpiono, czy ktoś takie mięso w ogóle weźmie.

Wziął. I to chętnie. Ładny kawałek schabu trafił się na obiad pewnej wildziance. Ucieszyła się tak bardzo z nieoczekiwanej zdobyczy, że poleciały łzy. Stąd historia o schabie we łzowym sosie. Pewnie to nie pierwszy i nie ostatni taki sos. Bo nieprawda, że biedy nie ma. I nieprawda, że cała bieda bierze się z wódki.

Głód jak yeti

Codziennie nieświeże już i niesprzedane warzywa z Rynku Wildeckiego lądowały w pobliskich kontenerach na śmieci. Kiedy

stragany pustoszały, a straganiarze ładowali się do samochodów i odjeżdżali, przychodzili ludzie. Ci z Wildy B, a może nawet C. Być może nawet z niedalekiego Dębca. Wyrzucone niedawno produkty pracownicy wygrzebywali z kontenerów, nurkując w masie innych śmieci.

Magda i Justyna nie mogły na to patrzeć. Pomyślały, że przecież dałoby się to zrobić inaczej, zachowując godność tych, których nie stać na to, aby normalnie przyjść na rynek i obkupić się we wszystko, co potrzeba.

Słucham uważnie. Magda mówi z pasją i żarliwością. To napęd i esencja pracy organicznej. I nie jest tylko ukierunkowana na ludzi, którzy gdzieś się tam w życiu wykoleili, los okazał się dla nich mniej łaskawy, a rzeczywistość zbyt trudna. To również praca nad świadomością tych, którzy przyzwyczaili się do myśli, że głód jest czymś w rodzaju yeti. Owszem, może się zdarza, ale tak naprawdę nie wiemy komu — nie nam, bo czasem mamy nawet za dużo i wyrzucamy. Teraz można to wszystko przynieść do Jadłodzielni. Podzielić się jedzeniem z innymi.

Wildecy amatorzy Jadłodzielni nie korzystają masowo z mediów społecznościowych, na których ogłaszane są informacje, że do odbioru jest ileś sałatek, wuchta porcji obiadowych, które zostały po zlocie harcerzy, czy reszta produktów ze szkolnej stołówki. Poczta pantoflowa na dzielnicy działa jednak tak dobrze, że do rana na stoisku nie zostaje nawet okruszek.

Blaski i cienie

Wszystko ma swoje blaski i cienie. Na początku działalności Jadłodzielni obok stoiska postawiono nowiutki, drewniany regał z Castoramy. Zniknął jeszcze tego samego dnia, a właściwie tej

samej nocy. Ale to nie zniechęciło założycielek Jadłodzielnii, Magdy Pribe i Justyny Falkiewicz.

Jak na razie to jedyna Jadłodzielnia działająca w Poznaniu. Pytam Magdę, czy przychodzą do niej inni chętni, by założyć kolejne punkty w mieście.

— No pewnie, że przychodzą. Było już u mnie sporo osób. Instytucje poczuły taką potrzebę, na przykład ktoś z uniwersytetu. Potem jednak rezygnowali. Bali się problemów administracyjnych. Dopiero co zrezygnowała trójka dziewczyn.

— Dlaczego? — pytam.

— Stwierdziły, że to jest trudne.

Jadłodzielnia to jedyny jak dotąd przyczółek *foodsharingu* w Poznaniu. Oby przetrwał.

— Zobacz, jak dużą mamy społeczność na Facebooku — cieszy się Magda. — Widocznie ludzi to interesuje. Ale zaangażować się oznacza oswoić. Jak u de Saint-Exupéry’ego w *Małym Księciu*, czyli wziąć odpowiedzialność — stwierdza potem.

Dla wielu ludzi to może być trudne.

Show i szacun

— Frajerki, głupie! Tracą czas!

Za plecami różnie mówili.

Straganiarze kręcili głowami: „Pani, po co pani to robi?”.

Magda mówi nawet, że ktoś użył określenia „show”.

— Dla mnie to nie jest żadne show, tylko ciężka robota. Wiem, jaką pracę wykonuję, ale ja to wliczyłam w koszty, wiem, że tak musi być.

Nie ma w Magdzie rozgoryczenia, mimo że stoisko trzeba regularnie myć po wizytach licznych na Wildzie gołębi. Albo po tym, jak niektórzy zostawiają na stoisku stare buty.

— Mamy pana, który zaczął nam przynosić to, co powinno trafić do Po-Dzielni [o niej potem — przyp. red.]. Całe szczęście spotkaliśmy się i wytłumaczyliśmy mu, że tu tylko może się znajdować jedzenie — mówi Magda. — Zaczęliśmy też mieć problem z żywnością dla zwierząt, z przeterminowaną karmą. Ja wiem, że ludziom wszystko zalega. Dlatego trzeba mocno pilnować, żeby był jasny przekaz — dodaje.

Niektórzy okazują się zbyt pazerni. I to wcale nie ci biedni, którzy przychodzą po jedzenie. Magda opowiada, jak pewnego dnia w pięknym wiklinowym koszu swojej mamy przyniosła orzechy.

— W tym roku też będą — dodaje.

Ledwo zdążyła obrócić drugi raz do samochodu, kosz zniknął. Intuicja jej nie zawiodła. Znalazła go na innym stoisku. Był schowany.

Ale jest i szacun. Nawet straganiarze dają jej czasem lepszy towar i rabaciki. Niektórzy pomagają załadować, wyładować, zawieźć, odebrać. Jest już mała, zaufana ekipa pomocników. Przydałoby się ich jednak więcej.

I szczerść

Wildecka wiara już wie, że jak nie ma co do gara włożyć, to w razie czego jest Jadłodzielnia. Na nią zawsze można liczyć.

— Przychodzą do nas wdowy, wdowcy, starsze samotne osoby. Mają jedną pensję lub emeryturę. Dla nich godziwie ugotowana zupa to jest coś.

Magda twierdzi, że wokół stoiska, przy okazji dzielenia, rodzi się wiele szczerści.

— Jest taka rodzina na targowisku, u której zawsze kupowałam — mówi. — Byłam dla niej przeciętnym klientem. A teraz przyjdą czasem do mnie, ktoś mi coś o sobie opowie. Ja dzięki takim ludziom

wiem, że się dobrze kojarzę. Mnie ta prosta radość jest bardzo potrzebna. Ale jest bardzo dużo potrzeb, których nie jestem w stanie spełnić — dodaje smutno.

Słucha o niezapłaconych rachunkach, biedzie, kłopotach, wysokich czynszach, o ludzkich losach.

Nie medale, a ludzie

Kiedy kilka lat temu Magda przeprowadzała się na Wildę, na jej osiedlu mieszkał tylko jeden lokator. Obejrzała chyba z siedemdziesiąt pięć mieszkań. Wybrała to z widokiem na piękny wiąz. Zdecydowała, że to będzie jej miejsce, i postanowiła, że tu zapaści korzenie.

Jadłodzielnia to praca społeczna, a oprócz niej Magda ma też pracę zawodową. Dodatkowo organizuje raz w roku Festiwal Żupańskiego. Żupański — księgarz i wydawca, organicznik — ma swoją ulicę na Wildzie i zafascynował Magdę. Na jego cześć wymyśliła literacki festiwal ze spotkaniami autorskimi, koncertami, a nawet potańcówkami na ulicy. W grudniu planuje nowe wydarzenie, też związane z literaturą i swoją dzielnicą.

Kiedy znajoma Magdy z Londynu dowiedziała się, co ta robi na Wildzie, powiedziała, że w Londynie byłaby od razu zauważona, tam takie inicjatywy są nagłaśniane i nagradzane. Magda jednak nie chce żadnych medali. Przy każdej okazji aktywizuje i angażuje, kogo tylko można.

— Zapraszam do wspólnych działań — mówi. — Bo potencjał czasem tkwi w niczym. Na przykład w tym ratowaniu jedzenia jest tyle idei, które mogą połączyć ludzi. Właściwie to robię coś z niczego — dodaje. — Widzę Polskę z pozycji tej wildeckiej, małej społeczności.

Po-Dzielnia

Idę dalej poznańską drogą dzielenia się. Trafiam do Po-Dzielni.

Zastanawiam się, co by tam zanieść, nie wypada przecież iść z pustymi rękoma. Decyduję się na czerwoną sukienkę w kwiaty, którą kupiłam w tamtym roku na przecenie. Jest śliczna, ale przecież ja prawie nie noszę sukienek. Może znajdzie się ktoś, kto nosi.

W małym, schludnym, wymalowanym na biało pomieszczeniu na Łazarzu, przy Głogowskiej 27, wszystko jest poukładane. Nie ma tu skłębionych szmat, rzeczy wiszą na wieszakach lub leżą na półkach. Są też książki. Można nawet przynieść sprzęt AGD. Widać, że wszystkiego jest pełno. Ludzie przynoszą, ale też biorą. W małym pomieszczeniu jest dość tłoczno. Między wieszakami buszują młode dziewczyny.

Obowiązuje zasada: zanim coś oddasz, pomyśl z szacunkiem o osobie, która to potem weźmie. Nie przynoś brudnych, niewypranych rzeczy. Daj tak, jakbyś dawał znajomemu. No i raczej nie przynoś zbyt dużo jednocześnie. Bo nie ma, niestety, gdzie tego magazynować.

Gdy rozglądam się, stojąc z tą czerwoną sukienką, do Po-Dzielni wchodzi młody chłopak z wielkimi worami. Wolontariuszka cierpliwie wyjaśnia mu, że ma mało miejsca. W końcu jednak uśmiecha się i stwierdza:

— No, ale skoro pan już jest, ogarniemy to. — A mnie podaje czerwony wieszak. — Będzie pasował do czerwonej sukienki — dodaje.

Zazdroszczę dziewczynom buszującym w Po-Dzielni. Wiem z Instagrama, że szukają tu tak zwanych stylówek. Też bym pobuszowała, ale nie lubię tłoku. Kombinuję, że przejdę się na Łazarz, zjem pączka w kawiarni — bo Łazarz to moje drugie poznańskie *mon amour* — i wrócę tutaj. Wracam, zaglądam znowu przez szybę. Ciągle dużo ludzi. Miejsce żyje i ma się dobrze.

Pierwsze były giveboxy

Giveboxy były pierwsze, jeszcze przed Po-Dzielną. Zastanawiam się, jak one działają: tam przecież nikt nie pilnuje. Wszystko jest otwarte i dostępne dla każdego. Najlepiej zobaczyć na własne oczy. Jednego dnia robię sobie wycieczkę ich tropem.

Pierwszy jest Suchy Las. Tu mam najbliżej. Givebox jest elegancki, stoi tuż przy sucholeskim centrum kultury, obok głównego wejścia i kawiarni. Trudno tu coś zbroić, wszystko jest na widoku. Zaglądam do środka. Rzeczy są uporządkowane, powieszone, leżą ładnie poukładane na półkach.

W parku Kasprowicza givebox stoi przy pływalni miejskiej. Szafa nie jest zamykana jak ta sucholeska, więc czasem na zostawione rzeczy pada deszcz. Kalina, współzałożycielka Po-Dzielni, która się szafą opiekuje, powie mi potem, że nieraz zabiera ubrania do wysuszenia lub nawet do prania.

Śródką. Tu jest najpiękniej. Bo Śródką w ciągu ostatnich kilku lat bardzo wypiękniała. Mam też sentyment do tej dawnej, tej lumpiarsko-hultajskiej dzielnicy, ale podziwiam tę nową i zrewitalizowaną. Szafa tutaj też jest elegancka i stylowa. Ma piękne drzwi. Została postawiona przy murze Bramy Poznania, ukryta pod budynkiem, nad schodami, które schodzą niemal do Warty. Jest świeżo odmalowana na gołębi kolor, zamykana na tradycyjny haczyk. Taka retro. W środku wygląda jak domowa, w miarę porządkie. Lekki nieład spowodowany jest raczej tym, że rzeczy jest dużo. Miło jest tu pomyszkować.

Gwarancje dobrego losu nie dla każdego

Przy szafie na Jeźcach wreszcie ktoś jest! Starszy mężczyzna. Wygląda jak jeden z mieszkańców Wildy B lub nawet C, nie jak miesz-

kaniec Jezyc. Taki, który może prosi czasem: „Pani da pięćdziesiąt groszy”. Ma opuchniętą i czerwoną twarz, przygarbioną sylwetkę. Przypomina marionetkę w spoczynku. Może być o wiele młodszy, niż wygląda. Wybiera ubrania i przenosi je na pobliską ławkę, a każdą sztukę starannie składa: rękawy równo wzdłuż zewnętrznego szwu, tak samo spodnie.

Przypomina mi się *Antygona w Nowym Jorku* Janusza Głowackiego i końcowa kwestia policjanta o tym, że przynajmniej jeden potencjalny bezdomny jest na sali. Jeden, choć może więcej. Jeszcze nie stracił pracy, zdrowia, zdolności kredytowej, nie powinęła mu się noga w taki czy inny sposób.

Ania Kaczmarek, działaczka społeczna i współzałożycielka Po-Dzielni, twierdzi, że pomoc potrzebującym stała się bardzo istotna, wręcz wysunęła się na pierwszy plan. Przyniosła też nieoczekiwane problemy.

Przychodzili do nich bezdomni, którzy koczowali na dworcu kolejowym. Przybywali w dużych grupach. Czasem przysypiali, brudzili. Wolontariusze byli bezradni. Pomogli streetworkerzy z Barki. Skutecznie — bezdomni nauczyli się, że podobnie jak inni muszą przestrzegać pewnych reguł. Teraz starają się cicho zachowywać, nie spędzają za dużo czasu, wybierają odzież i wychodzą. Sami siebie dyscyplinują i uciszają.

— Przychodzi jakaś grupa, a jedna z tych osób pilnuje porządku i przestrzega innych, na przykład: „A ty już nie przeklinaj” — mówi z uśmiechem Anna.

Na ludzi w kryzysie bezdomności w Po-Dzielni patrzą z dużym zrozumieniem.

— Nie można wymagać, aby utrzymywali porządek na półkach, skoro nie mają porządku w swoim życiu — przekonuje Ania.

Już w trakcie pisania reportażu dowiaduję się, że givebox na Jezycach będzie zlikwidowany. Był regularnie przepełniany i dlatego podjęto taką decyzję.

Naucz się brać

Idea dzielenia się przekornie wywraca pewien ustalony model. Gdzie indziej, aby coś dostać, musisz poprosić albo przed kimś się tłumaczyć, wstydić. Tu drzwi są otwarte. Wszyscy mają równe prawa.

Anna Kaczmarek mówi, że w Po-Dzielni każdy może poczuć się jak pełnoprawny klient w sklepie, może wybrać, co tylko mu się podoba. Tu nikomu nie przypada byle ochłap. Tak Po-Dzielnia walczy z wykluczeniem i prawami kapitalistycznego rynku. Tu nic nie kosztuje, żadna rzecz nie ma metki z ceną.

— To zjawisko, które rośnie, w którym mamy ogromną satysfakcję uczestniczyć i je tworzyć — mówi Kalina Olejniczak, dziennikarka, jedna z założycielek.

Co takiego? Chodzi o odejście od myślenia, że wszystko musi być dla zysku. Może społeczeństwo dojrzało do prawdy, że nie we wszystkim chodzi o pieniądze.

— Ale też nie o jednostkę — dodaje Ania. — Nie chodzi o to, żeby jednostka żyła tylko dla siebie, ale o to, żeby dała również coś dla wspólnoty. Bo w tym całym działaniu ważne jest właśnie budowanie wspólnoty. Zapraszanie ludzi do wspólnych działań.

— Gdyby nie ten zespół wolontariuszy, toby się nie udało, im należy się dziewięćdziesiąt procent chwały. Pracujemy w kolektywie — mówi Kalina.

— Ludzie tworzą to miejsce — potwierdza Anna.

We wspólnocie ważne jest dawanie, ale też i branie.

— Naucz się brać — przekonuje Anna, kiedy opowiadam, że było mi niezręcznie zabrać sobie coś z szafy, nie zostawiając niczego w zamian.

Tego chcą nauczyć ludzi, których życie przyzwyczaiało, że za wszystko muszą zapłacić.

— Chcemy też nauczyć osoby, które stać na kupowanie, aby za-
stanowiły się, czy na pewno muszą kupić to w sklepie. Mogą przecież
poszukać u nas — tłumaczy Anna.

Podzielnie jak biblioteki

Wracam z objazdu po giveboxach, a myśli tłuką się po głowie.
A gdyby takie miejsca jak Po-Dzielnia działały jak biblioteki? Filia
w każdej dzielnicy. Co tam w dzielnicy. Śmiało! W każdej gminie!
W całej Wielkopolsce! Jak Biblioteka Raczyńskich, a Raczyński to prze-
cież praca organiczna. Wystarczyłoby pomieszczenie finansowane przez
samorząd, jeden pracownik, wolontariusze. Obok można utworzyć sta-
nowisko dla przeróbek krawieckich czy cerowania artystycznego jako
kolejne miejsce pracy, które działałoby już za wynagrodzeniem.

Że to wszystko nierentowne, że nie przynosi pieniędzy? No pew-
nie, że nie. Bo to jest inwestycja, i to długoterminowa. Biblioteki też
nie są przecież rentowne. Szkoły nie są rentowne. Służą edukacji. Tak
jak Po-Dzielnia.

Pytam Kalinę i Anię, co myślą o takich bardziej zinstytucjona-
lizowanych filiach Po-Dzielni.

Ania obawia się, że gdy coś zostaje zinstytucjonalizowane, to nie
ma już tego żaru i pasji. Chyba że zatrudni się tych, którzy byli z tym
od początku, są z projektem związani. Kalina podaje przykład ogro-
dów społecznych, w które też jest zaangażowana. Rozkwitły te za-
kładane przez ludzi, społeczne, oddolne inicjatywy. Wskazuje też na
inny problem: Po-Dzielnia zakładana w każdej dzielnicy przez miasto
zagroziłaby małym osiedlowym lumpeksom i sklepikom. Działałaby
wbrew ustalonemu systemowi, który jest ostatecznie oparty na zy-
sku, wymianie. I pewnie z tego względu łatwiej koncepcję zrealizo-
wać, kiedy zajmą się tym społecznicy.

Albo w szkole

Dziewczyny podrzucają jednak inny pomysł.

— Fajnie byłoby zrobić givebox w szkole — mówi z entuzjazmem Kalina. — Nas kiedyś bardzo ucieszyły takie dwie czternastolatki, które powiedziały, że się tu ubierają. Dzieciaki w tym wieku są tak bardzo nastawione na marki i trendy, a zamiast kupować następne ciuchy, mogłyby się nimi po prostu wymieniać.

Kalina twierdzi, że Po-Dzielnia to sen, który się spełnił.

— Naszym marzeniem było, aby to miejsce promieniało, żeby ta idea się roznosiła i by ludzie zakładali podobne miejsca.

Anna dodaje, że wielu nadal nie wierzy i kwestionuje, że mogą na tym nie zarabiać.

Pytam o życzenie do złotej rybki.

— Wiele ciekawych inicjatyw rozbija się o sufit rzeczywistości — potwierdzają.

Obecny lokal mają tylko na trzy lata. Muszą pomyśleć o jego finansowaniu.

— Chcemy przyszłość naszej inicjatywy oprzeć na projektach i konkursach miejskich, realizowanych w Po-Dzielni — deklarują. Na przykład soboty crafterskie, które odbędą się jesienią, różne kursy rękodzieła, w tym krawieckich przeróbek, są z grantu miejskiego.

Kalina podaje jeszcze przykład projektu: Śmieci w kulturze i sztuce.

— Mamy też inne — mówi — ale granty są zawsze mocno celowane, a my musimy myśleć o przetrwaniu i utrzymaniu tego lokalu.

Zero zebry, za to ładne rzeczy

Komu na Świętym Marcinie przeszkadzała zebra, tradycyjne, czarno-białe przejście dla pieszych? Próbuję przejść jak dawniej, ale

kierowca citroëna rusza i omal nie wpadam pod koła. Jestem po drugiej stronie i widzę przed sobą napis: „Ładne rzeczy”. Jak komentarz wypisany na szybie.

To duże, jasne pomieszczenie na parterze kamienicy przy Świętym Marcynie. Nie pamiętam, co tam było wcześniej. Teraz mieści się tu Pracownia Ekonomii Społecznej i Archipogotowie — miejsce, gdzie architekci bezpłatnie udzielają porad architektonicznych.

Archipogotowie to jest właśnie projekt, w którym od początku ramię w ramię działają inicjatywa społeczna i miasto, projekt napędzany z założenia społeczną siłą i miejskimi dotacjami. Archipogotowie założyło miasto i fundacja Na Dużą Skalę. Świeża sprawa, bo działa dopiero od lipca.

— Jako fundacja działamy już od kilku lat — opowiada Jacek Maleszka, prezes fundacji. — Wcześniej jako studenci organizowaliśmy warsztaty, które trwają do dzisiaj. Nazywają się Architektour. Są miejscem spotkań studentów architektury z całej Polski, którzy jadą do różnych miejsc i próbują znaleźć rozwiązania problemów wskazanych przez władze miasta. Uczestnicy dostają konkretne zadania, a miasto — gotowe koncepcje. W trakcie tych spotkań doszliśmy do wniosku, że przeciętny mieszkaniec miasta uważa, że usługa architektoniczna nie jest dla niego. Jest postrzegana jako droga i prestiżowa. A są przecież sytuacje, w których można się poradzić, dopytać choćby o to, jak wygląda procedura, przez którą należy przejść. Często brakuje świadomości, że wiele kwestii regulują przepisy, że gdyby zrobić pewne rzeczy wcześniej, można by uniknąć wielu problemów.

— Z tego też biorą się samowole budowlane, których jesteśmy albo sprawcą, albo ofiarą — dopowiada architektka, która właśnie tego dnia pełni dyżur i doradza mieszkańcom w Archipogotowiu.

Jak powiększyć balkon w bloku, jak przebudować lokal na sklep lub pracownię, czy przebudowa restauracji na parterze nie zagro-

zi mieszkańcom — z takimi problemami przychodzą ludzie. Są też kwestie estetyki, na przykład szyldy, które leżą przede wszystkim na sercu miastu — zbyt krzykliwe, tandetne, stały się zmorem Poznania. Archipogotowie projektuje je na nowo, tak by były spójne, dopasowane do przestrzeni miejskiej. Trudny projekt, bo ludzie znają się na wszystkim, a przede wszystkim na projektowaniu — dopóki nie zobaczą, jak może to zrobić profesjonalista.

Architekci podają mi przykład pięknego, szachulcowego budynku na ulicy Dąbrowskiego, upstrzonego masą szyldów i reklam. Projektantka nie mogła na to patrzeć, sama, z własnej inicjatywy zrobiła projekt. Spodobał się najemcom.

Do Archipogotowia zgłaszają się podobne osoby. Mają świeże pomysły i energię.

Pomocy! Budują nam... fabrykę, odlewnię, fermę kur

Tutaj także możemy się dowiedzieć, co zrobić, kiedy na przykład tuż obok osiedla mieszkaniowego ktoś chce wybudować obiekt przemysłowy. Bo według obowiązującej procedury mieszkańcy mogą się wypowiedzieć. Mają taką możliwość, ale nie każdy jest tego świadomy.

— Być może ktoś przyjdzie nie z problemem, że coś chce zrealizować, ale z tym, że właśnie trwa taka procedura i on chce się zastanowić, czy to jemu i innym mieszkańcom w jakiś sposób nie zagraża — komentuje Jacek Maleszka.

Od razu przypomniała mi się Magda i jej opowieść o wieloetapowym dialogu, który mieszkańcy Wildy prowadzili z odlewnią.

— Człowiek naprawdę może mieć głos — opowiadała. — Trzeba tylko chcieć w tym uczestniczyć.

Cud w Mediolanie

Akurat wtedy były tylko pączki i pomidory. Zimno. Chciałoby się czegoś słodkiego. Obok Jadłodzielni przechodzi mężczyzna, na oko po pięćdziesiątce, ubrany ze smakiem, mało wildecki. Ma ochotę na ciastko.

Magda mówi mu, że dostanie je za darmo. Wyjaśnia, o co tu chodzi: że ludzie przynoszą jedzenie, a inni je zabierają. A pączki są dobre, dopiero przyszły, może jeść spokojnie.

Mężczyzna się rozpromienia. Mówi, że pochodzi z Mediolanu. Zakochał się i porzucił Włochy, ale w tej Polsce zimno, szaro i biednie. Magda mówi, że na przeglądzie filmów włoskich widziała *Cud w Mediolanie*, który bardzo pasuje do Jadłodzielni, bo jest o tych biednych i wykluczonych, którzy żyją w byle jak skleconych budach na przedmieściach miasta.

Włoch promienieje powtórnie.

— *Cud w Mediolanie*, no jasne! Vittorio De Sica! — wykrzykuje radośnie.

I idzie dalej gładko ta rozmowa, jakby spotkali się nie na targowisku, tylko w DKF. Sąsiedzi straganiarze ważą, liczą, obsługują, ale widać, że nasłuchują.

A cud w Mediolanie zdarzył się taki, że ci wszyscy biedni i wykluczeni polecili do lepszego świata. I to nie na rajskich skrzydłach czy bajkowych dywanach, tylko na tym, co mieli pod ręką, czyli na zwykłych miotłach.

Takie cuda zdarzają się tylko w kinie. W życiu potrzebni są społecznicy.



Anna Jantos

W kobiecych rękach

➤ Zofia Tułodziecka
Ze zbiorów Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk

Mówią, że „kraczą”, gdy one tylko przewidują konsekwencje. Mówią, że przesadzają, gdy one po prostu chcą zapobiegać. Ale dopóki nie ma dla nich znaczenia, co mówią, potrzeby społeczne są zaspokajane. I tak walczą od lat. Nie działem, a działaniem.

Przy Ratajczaka jest market spożywczo-monopolowy. Kilka metrów dalej brama, a w niej — klub dyskusyjny. Po kilkugodzinnej podróży do Poznania odczuwam głód. Wchodzę do sklepu. Płacąc za zakupy, przez otwarte drzwi słyszę, że co i rusz jednemu z dysputantów coś się „urywa”. Ktoś inny mocno nadużywa zaimka „ja”. Zawsze z końcówkami „-ebię” lub „-dolę”. Odgryzam kawałek batonika i ruszam w stronę placu Wolności. Na wysokości bramy mijam dwie młode blondynki w skąpych szortach i bluzkach na ramiączkach. Dyskusja w klubie milknie, by za moment rozgorzeć ze zdwojoną siłą.

— Ale dzidy! — krzyczy gardłowym głosem jeden z mężczyzn.

Ten drugi odpowiada swoją ulubioną ripostą z wulgarnym zakończeniem. Bardzo się stara, by wyszło wyraźnie. Idę dalej.

Czy to one są „dzidy”, czy ja też „dzida”? — łapię się na tej myśli. Przecież to nie ma znaczenia kto. Z oddali słyszę, że klub podjął już nowy temat: składki członkowskiej na dziś.

Różne miejsca

Budynek Archiwum Państwowego w Poznaniu. Temperatura powietrza przekroczyła trzydzieści stopni Celsjusza. W niewielkiej czytelni tlen jest towarem deficytowym. Odbieram zamówione dokumenty. Uśmiecham się na ich widok. Siwy pracownik archiwum zerkając zaskoczony znad okularów. Wydaje się zmęczony upałem i moim entuzjazmem.

— Nie spodziewałam się, że tyle tego będzie — tłumaczę swoją radość. Siadam przy wolnym stoliku. Otwieram poślisk skoroszytu. Z podniszczonych kart odczytuję ostatnią wolę pionierki kobiecego ruchu zawodowego w Wielkopolsce:

Majątek ten, przekazuję tylko na linję żeńską ponieważ mężczyźni łatwiej dochodzą do samodzielnych stanowisk i dorabiają się majątków. [...] Wszystko co się okaże po mojej śmierci zbyteczne sprzedać na korzyść ubogich, ale ludzi uczciwych nie wyzyskiwawszy. [...] Pogrzeb niech będzie urządzony po chrześcijańsku i katolicku ale w jak najskromniejszych rozmiarach — najlepiej III klasy — żadnych pomników i ostentacji, ani wieńców na trumnę, bom tego nie warta, lepiej dać ubogim, może się znajdzie jaka dobra dusza, to zanieś do Boga szczere westchnienie za zmarłą.

Poznań 17 kwietnia 1923. Zofja Tułodziecka¹.

¹ Testament Zofji Tułodzieckiej, Poznań 17.04.1923 r., Archiwum Państwowe w Poznaniu (teczka Prezydium Policji w Poznaniu).

Bielone ściany, śródziemnomorski wystrój. Klimatyzacja! Naprzeciwko mnie poznanianka z krwi i kości — Joanna Ciechanowska-Barnuś. Znam ją od niedawna; jej bystre spojrzenie, umiejętność prowadzenia ciekawych rozmów i otwartość. Poznałyśmy się podczas warsztatów reportażu w Antoninie. Z portalu onepoznan.pl dowiaduję się, że uczyła języka polskiego, między innymi w Liceum Świętej Marii Magdaleny, współtworząc nowe oblicze szkoły. Kierowała Pracownią Informacji i Wydawnictw w Ośrodku Doskonalenia Nauczycieli w Poznaniu. Od ponad dziesięciu lat aktywnie działa w sektorze pozarządowym. Prowadzi kursy i szkolenia, a w wolnym czasie angażuje się w sprawy przeciwdziałania wykluczaniu kobiet z życia publicznego oraz wspierania kobiet liderek. Od dwóch lat walczy również o prawo osób w wieku dojrzałym do aktywności, przekonując do tworzenia nowoczesnych miejsc spotkań i rozwoju seniorów. I to nie koniec wyliczanki.

Joanna wie, że chcę z nią rozmawiać o kobietach, o emeryturze, o działaniach społecznych. Bliskie są jej siostry Tułdzieckie. Uprzedza moje pytanie o zgodę na włączenie dyktafonu:

— Możemy nagrywać. — Kiwa głową. — W zeszłym roku Maszyna [do Pisania — przyp. A.J.] ogłosiła konkurs na opowiadanie z powstaniem wielkopolskim w tle. Wcieliłam się w taką rolę jak ty teraz. Zaczęłam gromadzić materiały. Zwierzyłam się z mojego zainteresowania przyjaciółce, z którą chodzę na basen. Irenka ma osiemdziesiąt lat i wygląda jak gwiazda. Ma niezwykłą sprawność umysłową, ciągle jest aktywna. Mówi, że zaprowadzi mnie do źródła, że jest pan, którego zna, szef stowarzyszenia zajmującego się historią powstania wielkopolskiego. Miło nas przyjął, starszy, kulturalny. Ja mówię, że chciałabym pisać o powstaniu. Wyciąga jedną, drugą, piątą książkę. Patrzę na nie i widzę, że wszędzie jest facet w tle. „Ale ja bym chciała w tym opowiadaniu pisać o ko-

bietach”, mówię. Słuchaj, na twarzy tego przemilego człowieka pojawił się nagle grymas niechęci. „Wie pani, o kobietach to nic nie ma. Kobiet nie było w powstaniu”. Ożeż ty — powiedziałam w duchu. Gdy wyszłyśmy, oznajmiłam przyjaciółce: „Irenko, ja i tak będę pisała o kobietach, nawet jeśli ich tam nie było”. Potem rzuciłam się do tych matek powstania i pomyślałam sobie, że to jest to, co my mamy w głowach. Że jak mówimy o zmianie społecznej, to pokazujemy faceta, który idzie się bić o ojczyznę, przeleje krew. Najlepiej, żeby jeszcze stracił tam życie. Mnie to tak wpienia. Od zawsze. Ja się z tym w zasadzie urodziłam. I ja myślę, że tak samo jest z tą Tułodziecką, że ona też musiała się z tym urodzić. Bo ludzie, którzy wykształcą te aktywności w piaskownicy, w rodzinie, idą potem z tym przez całe życie i tych aktywności szukają.

Różne historie

Wirnik niewielkiego wentylatora w rogu czytelnicy rytmicznie trze o obudowę. Przede mną jeszcze stosik odręcznych notatek i wycin-ków prasowych z początków poprzedniego stulecia.

„Wielkopolanin” z 1 maja 1903 roku donosi:

Nowe Towarzystwo dla niewiast zawiązało się w Poznaniu na sali bazarowej w niedzielę. Jest to Stowarzyszenie personelu żeńskiego w handlu i przemyśle, [...] przewodniczącą obrano p. Zofię Tułodziecką [...]. Towarzystwo to ma dla Poznania wielkie znaczenie! Zważmy na to, jak niesłychanie liczną jest liczba Panienek w składzie kupieckim i w przemyśle żeńskim, a te wszystkie chodzą w samopas i nie łączą się jedna z drugą, to też nie mogą mieć świadomości o wspólnych interesach materialnych. Wszelkiego rodzaju kupcy i przemysłowcy wyzyskują ich ciężką nieraz pracę, za zapłatę, która

wprawdzie wystarcza, aby z głodu nie poumierały, ale która trzyma je w biedzie i ciągłym niedostatku².

Członkowie zwyczajni stowarzyszenia, jak dowiaduję się z ustawy Towarzystwa, to osoby płci żeńskiej: „szwaczki, kasyerki, księżkowe, sprzedawczki”³ itp. Mogą korzystać z opieki organizacji i mają prawo głosu na zebraniach. Wysokość wstępnego dla zwyczajnego członka wynosi pięćdziesiąt fenigów, a roczna składka trzy marki. Członkiem wspierającym Towarzystwo może stać się każdy, kto zapłaci sześć marek rocznie. Na zebraniach przysługuje mu jednak tylko prawo głosu doradczego. Organami przewodniczącymi są Zarząd i Rada. Tułodziecka staje na czele siedmioosobowej Rady Towarzystwa, w niedługiej przyszłości zostanie przewodniczącą Zarządu. Ma pięćdziesiąt trzy lata. Jest samodzielną kobietą z początku XX wieku.

Zofja⁴ uszyła tę niezależność własnymi rękami. Z pomocą igły i krawieckich nici. Długie godziny spędziła w skromnej pracowni przy ulicy Strzeleckiej w Poznaniu. Otwierając ją, miała szesnaście lat. Razem z młodszą siostrą Anielą, znaną działaczką oświatową, zmieniała kobiecą modę na ulicach zaboru pruskiego zgodnie z najnowszymi trendami z Paryża i Berlina. Siostry Tułodzieckie wprowadzały reformę ubioru, która pod koniec XIX wieku wraz z postępującą emancypacją kobiet dotarła do stolicy Niemiec, a potem do Poznania. Po latach ciężkiej pracy otworzyły Salon Mód przy Alejach Marcinkowskiego 20 (wówczas ul. Wilhelmowska). Poluźniając gorsety i redukując licz-

² Nowe Towarzystwo dla niewiast, „Wielkopolanin” nr 99/1903, Archiwum Państwowe w Poznaniu (teczka Prezydium Policji w Poznaniu).

³ *Ustawy Stowarzyszenia personelu żeńskiego w handlu i przemyśle*, art. II § 4, Poznań 1903.

⁴ Zofia Tułodziecka używała swego imienia w formie „Zofja” (tak też o niej pisała A. Koehlerówna), stąd w reportażu zachowano archaiczną wersję zapisu imienia.

bę halek, pomagały kobietom w poprawie zdrowia i podejmowaniu aktywności. Miejsce, jak Aniela Koehlerówna pisze w wydanej w 1933 roku broszurze poświęconej działalności Tułodzieckiej, cieszyło się wielkim uznaniem. „Praca nie wypełniła całego jej życia. Znając z doświadczenia zawody i gorycze ciężkiej nieraz doli pracownicy igły oraz kobiet pracujących w handlu, zajęła się ich losem”⁵.

Cel, jaki Tułodziecka wyznacza sobie w pierwszej kolejności, to wspieranie członkiń poprzez pośredniczenie w otrzymaniu posady, świadczenie porad prawnych, urządzanie kursów naukowych, wykładów, popisów gimnastycznych oraz założenie biblioteki. Ta ostatnia kwestia stanowiła priorytet. Potrzebowano pieniędzy, a książki były bardzo drogie. Zarząd organizuje zabawę „latową” (letnią) w tak zwanym Belwederze na Wildze. Zamieszcza w „Dzienniku Poznańskim” zaproszenie:

*Spodziewamy się, iż bardzo urozmaicony program oraz zabiegi gorliwych członków, aby zabawę uczynić szczerą i ochoczą, pozwolą nam osiągnąć cel główny, jakim jest myśl założenia własnej biblioteki. Wiemy dobrze, iż Towarzystwo bez własnej biblioteki to jak budynek bez cementu*⁶.

„Wielkopolanin” z 24 czerwca 1903 roku tak opisuje to wydarzenie:

Przy pięknej pogodzie rozwinęła się zabawa ku zadowoleniu licznej publiczności, głównie młodzieży, gdyż brakło głównego za-

⁵ Aniela Koehlerówna, *Zofja Tułodziecka — pionierka ruchu zawodowego w Wielkopolsce*, Kraków 1933, s. 7.

⁶ „Dziennik Poznański” nr 137, czerwiec 1903, Archiwum Państwowe w Poznaniu (teczka Prezydium Policji w Poznaniu).

stępu panów pryncypałów, którzy powinni byli nadać ton poważny tej zabawie. Oprócz kilkunastu zawsze wypróbowanych i chętnych w niesieniu usług publicznych tak zwani wielcy pryncypałowie świecili nieobecnością⁷.

Mimo to dochód z przeprowadzonej „licytacji amerykańskiej” opiewa na pokaźną sumę dwustu marek. W październiku 1903 roku Stowarzyszenie otwiera bibliotekę dla członków, czytelnię dla kobiet i osób prywatnych. Od maja przy ulicy Wronieckiej działać zaczyna biuro pośredniczenia w pracy. Ruszają kursy kaligrafii, kroju bielizny i krawiecczyny. Bierze w nich udział kilkadziesiąt kobiet. Nie dla wszystkich starcza miejsc. Rada postanawia więc wynająć dodatkowy lokal. Pod opiekę Towarzystwa już w pierwszym roku działalności trafiają też małoletnie pracownice magazynów i fabryk. Specjalnie dla nich w niedziele urządza się pogadanki.

— Jak tylko poszłam na emeryturę — opowiada Joanna Ciechanowska-Barnuś — pierwsze, czego szukałam dla siebie, to miejsca do rozwoju. Ja całe życie się uczyłam. A teraz miałam siedzieć w domu? Miałam pięćdziesiąt lat. Przede mną perspektywa co najmniej kolejnych trzydziestu. Ja chcę się włączać, ja chcę być. Ja nie chcę za to pieniędzy. Przecież warunkiem dobrego życia są ruch i aktywność. Zgłosiłam się do Centrum Inicjatyw Senioralnych, deklarując, że chcę wziąć udział w jakiejś inicjatywie. I zaprosili mnie na spotkanie w sprawie pisania bloga. Zajęcia prowadziła młoda dziewczyna. Było ze trzydzieści osób. Usiedli i pani tłumaczyła, jak się pisze bloga, gdzie go można założyć. Nie mieli nawet laptopa, żeby samemu to zrobić. To się odbywało na prezentacji. Pani pewnie wygrała jakiś konkurs. Pokazywała różne blogi, opowiadała,

⁷ „Wielkopolanin” nr 148/1903, Archiwum Państwowe w Poznaniu (teczka Prezydium Policji w Poznaniu).

czego one mogą dotyczyć. W połowie zajęć wyszłam. Zrozumiałam, że jak jestem teraz seniorką, to chcą mnie prowadzić przez świat, jakbym go nie rozumiała. Na Boga! Ja ten świat rozumiem. Nie takiej pomocy potrzebuję. Coś tu nie gra. Potem zapisałam się na uniwersytet trzeciego wieku i odkryłam, że to są projekty biznesowe, za to się płaci. To nie są kwoty duże, ale to jest projekt, który się samofinansuje. Zapisałam się na zajęcia kółka teatralnego. Spodziewałam się, że tam się coś zadzieje. Zajęcia prowadziła bardzo młoda osoba. To nie jest tak, że ja mam coś przeciwko młodym. Pokazuję tylko mechanizm. Zapytałam ją o doświadczenie. Podobno wcześniej prowadziła już zajęcia z seniorami. Zapowiedziała, że po roku mamy mieć jakiś pokaz. Na pierwszych zajęciach przedstawiliśmy się sobie nawzajem. Na drugich uczyliśmy się głębokiego oddechu, na trzecich pogłębialiśmy oddech, na czwartych położyła nas na dywanie i uczyliśmy się głębokiego oddechu na wydechu. Siedemdziesięcioletnie panie z trudem wstawały z podłogi. Na piątych zajęciach trenowaliśmy głęboki oddech na krótkim wierszu. Na szóste już nie przyszłam. Zrozumiałam, że uniwersytet trzeciego wieku i wszystko, co się daje seniorom, niesie ze sobą duże niebezpieczeństwo. My jako seniorzy, jako ta grupa ludzi starszych, staliśmy się takim samym przedmiotem, jakim są dzieci. Z tą tylko różnicą, że dzieckiem każdy z nas był i coś z tego okresu pamięta. Nikt wcześniej nie był seniorem. I dlatego ludziom brakuje wyobraźni. Jak nie masz doświadczeń, projektujesz tylko niechęć do tego starzejącego się człowieka. Wszystkie oferty, które śledzę, są takie, że my dajemy wam opiekę i zaprosimy kogoś młodszego. To są te projekty międzypokoleniowe. Tylko pytam: dlaczego zajęć teatralnych nie poprowadzi kobieta, która ma skończone sześćdziesiąt lat i doskonale wie, że siedemdziesięciolatka z dywanu nie wstanie? Na cholerę nam te oddechy na leżąc? Inaczej się prowadzi grupę młodzieżową, inaczej ludzi starszych. Proces trzeba budować wokół

relacji, której w projekcie międzypokoleniowym nie ma. I wtedy postanowiłam, że chcę to zmienić.

Ta sama determinacja

Czytam, że zgodnie z paragrafem drugim punktu pierwszego ustawy Stowarzyszenia „omawianie spraw religijnych i politycznych na zebraniach towarzystwa jest zabronione”⁸. Lokalna prasa narodowo-chrześcijańska mocno przygląda się jednak działalności Towarzystwa. W listopadzie 1903 roku wybucha pierwszy skandal związany z planowanym na 5 listopada referatem znanej socjalistki Jadwigi Gulińskiej *O prądach społecznych w najnowszej literaturze polskiej*. Gazeta „Orędownik” pisze: „Bardzo się dziwimy Paniom, które należą do Zarządu, a jeszcze więcej Panom, którzy do tego Zarządu należą. Ponieważ z łaski tych Pań pani Gulińska po raz drugi daje znać o sobie”⁹. „Kurjer Poznański” przywołuje tłustym drukiem stanowisko „Wielkopolanina” z 4 listopada 1903 roku: „Wszystkie pisma polskie powinny energicznie wystąpić przeciwko takiemu przemycaniu socjalizmu”¹⁰. Zarząd ulega ostatecznie presji i odwołuje wykład.

Działalność Zofji i jej współpracownic staje się jeszcze wielokrotnie źródłem ataków prasy. W 1904 roku, w październiku, siostry Tułodzieckie organizują w Poznaniu wiec. Dziennikarze próbują zapobiegawczo zdyskredytować go jeszcze przed rozpoczęciem.

⁸ Ustawy Stowarzyszenia personelu żeńskiego w handlu i przemyśle, art. I § 2, Poznań 1903.

⁹ „Orędownik” nr 253, listopad 1903, Archiwum Państwowe w Poznaniu (teczka Prezydium Policji w Poznaniu).

¹⁰ „Kurjer Poznański” nr 253, listopad 1903, cyt. za: „Wielkopolanin” z 4 listopada 1903, Archiwum Państwowe w Poznaniu (teczka Prezydium Policji w Poznaniu).

W „Dzienniku Poznańskim” pojawiają się głosy obywatelskie. „Matka polka” pisze:

sejmikowaniu kobiecemu jestem przeciwna. [...] Żyjemy w czasach wybuchającego feminizmu [...]. Kobiety niech działają tam cicho i skrzętnie, gdzie ich właściwe pole działania, tj. w domu. Jak we wojsku powinny odznaczane być kobiety, które Polsce najwięcej synów rodzą. Jedno polskie dziecko na świat wydane znaczy więcej jak sto dysput rozczochranych lub pięknie uczesanych feministek¹¹.

Wiec odbywa się mimo sprzeciwów, ale jego program jest umiarkowany. Dotyczy ochrony języka narodowego. Odezwa do kobiet utrzymana jest w duchu narodowo-katolickim. Nerwowa atmosfera cichnie.

Największa nagonka przychodzi dopiero w następnym roku. Tułdziecka zostaje jedną z organizatorek I Zjazdu Kobiet Polskich, który odbywa się w Krakowie pod koniec października. Jak wspomina Koehlerówna, zjazd ma „połączyć kobiety trzech zaborów pomimo różnicy poglądów, stronnictw i sfer”¹². „Dziennik Poznański” pisze, iż odbywa się on „pod hasłem walczącego feminizmu”¹³. Nie podaje programu zjazdu i odnosi się do wydarzenia z pogardą. Wspomina natomiast dobitnie, iż „sprawiono łaźnie W. Ks. Poznańskiemu za reakcyjność, nazywając tę dzielnicę Polski zatęchłym bagnem i przykładem zwyrodnienia [...], a przywiązanie do katolicyzmu nazwano gorszym od hakaty”¹⁴. Choć Tułdziecka staje na zjeździe w obronie

¹¹ (S.C.), *Głos matki polki o wiecu dla kobiet*, „Dziennik Poznański” nr 245, październik 1904, s. 1.

¹² Aniela Koehlerówna, dz. cyt., s. 16.

¹³ (S.), *Echa z Krakowa*, „Dziennik Poznański” nr 245, październik 1905, s. 2.

¹⁴ *Epilog Zjazdu kobiet polskich w Krakowie*, „Dziennik Poznański” nr 246, październik 1905, s. 3.

katolicyzmu, prasa poznańska uznaje, że sam udział przewodniczącej Stowarzyszenia w wydarzeniu jest karygodny. Koehlerówna wspomina, iż Zofja na przypisywane jej socjalistyczne tendencje odpowiadała: „Socjalistką nie jestem i nigdy nie będę, bo zbyt drogie są mi moje ideały narodowe i religijne”¹⁵.

W ogłoszeniu zamieszczonym w dzienniku „Praca” z 3 grudnia 1905 roku natrafiam na informację:

*nasza zacna przewodnicząca Rady Sz. P. Tułodziecka, z powodu zaczepek prasy i kłamiwych, a niesłusznych zarzutów, wystąpiła z Rady. Członkinie Towarzystwa na łamach gazety wzywają wszystkie Panie, które dotąd swych podpisów nie złożyły pod petycją z prośbą do Sz. P. Tułodzieckiej, ażeby znowu swoje stanowisko zajęła*¹⁶.

Tułodziecka, podbudowana głosami kobiet, wraca do Rady Stowarzyszenia. Podejmuje też zupełnie nową inicjatywę. W 1907 roku zakłada spółkę udziałową pod nazwą Pracownia sukien. Jak pisze Koehlerówna, ma ona „na celu zwalczanie konkurencji miast obcych [niemieckich — przyp. A.J.] i podniesienie zawodu krawieckiego damskiego, przez wyszkolenie pracownic igły”¹⁷. Z początku pracuje w niej osiem krawcowych i piętnaście uczennic, które przez dwa i pół roku uczą się zawodu. Ich obowiązkiem jest również uczęszczanie na wieczorne kursy literatury i języka ojczystego do Stowarzyszenia personelu żeńskiego. Stając się współniczkami pracowni, otrzymują jednakową dla wszystkich część zysku.

¹⁵ Aniela Koehlerówna, dz. cyt., s. 17.

¹⁶ „Praca” nr 49, grudzień 1905, Archiwum Państwowe w Poznaniu (teczka Prezydium Policji w Poznaniu).

¹⁷ Aniela Koehlerówna, dz. cyt., s. 12.

Na stronie Poznańskiego Budżetu Obywatelskiego 2018 znajduje się krótki opis projektu Odnova: „Miejsce, dla którego współczesny senior ma powód, by wstać z kanapy i działać”¹⁸. Wnioskodawcą jest Joanna Ciechanowska-Barnuś. Koncepcję opracowała razem z Anną Stuligrosz-Biedak. Pytam, co z tym miejscem.

— To będzie! — odpowiada energicznie Joanna. — Będą urzędnicy, koordynatorzy. Ja sobie to wyobrażam tak: idziesz na emeryturę, idziesz do takiego centrum i mówisz: „Mam takie i takie kompetencje, chciałabym raz w tygodniu robić to i to, dajcie mi miejsce i poinformujcie ludzi”. A to, czy ty będziesz to robiła za darmo w ramach wolontariatu, czy uzyskasz minigrant z miasta, to jest inna bajka. Chodzi o to, żebyśmy się nauczyli, że senior między sześćdziesiątym a dziewięćdziesiątym rokiem życia to jest całe życie. I tak jak trzeba dla ludzi do osiemnastego roku życia zrobić żłobek, przedszkole, szkoły i to, co jest poza edukacją formalną, tak dla seniorów trzeba zrobić zestaw ofert. Żeby oni mogli dawać z siebie. W Poznaniu jest sto czterdzieści sześć tysięcy seniorów. Nawet jeśli pozyskamy setkę takich liderów, którzy są zainteresowani tym, żeby dawać, to pozostali będą z tej oferty korzystać. I jeszcze nawiążę do międzypokoleniowości. Nie chcę tworzyć getta dla starych ludzi. Ale międzypokoleniowość, w której wy nam dacie młodego, a my go posłuchamy, buduje tylko mury. To musi być wymiana. Odnova ma być miejscem, w którym wszyscy będziemy się uczyć siebie od nowa. Takie centrum w Poznaniu powstanie. W tej chwili przygotowuję koncepcję. Kto ma to obsługiwać? Jakie będą projekty, programy? To się zrobi!

Pracownia sukien i Stowarzyszenie personelu żeńskiego funkcjonują prężnie przez kilkanaście lat. Do czasu rezygnacji Zofji Tuło-

¹⁸ Poznański Budżet Obywatelski 2018, https://pbo2018.um.poznan.pl/i/pbo-2018/proposal/490-Odnova_nowoczesne_miejsce_aktywno%C5%9Bci_s [data dostępu: 2.09.2019].

dzieckiej z prowadzenia tych inicjatyw. W 1920 roku Stowarzyszenie łączy się z Towarzystwem Młodzieży Kupieckiej. Przez wiele lat Zofji udaje się jednak utrzymać niezależność — pomimo licznych wezwań do „jednoczenia się” stowarzyszeń kobiecych. Koehlerówna pisze:

Jako pionierka myślącej i samodzielnej kobiety obawiała się utraty tej samodzielności i podporządkowania się „Związkowi kobiet pracujących”, pozostających pod patronatem duchowieństwa¹⁹.

Otwieram niewielką broszurę: *Sprawozdanie Stowarzyszenia personelu żeńskiego w handlu i przemyśle za czas od 1.01.1907 do 1.01.1908 roku*. Zaczyna się od statystyk i podsumowania finansowego:

Członków zwyczajnych: 331, wspierających 52. Zebrań miesięcznych odbyło się 12, referatów wygłoszono 11. [...] Na rok 1908 zostaje saldo: 396,28 marek, czysty zysk z zabaw wynosi 792,61 marek²⁰.

Do biura pośredniczenia pracy

zgłosiło się członków 52, z tych umieszczono 30 [...]. Z kursów zawodowych odbywają się obecnie: nauka książkowości, kroju damskiej krawiecczyny, pisowni polskiej, śpiewu [...]. Wiec w sprawie kobiet pracujących w handlu i przemyśle zwołany na 20 października odbył się na sali Bazarowej²¹.

¹⁹ Aniela Koehlerówna, dz. cyt., s. 18.

²⁰ *Sprawozdanie Personelu stowarzyszenia żeńskiego w handlu i przemyśle za czas od 1.01.1907 do 1.01.1908 roku*, Poznań 1908.

²¹ Tamże.

Od sprawozdania odrywa mnie cisza. Wirnik wiatraka nie trze-
już o obudowę. Wentylator jest wyłączony. Za szklanymi drzwiami
czytelni dostrzegam uśmiechniętą twarz siwego archiwisty. Jego pa-
lec wskazuje na tarczę zegara. No tak, wakacje! Archiwum kończy
pracę wcześniej. Teraz to ja jestem zaskoczona. Czuję zmęczenie po
kilku godzinach przebywania w dusznej sali. 1:1, panie okularniku.

Przed wyjściem z budynku archiwum przyglądam się jeszcze
dziewiętnastowiecznej mozaice na klatce schodowej budynku. Zło-
to i błękit wypełniające wzór nieco wyblakły, ale świadczą o dawnej
świećności tego miejsca. Znów obieram ten sam kierunek — plac
Wolności. Wyskakuję prosto na gotującą się ulicę 23 Lutego.

— Świadomość osób starszych się zmienia — mówi Joanna
Ciechanowska-Barnuś. — Moje pokolenie jest powojenne. Do-
brze wykształcone. Przyzwyczajone do tego, że świat się zwiedza.
Ludzie z mojego pokolenia gdzieś chcą jechać. Coś chcą wiedzieć.
Jest mnóstwo obszarów, w których mogą być dla siebie wsparciem.
Najważniejsza rzecz na starość to mieć przyjaciół. I te wspólnoty
trzeba umieć budować, a my się jako społeczeństwo musimy tego
nauczyć.

„Projekt uzyskał opinię pozytywną pod względem merytorycz-
nym. Jest rekomendowany do realizacji” — informuje strona Po-
znańskiego Budżetu Obywatelskiego 2018.

Na pożegnanie Joanna wręcza mi album poświęcony działalno-
ści klubu studenckiego *Od nowa (1958–1970)*. Mieścił się on przy
ulicy Wielkiej 1–6. Nowoczesne miejsce aktywności seniorów ma
nawiązywać do idei ówczesnych spotkań towarzyskich, kreatywno-
ści. Nawet lokalizacja będzie ta sama. Koncepcja architektoniczna
dla nowej Odnowy jest już opracowana. Dostaję zaproszenie na bal
otwarcia i uścisk. Dość mocny jak na drobną seniorkę.

Jest parno. Chmury krążą nad Fontanną Wolności. Na tablicie
scrolluję zdjęcia dokumentów z archiwum. Natrafiam na artykuł

„Kurjera Poznańskiego” z 22 października 1907 roku zatytułowany *Wiec w sprawie pracujących kobiet w handlu i przemyśle*. Autor relacjonuje: „Po załatwieniu wstępnych formalności wygłosiła referat jako pierwsza Zofja Tułodziecka o potrzebie uświadamiania kobiet w sprawach społecznych i ekonomicznych”. Wczytuję się w przytoczone fragmenty:

[Winę — przyp. A.J.] za bierność w sprawach społeczno-ekonomicznych ponosi specjalnie dla kobiety uprawiana kultura, którą ona zniewoloną była przyjąć, a której piętno swoje wycisnęła na całym życiu kobiety, oddając ją w zależność wszelkiej brutalnej przemocy [...]. Kobieta posiada umysł równie twórczy jak mężczyzna, a w praktycznym życiu dzięki moralnej swej wartości o wiele lepiej orientować się potrafi. [...] Na pogńębienie kobiety wpływają prawa, które na równi stawiają ją z dziećmi i idiotami, a przecież te same umysłowo niedojrzałe kobiety — to matki tych ludzi, co prawa dyktują, to matki całych zastępów ludzi uczonych [...]. Świat potrzebuje dziś kobiety innej, nowej, wolnej obywatelki, która by obok mężczyzny jako towarzyszka pracowała, wypełniając próżnie, jakie się tworzą w tych społeczeństwach, w których kobiety są praw pozbawione²².

Zaczyna grzmieć. Przenoszę się do Biblioteki Raczyńskich przy Alejach Marcinkowskiego. Kolorowe pufy w holu są już pozajmowane, siadam więc na podłodze, pod ścianą. Przewijam tekst do motta przemówienia Tułodzieckiej. To słowa doktora Augustyna Wróblewskiego:

²² *Wiec w sprawie pracujących kobiet w handlu i przemyśle*, „Kurjer Poznański” nr 243, październik 1907, Archiwum Państwowe w Poznaniu (teczka Prezydium Policji w Poznaniu).

*Świadomość to taka władza człowieka, za której pomocą on wie, co się z nim dzieje, świadom jest siebie i otoczenia. Tego, co inni robią, i tego, co trzeba zrobić. Uświadamianie zdobywa się bardzo drogim kosztem i ogromnymi wysiłkami ducha. Stąd wielkim złem jest wszystko to, co przeszkadza do uświadamiania*²³.

Za szklaną witryną biblioteki widzę ścianę deszczu. Leje już w całym Poznaniu. Wracam myślami na Ratajczaka. Wyobrażam sobie, że brama klubu dyskusyjnego przyjmuje teraz pod swój dach przypadkowych przechodniów. Może uchroni przed ulewą jakąś „dzi-dę”? Albo seniora? Może w podzięcie wspomogą oni „płynną” kasę klubową?

Bibliografia

Aniela Koehlerówna, *Zofia Tułodziecka — pionierka ruchu zawodowego*, Kraków 1933.

„Dziennik Poznański” nr 137, czerwiec 1903, Archiwum Państwowe w Poznaniu (teczka Prezydium Policji w Poznaniu).

Epilog „Zjazdu kobiet polskich” w Krakowie, „Dziennik Poznański” nr 246, październik 1905.

„Kurjer Poznański” nr 253, listopad 1903, Archiwum Państwowe w Poznaniu (teczka Prezydium Policji w Poznaniu).

Nowe Towarzystwo dla niewiast, „Wielkopolanin” nr 99/1903, Archiwum Państwowe w Poznaniu (teczka Prezydium Policji w Poznaniu).

„Orędownik” nr 253, listopad 1903, Archiwum Państwowe w Poznaniu (teczka Prezydium Policji w Poznaniu).

²³ Tamże.

Poznański Budżet Obywatelski 2018, https://pbo2018.um.poznan.pl/i/pbo-2018/proposal/490-Odnowa_nowoczesne_miejsce_aktywno%C5%9Bci_s [data dostępu: 2.09.2019].

„Praca” nr 49, grudzień 1905, Archiwum Państwowe w Poznaniu (teczka Prezydium Policji w Poznaniu).

(S.), *Echa z Krakowa*, „Dziennik Poznański” nr 245, październik 1905.

(S.C.), *Głos matki polki o wiecu dla kobiet*, „Dziennik Poznański” nr 245/1904.

Sprawozdanie personelu stowarzyszenia żeńskiego w handlu i przemyśle za czas od 1 stycznia 1907 do 1908, Poznań 1908.

Ustawy Stowarzyszenia personelu żeńskiego w handlu i przemyśle w Poznaniu, Poznań 1903.

Wiec w sprawie pracujących kobiet w handlu i przemyśle, „Kurjer Poznański” nr 243, październik 1907, Archiwum Państwowe w Poznaniu (teczka Prezydium Policji w Poznaniu).

„Wielkopolanin” nr 141, czerwiec 1903, Archiwum Państwowe w Poznaniu (teczka Prezydium Policji w Poznaniu).



Karolina Kozłowska

Tutaj nikt nie czyta

➤ Wnętrze biblioteki

Ze zbiorów Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk

Strzelisty, neogotycki kościół ewangelicko-augsburski stoi w centrum rynku we Władysławowie koło Turku. W środku mijam repliki szabli generała Władysława Sikorskiego, husarskiej i Szczerbca oraz gablotę z afiszami artystycznych spotkań dla seniorów. Bo kościół został zamieniony na gminny ośrodek kultury.

W XVIII wieku do Władysławowa przybyli osadnicy z Niemiec wyznania luterńskiego. Najpierw mieli skromny budynek do nabożeństwa, po stu latach ten kościół.

Od 1945 roku, gdy Niemcy uciekli, niszczał. Dopiero w 1978 roku został wykupiony od Konsystorza Ewangelicko-Augsburskiego i przebudowany, wpisany do rejestru zabytków.

— Bardzo dużo Niemców tutaj wcześniej mieszkało. Lechelt, Westani, Wegner, Kielma, Tobiak. Najbogatszy był Kneifel, miał garbarnię. W kościele nabożeństwo odbywało się co niedzielę w południe. Zjeżdżali się Niemcy z okolic: z Krzymowa, z Genowefy. Zatrzymywali się u nas na podwórku, całe było zapelnione wozami i bryczkami. Używali języka polskiego, a między sobą rozmawiali po

niemiecku. Nie było rozróżnienia na naszych i obcych. Wszyscy byli równi i przyjaźnili się. Dopiero po trzydziestym dziewiątym roku, w czasie okupacji, ci niemieccy mieszkańcy odseparowali się od Polaków — opowiada mi dziadek, Jerzy Białecki.

„Wyzwolenie”

W tym roku skończył dziewięćdziesiąt lat. Pracował jako kierowca wozu strażackiego i taksówki, a w czasie okupacji w piekarni u Niemców, Lecheltów. Właścicielka miała sześciu synów, za co została odznaczona Krzyżem Matki. Wszyscy jej synowie walczyli na froncie.

Dziadek wspomina moment zakończenia wojny i wejścia Rosjan do Władysławowa, gdy chcieli rozstrzelać Niemców, którzy jeszcze w miasteczku pozostali:

— Wszyscy byli ustawieni w rzędzie, a jeden Rusek, ubrany w kurtkę skórzaną, prawą ręką trzymał broń skierowaną w ich stronę, a lewą wyrzucał wszystko z kredensu na podłogę. Lecheltowa miała obrączkę na palcu i nie mogła jej zdjąć, więc zgryzła skórę aż do krwi. Jeden z jej synów został ranny na froncie. Był w szpitalu, został zwolniony do domu i oni go akurat tutaj zastali. „Ty naszych ubijał, my ciebie też rozstrzelamy”. I uszykowali go do rozstrzelania. Tak szkoda mi się zrobiło tego Gierusia, bo on był najlepszy z tych Niemców. Mówię więc do tego w skórce, że on był dobry, przynosił nam jedzenie, chociaż to nie była prawda. A on tak myśli, myśli... „Biały chleb budziet na rano?” „Wszystko będzie, tylko darujcie mu życie”. Zawołał Rosjanina, który miał Gierusia rozstrzelać, a tamten zaczął protestować i się kłócić. Wtedy ten oficer złapał go za kark i pchnął ze schodów akurat w okno dziadka Niewiadomskiego. Szyba roztrzaskała się w drobny mak.

Zrobiłem ciasto, napaliłem w piecu i zasnąłem. Gdy się obudziłem, w piecu zamiast chleba były kupki węgla. Zamiast uciekać, to poukładałem na deskach taki niedopieczony, żytni chleb. Ale podjechali, zabrali i odjechali. Zaraz po tym wydarzeniu wszyscy Niemcy uciekli. Po latach Gieruś przyjechał do nas, żeby podziękować za uratowanie życia.

Powojenne odnowienie szkoły

Zanim kościół ewangelicki zamienił się w ośrodek kultury, był jeszcze magazynem paszowym.

W latach osiemdziesiątych rozpoczęto remont. Wśród inicjatorów był Tadeusz Drzewiecki, były żołnierz Armii Krajowej. Z żoną i innymi rodzinami przyczynił się zaraz po wojnie do odbudowy szkoły we Władysławowie, a później został jej dyrektorem.

Jego żona Jadwiga, nauczycielka tej samej szkoły, wspomina:

— Miałam wykształcenie średnie, niepedagogiczne. Dlatego z koleżanką zapisałyśmy się na specjalny kurs w Koninie. Jeździłyśmy tam rowerami. Do jednej klasy chodziły dzieci w różnym wieku, zależnie od stopnia wiedzy.

W 2019 roku Jadwiga obchodziła sto czwarte urodziny.

— Gdy w czterdziestym szóstym roku zaczęłam pracować w szkole, wszystko było dość rozwinięte. Były podręczniki, trzeba było realizować program. Mieszkańcy wymieniali się między sobą książkami. Nie miałam doświadczenia, więc przydzielono mi młodsze klasy od pierwszej do czwartej.

Mój dziadek wspomina:

— Po wojnie skończyłem siedem klas w miesiąc. To były kursy wieczorowe dla starszej młodzieży. Uczęszczało tam wiele osób.

Książki a moja rodzina

Moja mama Iwona od urodzenia mieszka we Władysławowie. Przez dwa lata pracowała w tamtejszej bibliotece publicznej, która swoją siedzibę ma również w gminnym ośrodku kultury.

— Bardzo lubiłam to zajęcie, bo miałam kontakt z ludźmi. Gdy dzieci same wybierały sobie książki, to największą uwagę zwracały na rysunki. Te starsze i młodzież wiedziały już, co chcą przeczytać, i dawały wskazówki. Kiedyś przyszedł chłopak, który miał temat z Apokalipsy, ale biedny sam nie wiedział, co to jest. Nie pamiętam już, co mu zaproponowałam, ale na pewno nie Pismo Święte, bo nie ma go w bibliotece.

Mama uczyła się w liceum w Turku. Nie przepadała za lekcjami języka polskiego.

— W podstawówce sporo czytałam, ale wszystko popsuło się w liceum, z przymusu czytania szkolnych lektur, które często były nieciekawe. Nie dałam rady przebrnąć przez *Pana Tadeusza*. Kiedyś nie było streszczeń w Internecie, tylko „broszurki”.

Ja nie pamiętam swojej pierwszej książki. Uwielbiałam *Jeżycjadę* Małgorzaty Musierowicz i czytałam wszystkie lektury. Z ciekawości. Na wakacje wypożyczałam kilka toreb jak najgrubszych pozycji.

Moja siostra jest o pięć lat starsza, skończyła prawo, pracuje w sądzie. Po ślubie przeniosła się do męża, do pobliskiej wsi Kuny.

— Co tu mówić. Nikt nic nie czyta i tyle — stwierdza.

— A ty?

— Też nie czytam.

— Jak to, jesteś wykształcona, inteligentna.

— Gdy wrócę z pracy i ogarnę dom, to nie mam już siły. Tak naprawdę to nigdy nie czytałam, chociaż lubię. Chyba po prostu jestem trochę wygodnicka.

Gablota ze stanikiem

Biblioteka po wojnie znajdowała się w piwnicy domu parafialnego kościoła katolickiego, gdzie były cztery stanowiska czytelnicze. W 1956 roku została przeniesiona na parter nowego urzędu gminy, później miała jeszcze swoją siedzibę w kamienicy, aż w końcu ulokowano ją w budynku kościoła ewangelicko-augsburskiego.

Wchodzę na pierwsze piętro. Sporo się zmieniło od czasów mojego dzieciństwa, gdy siedziałam tu godzinami. Przybyło regałów w jasnym kolorze. Przy biurku, na którym piętrzy się sterta książek, stoją dwie kobiety koło sześćdziesiątki. Za biurkiem Izabela Rychter, dyrektorka biblioteki, która pracuje w niej już ponad trzydzieści lat. Zaczęła, gdy naczelnikiem gminy był jej ojciec, Stanisław Kasprzak.

— Najpierw oprawiałam książki. Wszystkie miały karty, także karty czytelnika. Gdy ktoś przyszedł wypożyczyć, to wyjmowało się te karty, wpisywało do nich dane i odkładało do szuflady. Po całym dniu się je liczyło, a później trzeba było ułożyć według numerów książek. Dzisiaj jest inaczej. A co do samych książek, to teraz bardzo dużo wydaje się polskiej powieści obyczajowej, kryminałów i thrillerów. Młodzież bardzo lubi literaturę fantastyczną: *Harry'ego Pottera*, *Dary anioła*, *Zmierzch*. W naszej bibliotece chyba najchętniej wypożyczaną książką jest *Pięćdziesiąt twarzy Greya*.

A co sama pani dyrektor lubi czytać?

— Powieści biograficzne i wspomnienia z lat wojennych, *Kołyśanka z Auschwitz*, *Słowik* były wspaniałe. Miło się czyta też coś podróżniczego, na przykład Pawlikowskiej. Fajna jest też taka literatura psychologiczna dla kobiet, ostatnio czytałam *W cudzych butach*. Wszystko mi się podoba w mojej pracy. Przeszkadza mi tylko, że ludzie za mało czytają i to niewielkie lokum. Czytelnicy przychodzą do nas po coś miłego, po wiedzę. Nie mamy tutaj żadnych konfliktów, nerwowości. Miłe jest, gdy można komuś pomóc, bo wszędzie szukał

jakiejś książki, a dopiero u nas ją znalazł. Nawiązujemy z nimi takie ciepłe relacje, bo często opowiadają nam o sobie i swojej rodzinie. Praca jest bardzo przyjemna, ale mrówcza i niewidoczna. Jak został wprowadzony program komputerowy, mniej jest pisaniny. Kiedyś zapisywałyśmy, jak czytelnicy przekręcają tytuły książek. Teraz nie mogę sobie przypomnieć niczego tak zabawnego, ale znajoma mi kiedyś opowiadała, że wszedł do biblioteki pan, rozgląda się i pyta: „Czy jest pan Tadeusz?”. Bibliotekarka odpowiedziała, że nie było tu żadnego pana Tadeusza, a przecież chodziło o tytuł książki. Często znajdujemy w książkach skarby: zakładki, zdjęcia rodzinne, bilety, paragony, listy. Raz znalazłyśmy fiszbinę od stanika. Któraś biblioteka prowadziła nawet specjalną gablotę z takimi rzeczami.

Biblioteczne frykasy

Pierwsze książki pochodziły ze zbiorów od mieszkańców gminy. Podjęta przez okolicznych nauczycieli działalność była zaczątkiem biblioteki publicznej i bibliotek szkolnych. Apel spotkał się z pozytywnym odzewem: zgromadzono kilkaset egzemplarzy. Na początku lat pięćdziesiątych XX wieku było już siedem punktów bibliotecznych w regionie. Wszystkie mieściły się w szkołach, obsługiwali je nauczyciele, z czasem przeniesiono je do prywatnych budynków. Pod koniec 1972 roku funkcjonowało czternaście takich punktów.

Księgozbiór władysławowskiej biblioteki rozrósł się: z 1080 egzemplarzy po wojnie w latach siedemdziesiątych liczył około 5 tysięcy, a obecnie ma ponad 13 tysięcy. Inwentarz jest wzbogacany średnio o 600 pozycji rocznie, a w latach tłustych nawet o 1300.

— Zbiory nie mieszczą się już na półkach. Przydałoby się dodatkowe pomieszczenie. Były próby połączenia biblioteki z gminnym ośrodkiem kultury, ale Biblioteka Narodowa się nie zgodziła. Wójt

zaoferował przeniesienie biblioteki do piwnicy przedszkola, ale były tam małe okienka, filary zajmujące dużo przestrzeni i kotłownia ze składem węgla za ścianą. Trzeba by wybudować nowy budynek, ale nie ma na to funduszy ani woli władz gminy. Co roku jesienią otrzymujemy dofinansowanie z ministerstwa. W zeszłym roku dostaliśmy chyba najwięcej pieniędzy z całego powiatu, więc nie mogę narzekać — mówi pani Rychter.

— Kupujemy nowości, ale przede wszystkim czytańka, takie, które są polecane w Empiku czy na portalu lubimyczytac.pl. Głównie kryminały i lekkie powieści obyczajowe. Ambitniejsze książki nie są często wypożyczane. Chociażby taka Tokarczuk czy Myśliwski. To są już pozycje dla czytelników bardziej zaangażowanych, wyrobionych. Ale pokażę ci pewien rarytas — mówi Rychter i podchodzi do dużej, brązowej szafy z przesuwanymi drzwiami. Wyjmuje zawiniątko z papieru. Podaje mi książkę tak starą, aż boję się, że rozpadnie mi się w dłoniach. To *Noce i dnie* Marii Dąbrowskiej. Wydanie z 1948 roku.

Zachowało się jeszcze kilka książek wpisanych do inwentarza w pierwszym roku działalności biblioteki, najstarsza z nich, z 1864 roku, to *Lesława Łukaszewicza rys dziejów piśmiennictwa polskiego* z dopiskiem: „Wyd. 3. uzupełnione i doprowadzone do roku 1864”. Ponadto w pierwszych bibliotecznych zbiorach znalazły się takie nazwiska jak: Gogol, Hugo, Conan Doyle, Dostojewski, Prus, a także poradniki: *O gruźlicy i sposobach zwalczania jej*, *Czy alkohol jest naprawdę szkodliwy*, *Uprawa marchwi pastewnej* oraz *Manifest komunistyczny* Karola Marksa.

— Rok temu byłam na wycieczce w Białowieżę. Z ciekawości zajrzałam do tamtejszej biblioteki. Standard jest dużo niższy niż u nas. Małe pomieszczenie, słabo oświetlone. Pani siedziała w kąciku i tylko łuna padająca z okna zdradzała, że ona tam właściwie jest. Zbiory były niewielkie, może siedem regałów, na których w większości były

książki owinięte w szary papier. Nie było widać tytułu ani autora. Miały może i po czterdzieści lat. Gdzieniegdzie tylko były poprzetyskane nowszymi wydawnictwami z kolorową okładką — opowiada dyrektorka biblioteki.

Kto czyta najwięcej?

Pięćdziesiąt lat temu biblioteka liczyła 702 czytelników, obecnie jest 777 wypożyczających. Największą grupę, liczącą 228 osób, stanowią ludzie w wieku od dwudziestu pięciu do czterdziestu czterech lat. Dlaczego nie emeryci, którzy mają więcej czasu? Ale jak trafi się czytelnik po sześćdziesiątce, to wypożycza na potęgę. Biblioteka promuje czytelnictwo, organizuje spotkania z autorami książek dla dzieci, konkursy recytatorskie.

— Dzieci do trzeciej klasy podstawówki bardzo chętnie czytają i uczestniczą we wszystkich zabawach. Nawet przedszkolaki uważnie słuchają, gdy chodzę im poczytać. Najtrudniej jest z młodzieżą w przedziale wiekowym trzynaście–szesnaście lat, może nawet w szkole średniej. Niewiele czytają. Książki zostały wyparte przez komputer — stwierdza pani Rychter.

Czytanie wyczynowe

Biblioteka Publiczna we Władysławowie ma swoją rekordową czytelnickę, Elżbietę Ignaczak, która czyta codziennie jedną książkę.

— To jest miłość od dzieciństwa. Po wojnie mój tata czytał dużo takich patriotycznych, na przykład *Krzyżaków*. Mama raczej gazety, „Przyjaciółkę” czy „Gospodynię”. Moje rodzeństwo i dzieci też czytają. W podstawówce lekturą było *W pustyni i w puszczy*, a nie

można jej było dostać w bibliotece, więc moja mama przywiozła mi ją od ciotki mieszkającej w Pniewach za Poznaniem. Piękna była: duża, z kolorowymi ilustracjami. Z biblioteki we Władysławowie korzystam już bodajże od dwudziestu dwóch lat, jak tylko się tutaj przeprowadziłam. Nie prowadzę spisu przeczytanych książek, ale jak zobaczę okładkę, to wiem, że już przeczytałam. Na weekend przywożę sobie z pięć. Dzisiaj już dwie przeczytałam. To niesamowicie wciąga. Nieraz siedzę do drugiej w nocy. Dobrze, że nie chodzę do pracy, bo pewnie bym nie wstała rano. Chociaż pewnie wtedy tyle bym nie czytała. Telewizor nie musi istnieć.

Pani Elżbieta nie ma sprecyzowanych preferencji.

— Lubię kryminały, głównie Cobena, Läckberg, ale też polskie: Małeckiego, Chmielarza, historyczne, wspomnienia dotyczące II wojny światowej, ostatnio bardzo mi się podobała *Kołysanka z Auschwitz*. Byleby książka była dobrze napisana i coś się działo. Zwracam uwagę na historię. Nie przepadam za science fiction i nie lubię, gdy jest dużo opisów krajobrazu. Nie podchodzą mi książki Mroza, to nie mój styl. Tak samo Max Czornyj, pisze zbyt brutalnie. Wolę Bondę czy Puzyńską. Zawsze jakoś uda mi się wygospodarować ten czas. Przede wszystkim wieczorem, tuż przed pójściem spać, ale czasem nawet przy obiedzie, czego nie powinnam robić. Jak córka była mała, to bujałam ją w wózku i czytałam. Jak człowiek nie pracuje zawodowo i nie ma gospodarstwa, to czasu jest więcej.

Wójt i proboszcz — najważniejsi w gminie

W ostatnich wyborach samorządowych na stanowisko wójta pierwszy raz w historii gminy Władysławów została wybrana kobieta — Elżbieta Klanowska z Prawa i Sprawiedliwości, która wcześniej zajmowała się finansami gminy i pełniła funkcję skarbnika. Czyta?

— Wypożyczałam lektury dla dzieci, kiedy uczyły się w liceum. Raczej kupuję książki w Empiku albo dostaję coś na imieniny, czasem coś dzieci mi podrzuca. Tematyka jest różna, wybieram głównie książki obyczajowe, jakieś romanse. Zarówno polskich, jak i zagranicznych autorów. Ostatnio córka sprezentowała mi powieść Nicholas Sparksa. W czasach szkolnych to, co czytałam, zależało od epoki literackiej. Chciałabym czytać więcej, ale nie mam czasu.

Od 12 marca parafia ma nowego proboszcza. Jest nim ksiądz Sławomir Świerad Pettke, który zastąpił na stanowisku księdza Andrzeja Kaczmarka. Kaczmarek razem z proboszczami z Brudzewa i Daniszewa uprawiał hazard. Podczas jednego ze spotkań przegrał swój samochód. Nowi właściciele przyjechali na plebanię w eskorcie policji, aby odebrać auto. Proboszcz zmarł kilka dni później na atak serca.

Dla księdza Pettkego ta parafia jest pierwszą, w której oficjalnie piastuje stanowisko proboszcza. Już się zadomowił, ale jeszcze nie odwiedził biblioteki we Władysławowie. Korzysta z własnej, dużej domowej biblioteczki, którą teraz uzupełnia o pozycje potrzebne do napisania rozprawy naukowej.

— Poza teologią biblijną, a także tą praktyczną, duszpasterską, lubię czytać literaturę biograficzną, niekoniecznie tylko świętych, ale też biografie postaci z dziedziny historii sztuki, która również jest obiektem moich zainteresowań, a szczególnie nurt impresjonizmu czy ten związany z historią pisania ikon. Przygotowuję teraz pracę naukową i mam zebrany osobny blok materiałów. Będzie o przedstawieniach w sztuce, literaturze, poezji, modlitwy Chrystusa w Ogrójcu. To bardzo płodny, brzemienisty temat i większość poważnych artystów, malarzy czy pisarzy go podejmowało, by wspomnieć chociażby o El Greco czy Velázquezie.

Duszpasterz niedawno prowadził rekolekcje w polskiej parafii w Los Angeles.

— Co ciekawe, przed kościołem znajduje się rzeźba Poli Negri, naszej Apolonii Chałupiec, która pochodziła z Lipna obok Włocławka i była naszą diecezjanką. Niedaleko Koła, gdzie mieści się Sanktuarium Matki Bożej Zwycięskiej, aktorka jeździła na wakacje. Właśnie stamtąd wyniosła niezwykle nabożeństwo do Maryi. Dlatego gdy robiła karierę aktorską w Hollywood, przyczyniła się do powstania parafii.

Ksiądz twierdzi, że kościół już od zarania dziejów odgrywał kluczową rolę w procesie ukulturalniania społeczeństwa.

— Diecezja włocławska obchodzi w tym roku czterysta pięćdziesiąt lat istnienia seminarium duchownego, które jest najstarsze w Polsce. Z kolei tutaj, w Russocicach, jeszcze przed wojną został wybudowany przez księdza Domańskiego dom parafialny ze sceną i całym zapleczem, w którym mieściła się biblioteka parafialna i odbywały się przedstawienia teatralne. W okresie, kiedy wszystkie wydawnictwa katolickie były zamknięte, to książki religijne były dystrybuowane przez parafie. Po odwilży nastąpił prawdziwy przełom. Mamy też prasę katolicką, która co prawda słabo się rozwija i edytorsko nie dorównuje prasie komercyjnej, ale mimo wszystko jest wydawana.

Władysławów leży w środku trójkąta tworzonego przez miasta Konin–Turek–Koło. Czasami mam wrażenie, że jest to swoisty trójkąt bermudzki, który wyssał z miejscowości, w której spędziłam dzieciństwo i młodość, całą energię. Wieś ta, w przeciwieństwie do dużych miast, pozbawiona jest dostępu do bogatej oferty kulturalnej: kin, teatrów czy muzeów, jednak ma bogatą spuściznę i ciekawą historię. Mieszkańcy tworzą zgraną społeczność, życie toczy się tutaj intensywnie, ale po prostu w inny sposób. W swoim rytmie.



Alexander Mills

Pamiętnik z drugiego życia

- Rok 2015. Zajęcia z prac pionierskich na naszej działce. Mimo że dom jeszcze nie jest gotowy, żona jasno wyznaczyła priorytety zagospodarowania działki: kurniki i suszarka do prania. Wyję do księżycy po uderzeniu młotkiem w palec.
Fotografia udostępniona przez autora reportażu

Osiedle, kredyt, błoto, parking, zaspane dziecko... Przecież nie tak planowaliśmy.

2008 rok. Ponury, ciemny, październikowy poranek. Zimno. Pada. Zbieramy się z Antkiem do szkoły — kolejny raz wychodzimy na ciemną, lepką, zimną mgłę.

Za kilka godzin urwę się znów z pracy, by odebrać go ze szkoły, odstać swoje w korkach — jakieś dwie godziny po mieście, kilkadziesiąt kilometrów. I tak co dzień. Jak chomik na karuzeli.

Mieszkanie na kredyt w podpoznańskiej sypialni. Dziury w nieutwardzonej drodze, smutne, brudne, choć prawie nowe elewacje. Codzienna walka z sąsiadami o miejsce parkingowe. Im później przyjedziesz z pracy, tym dalej od domu zaparkujesz. Chwila spokoju wieczorem i rano od nowa. Pobudka o świcie, zaspane dziecko wsiada do samochodu jak automat, dosypia po drodze. Śniadanie zje dopiero w szkole. Ja złapię coś w piekarni podczas przerwy na lunch.

Z rodziną widuję się w przelocie, nie jemy wspólnie posiłków. Czasem zdarzy się kolacja z żoną, o ile któreś z nas nie padnie podczas usypiania dzieci.

A przecież nie tak planowaliśmy.

List

2004 rok, ostatni na studiach. Moja pierwsza praca w pracowni w Koszalinie. Zamiast skupić się na robocie, piszę do mojej przyszłej żony list, taki papierowy.

Jaki to ma sens, kochanie? Zarabiać pieniądze tylko po to, aby je wydawać potem na opiekunki, przedszkola, szkoły? Tracić całe dnie w pracy, podczas gdy ktoś inny będzie wychowywał nasze dzieci? Przecież to tylko pusty przebieg, para w gwizdek. Musi być jakiś sposób, aby się z tego wyrwać. Aby przeżyć to życie świadomie, wspólnie.

Ucieczka

2009 rok. Czerwiec. Centrum Zdrowia Dziecka pod Warszawą. Przyleciałem z naszym drugim synem z poznańskiego oddziału hematologii, gdzie lekarzom skończyły się już pomysły. Diagnoza: zespół hemofagocytarny. Lekarze dziwnie opuszczają wzrok, kiedy nam o tym mówią. System immunologiczny syna zwariował i atakuje własne komórki krwi. Z hematologii zjeżdżamy na onkologię, potem na intensywną terapię, w końcu na patomorfologię i do kostnicy, gdzie w absurdalnej procedurze mam zidentyfikować ciało mojego dziecka przed wydaniem go na transport do Poznania.

Poznań, kilka dni później

Postanawiamy sprzedać mieszkanie. Najlepiej już jutro.

Ogłoszenie o sprzedaży przygotowałem jeszcze przed pogrzebem syna. Nowe miejsce do życia na pewno się znajdzie. Nie ma teraz znaczenia gdzie. Najlepiej daleko od ludzi.

Dość szybko trafił się dom na wsi pod Poznaniem. Nikt go nie chciał, bo za daleko od wszystkich wygód. Tak daleko, że można sobie wybić z głowy wożenie dzieci do szkoły.

Wolność

Oprócz siedmioletniego wtedy Antka był jeszcze roczny Baz, który na szczęście nie zdawał sobie do końca sprawy z tego, co się dzieje.

O rodzinach edukujących w domu usłyszeliśmy w chrześcijańskiej, prywatnej szkole, z którą od roku byliśmy związani. Takich rodzin było wtedy w Wielkopolsce kilka. Profesora Marka Budajczaka spotykamy na początku naszej drogi, został nam polecony jako uprawniony do wydania obowiązkowej w takich przypadkach opinii pedagogicznej o dziecku. Bez spełnienia tej formalności nie można w Polsce „przepisać się” do domowej szkoły. Jest bardzo otwarty, pozytywnie nastawiony do świata, pokłada w rodzinie większe zaufanie niż w usystematyzowanej edukacji powszechnej.

— „Nie przenoście szkoły do domu!” — to chyba najważniejsze przykazanie dla homeschoolersów. — Wyjdźcie poza te utarte, szkolne schematy, oceny, dzwonki, przerwy, podręczniki. Rzućcie to. Musicie nauczyć podstawy programowej, to minimum, by lokalna poradnia pedagogiczno-psychologiczna wydała glejt, bilet na kolejny rok domowego nauczania. A poza tym... jesteście wolni! Taka jest idea: nauczajcie, jak chcecie i czego chcecie! Chcecie jechać do mu-

zeum, do afrykarium, do wodnego świata? Zabierajcie dzieci i jedźcie! Chcecie uczyć biologii, załóżcie przy domu ogród! Pokażcie, jak sadzi się nasiona, jak się je potem pielęgnuje, jak się podlewa i dba o sadzonki, aby uzyskać z nich owoc.

Bliska obserwacja cudu życia skieruje młodego człowieka ku Bogu, a nam pozwoli odnaleźć ukojenie.

Wież — próba generalna

2014 rok. Szumin pod Poznaniem.

Nasze aktualne mieszkanie to tylko przystanek. Dom, w którym mieszkamy, jest w bardzo złym stanie, całe szczęście, że obok są ogród i sad, a właściciel pozwolił nam na trzymanie zwierząt. Nie takich domowych, ale wiejskich: kur, kozy, owiec. Nie będziemy tu mieszkać wiecznie. Niemal sto kilometrów dalej znajdujemy bardzo atrakcyjną cenowo, ale trudną do zagospodarowania działkę. Mogę wreszcie zacząć projektować nasz dom.

Najtrudniejsze zlecenie w mojej karierze zaczynam od spisania bardzo ograniczonego budżetu. Naszą Arkę chcę zaprojektować tak, by zminimalizować ryzyko inwestycji, skrócić czas budowy, a jednocześnie zapewnić zdrową, wygodną i przyjazną do mieszkania przestrzeń dla naszych dzieci.

Sam proces projektowania trwa ponad rok. Zaczynam szkicować wczesną zimą 2014 roku. Prototyp konstrukcji powstanie na początku 2015 roku. Będzie wybudowany na hali Międzynarodowych Targów Poznańskich w ramach targów BUDMA.

2015 rok. Przełom lutego i marca. Targi, hala 3A — pojawia się Arka

Kilka miesięcy wcześniej zgłosiłem się do dyrektora Targów Poznańskich z propozycją zrobienia pokazu budowy domu na żywo. Zaproponowałem wyjątkowy projekt, wyjątkowe technologie i wyjątkową oprawę całości.

Projektując na targi własny dom, zapewniałem nie tylko atrakcyjny przebieg imprezy i promocję własnej pracowni, ale dawałem również sobie i mojej rodzinie możliwość obejrzenia makiety domu w skali 1:1. Mogłem też po cenach promocyjnych odkupić części mojego domu od współpracujących ze mną wystawców: konstrukcja dachu, okna, prefabrykowane ściany i strop stały się w ostatni dzień targów „trudnym do zagospodarowania odpadem”, który skrzętnie przysparzałem, by złożyć na naszej działce.

2015 rok. Lato. Budowa

Po wybudowaniu okazało się, że nasza Arka jest chyba pierwszym budynkiem zaprojektowanym od początku do końca z myślą o uczeniu dzieci w domu, o przebywaniu ze sobą cały czas.

A mieliśmy już wtedy czwórkę dzieci.

Dom ma być dla nich miejscem do zabawy, rozwoju, wspólnej pracy, dlatego przestrzeń dzienna i przestrzeń dla dzieci płynnie się ze sobą łączą. Żadnych drzwi, grubych ścian. Wydzielone są tylko nasza sypialnia i łazienka.

Kiedyś pewien doświadczony pastor powiedział mi, że warunkiem koniecznym do tego, aby rodzina dobrze działała, jest intymność pomiędzy mężem i żoną. Jest w tym dużo racji.

Dom jest z założenia analogowy, gdzie tylko możliwe, pozbawiony technologii. Emanacją tych założeń jest piec: znajduje się w cen-

trum budynku, w kuchni, jest opalany drewnem. Przyrządzamy na nim nie tylko ciepłe posiłki, ale też czerpiemy z niego energię do ogrzania budynku. Poza tym nie ma w domu żadnego źródła ciepła — kuchnia i ludzie wystarczą. Są jeszcze układ solarny do podgrzewania ciepłej wody, instalacja elektryczna (skromna) i centrala wentylacyjna. Nasz dom miał być przeciwieństwem domów tak przeładowanych technologią, że nie potrzebują mieszkańców, aby działać; a mimo to jest ekstremalnie energooszczędny.

Praca organiczna

Życie w naszym analogowym domu aktywizuje do fizycznych, wspólnych działań i sprzyja wychowywaniu dzieci. „Nie przygotujesz drewna, to nie będzie na czym ugotować obiadu. Nie porąbiesz go, to w domu będzie zimno. Nie pomożesz tacie wiosną przy rozładunku, to nie będzie czym palić jesienią i zimą”.

Nie zmuszamy dzieci do pracy. Po prostu same widzą, że raz na kilka dni trzeba opróżnić popielnik i że ten popiół może być nawozem do ogródka albo jednym z surowców do wyrobienia mydła, podobnie jak tłuszcz. Wiedzą, że szarą wodą po kąpielach albo po praniu można podlać grządki, że w piecu można suszyć zioła, owoce, mięso.

Dzięki umiejętnościom mojej żony nie kupujemy środków czystości. Wiele rzeczy w naszym życiu się uprościło, uporządkowało.

Życie na miękko

Lata 2015–2018. Bio-Arka.

Chłopcy mieszkają na antresoli. Mają tam łóżka i biurka, każdy swoje — i to jest każdego z nich prywatna, święcie prywatna przestrzeń.

Garderoba, biblioteka i przestrzeń do zabawy są wspólne. Chodzą o to, by dzieci nauczyły się empatii i negocjacji. I by jak najwięcej ze sobą przebywały.

Mają mocno ograniczony dostęp do internetu i do elektroniki. Jestem pewien, że przyjdzie taki czas, że nauczą się tego — jeśli będzie trzeba — w kilka chwil. Teraz niech wyrobią nawyki uważności, skupienia, ciekawości, kompetencje miękkie, wyobraźnię, kreatywność.

Oczywiście wszystko na miękko, nic na siłę.

W poniedziałki przed południem zwykle odwiedzają biblioteki. Obie, dla dzieci i dorosłych — bo jadą razem z mamą. Są najbardziej aktywnymi czytelnikami. Przynoszą co tydzień po kilka książek.

Po południu jest czas na pomoc w ogrodzie.

We wtorek po obiedzie — wyjazd do szkoły muzycznej.

W środę — zajęcia z zapasów.

W czwartek — basen, potem szkoła muzyczna.

Piątki czasem są wolne, czasem wypełnia je harcerska aktywność: zbiórka, wyjazd na rajd, biwak, gra.

W sobotę jest czas na większe zakupy i sprzątanie.

W niedzielę — kościół i odpoczynek.

Nasze dzieci nie mają podzielonego życia na zabawę, codzienność i naukę — u nich wszystko to się przenika. Dwie godziny każdego dnia zajmuje edukacja; to tylko punkt w planie dnia, bez opresji i przymusu. Chłopcy mają typowe obowiązki domowe, odpowiadają za porządek w swoim pokoju i we wspólnej garderobie, według ustalonego grafiku czyszczą toaletę i łazienkę. Mnie przypadło w udziale mycie naczyń. Traktuję to jako dobrą odskocznnię od ślęczenia przed ekranem.

Starszy syn miał moment, gdy chciał spróbować wrócić do tradycyjnej szkoły w lokalnym liceum. Po pierwszym miesiącu był załamany stratą czasu, nudą, hałasem, dojazdami. Poszedł do szkoły pod żaglami, na żaglowiec Chopin. Potem powrócił do trybu domowego. Teraz przygotowuje się do matury.

Ziemia

Zdarzyło się, że dzieci ze wsi przyszły do nas z prośbą o pomoc przy kompletowaniu zielnika. Jesteśmy jednak generalnie w tym miejscu obcy, nowi. Powoli staramy się zaistnieć, dostosować, poznać z sąsiadami, zdomowić.

We wsi obok, tuż za drogą, też mieszkają spadochroniarze z miasta. Prowadzą hotel dla psów. My z uporem godnym lepszej sprawy staramy się uprawiać permakulturowe gospodarstwo, ale wciąż bardziej deklaratywnie. Jeszcze nie poznaliśmy się z naszą ziemią, roślinami, zwierzętami. Ogród nie rodzi tak pięknie, jak to opisują podręczniki do permakultury, czyli takiego gospodarowania przestrzenią i rodzajami upraw, aby osiągnąć jak najlepszy plon przy najmniejszym wysiłku, bez wspomagania sztucznymi nawozami. Uczymy się tego, że są rośliny, które dobrze jest sadzić razem, wtedy się chronią i wzmacniają.

Od czterech sezonów usiłujemy skutecznie zasadzić drzewka owocowe. Wygląda na to, że w tym roku chyba wreszcie się udało. Wcześniej albo się nie przyjęły, albo zjadły je nasze owce.

Wieś stopniowo zamienia się w podmiejską sypialnię. Chcieliśmy kiedyś poprosić sąsiadów o dzień opieki nad naszymi zwierzętami. Najbliższa sąsiadka, starsza już kobieta, ma dość swoich problemów, rozmawiam więc z jej córkami i wnuczką. „Ja tam zwierza się nie dotknę, to nie dla mnie” — słyszę. Kolejny sąsiad ma dwie dorosłe córki, obie jeżdżą do pracy w mieście: jedna do Czarnkowa, druga do Poznania, gdzie studiuje. Mają tylko mały przydomowy ogródek. Pole leży odłogiem.

Chętnego do opieki nad zwierzętami znaleźliśmy kilka gospodarstw dalej, za lasem. Starszy pan, który podobnie jak my przyjechał do wioski kilka lat temu, hoduje dwie kozy, świnkę, kury.

Wokół nas budują się dwa nowe domy, nie gospodarstwa, lecz takie do spania, z garażami.

Ręka, oko, nóż

Paradoksalnie (albo nie!) im większa rodzina, tym lepiej to działa. Kolejnym kręgiem są znajomi: zastęp harcerski, szkoła muzyczna, grupa teatralna (w przypadku najstarszego), rodziny z kościoła. Dzieci nie narzekają na brak społecznych aktywności, ale są wolne od znajomości wirtualnych.

Tylko najstarszy, maturzysta, ma laptopa na własność, ale bez stałego internetu. Nie wolno mu go zabierać do łóżka. Trochę się buntował, ale po kilku szlabanach zrozumiał.

Młodszy mogą korzystać z komputera w mojej pracowni. Wykorzystują go do zadań z minimum programowego z informatyki, do rysowania, animacji. Nie znają gier komputerowych, za to znają mnóstwo planszowych, karcianych. Dużo rysują, każdy w swoim notatniku, którego pilnują jak oka w głowie. Oprócz tego budują, konstruują.

Baz zdradza zacięcie inżynierskie, wciąż coś przerabia, poprawia w swoich konstrukcjach Lego, rysuje jakieś maszyny, prenumeruje „Młodego Technika”.

Jego młodszy brat Zachariasz zarysowuje notatnik scenami rodzajowymi. Mówi, że chce zostać prezesem, ale jeszcze nie wie, czym będzie zajmować się jego firma. Najstarszy — Antek — wpadł kilka lat temu w gry fabularne. W klubie modelarskim malują sobie z kolegami figurki, budują makiety: miasta, pola bitew, zamki. Tygodniami planują rozgrywkę na cały tydzień ferii.

Jestem instruktorem harcerskim i na obozach widzę brak zdolności manualnych u dzieci. Nawet tam dostają pokrojony chleb, ser, szynkę. Nic nie muszą robić. Poprowadziłem zajęcia z bezpiecznego posługiwania się nożem, włącznie z rzucaniem do tarczy.

Mobilizujemy swoje dzieci do wychodzenia na dwór i aktywności fizycznej, stąd zamontowana na stałe siatka i droga wspinaczkowa

z parteru na poddasze. Salon wygląda jak sala gimnastyczna, ale nie wybudowaliśmy go do przyjmowania znajomych czy wyprawiania imprez — choć to, dzięki rozwieszonej nad salonem elastycznej siatce, która odgrywa rolę wielkiego hamaka, udaje się znakomicie.

2019 rok. Lato

Budzi nas Janek, nasz kogut. O świcie podchodzi do małego okienka w kurniku i pieje bez litości. Metaliczny, drażniący krzyk wpada wprost przez okno naszej sypialni. Kogut będzie piał, dopóki nie wstanę i nie wypuszczę kur na wybieg. Niezły z niego cwaniak. Oto cena za codzienną dostawę świeżych jajek dla mojej rodziny.

Potem opiekę nad zwierzętami przejmą młodsze dzieci. Zachariasz musi wymienić wodę, sypnąć ziarna, zebrać jajka. Baz ma pod opieką owce. Antek, już nastolatek, dba o drewno do palenia w kuchni przez cały dzień i zajmuje się podlewaniem. Ja przed śniadaniem idę z psem do lasu i wykorzystuję ten czas na poranną przebieżkę. Ostatnio zabiera się ze mną mój jedenastoletni syn. Antkowi już się chyba nie chce.

Śniadanie zjemy razem, jak prawie co dzień. Bez pośpiechu, ale najpóźniej o dziewiątej wszyscy powinni być gotowi do swoich zajęć.

Pastuch

Koniec sierpnia. Nasz ogród jest strasznie zapuszczony. Nie dał w tym roku wielu plonów. Susza w połączeniu z brakiem naszej regularności skutecznie pozbawiły nas złudzeń co do samowystarczalności. Niełatwo zostać rolnikiem o „miękkich dłoniach”. Ogród wymaga codziennej uwagi, a losowe zdarzenia mogą zniweczyć pra-

cę kilku tygodni. Raz czy dwa zdarzyło się, że kury całą gromadą przedostały się przez ogrodzenie i poszły w grządki. Czasem owca złośliwie przewróci elektrycznego pastucha i ruszy w kapustę. Albo bocian wpadnie na obiad z kolorowej i soczystej dyni, znajomy lisek porwie kurę... Tak bywa. To uczy pokory i przezorności.

To, co urosło, jedliśmy na bieżąco, ale nie starczyło tego nawet na miesiąc samowystarczalności żywnościowej.

Jeszcze dużo nauki przed nami.

Pierwszy dzień szkoły

2019 rok. Wrzesień. Jemy spokojnie śniadanie jeszcze w trybie wakacyjnym, wszyscy razem, całą rodziną. Zaczynamy około siódmej trzydzieści. Chłopcy już uwinęli się ze śniadaniem i wodą dla kur, owiec, teraz nakrywają do stołu. Ja jestem po przebieżce z psem. Najstarszy zadbał o drewno.

Jeszcze jest spokojnie.

Chłopcy mają zrobić generalny porządek na biurkach, w swoich bibliotekach, w papierach. Za chwilę pierwsza z cotygodniowych wycieczek do biblioteki.

Trzeci września

Przed południem próbuję pracować u siebie, w pracowni, bo terminy gonią. Ale dwulatka płacze, jeden syn gra na pianinie, drugi skacze na siatce... To takie chwile, gdy nachodzą mnie wątpliwości. Chyba muszę zainwestować w porządne słuchawki albo dźwiękoszczelne drzwi do pracowni.

Na szczęście moja żona mocno trzyma kurs.

Miłość

Wracamy do domu z jakiejś wycieczki, przed nami dobra godzina jazdy. Wieczór. Dzieciaki posnęły.

— Jesteś gotowa na kolejny rok domowego nauczania? — pytam żonę.

— Chyba tak... Tyle razy już się udało...

— Nie obawiasz się, że dzieci będą odstawały od średniej społeczeństwa?

— Cieszę się z tego.

— Z czego konkretnie?

— Chciałabym, aby widziały szerzej, nie polegały na mentalności tłumu, nie przejmowały się tym, co ludzie powiedzą, rozumiesz? Wolność w myśleniu, krytyczne spojrzenie.

— Co chciałabyś im przekazać?

— Miłość.

— Twoją?

— Nie tylko... nie. Miłość Boga, do świata, do prawdy.

— Miłość jest ważna?

— Najważniejsza...

— Nie masz jej dość? Dzieci, mąż, całe dnie i noce, od dwudziestu lat. Nie chciałabyś czasem odpocząć?

— Nie w tym sensie. Cieszę się z tego, że mogę być z nimi. Wychowywać, patrzeć, jak wzrastają, cieszyć się z każdego ich sukcesu i być przy każdej ich porażce...

— A jak wyrosną na maminsynków?

— Nie zastąpię im ojca. Rozumiem, że potrzebują samodzielności, kontaktu z mężczyznami, z kolegami. Nie będę udawać chłopą.

— Podjęłabyś tę decyzję raz jeszcze?

— Jasne, że tak!

— Dlaczego?

- By dać im fundament.
- Od czego to się zaczęło?
- Wiesz przecież dobrze!
- Powiedz.

— Od problemów z Antkiem. Jako pięciolatek był nad wiek rozwinięty, na poziomie zerówkowicza albo nawet pierwszoklasi-
sty, więc mieliśmy problem z umieszczeniem go w jakiejś szkole,
z zakwalifikowaniem. Wtedy spotkaliśmy rodziny edukujące domo-
wo. Potem był Jeremi. Z Antkiem gonitwa, jazdy do przedszkola, na
wyścigi cały dzień, jedzenie byle jakie... i to straszne pytanie: „Co
było dziś w szkole?”. Pamiętasz? Potem śmierć Jeremiego. Wtedy
zaczęło mi być duszno i źle w tym miejscu, gdzie mieszkaliśmy, ten
kurz, hałas, suchy wiatr, smród miasta, mieszkanie na kredyt, błoto
na drodze. Mitręzenie kolejnych dni. Może to było potrzebne, żeby
sprzedać mieszkanie, nie targować się o cenę. Pamiętasz? Zawsze
o tym mówiłeś: żeby stworzyć takie miejsce do życia trochę poza
światem, dalej od ludzi, bliżej natury, żeby spróbować żyć na własny
rachunek i na własną odpowiedzialność... Najpierw to gospodar-
stwo pod Poznaniem. Tam było strasznie! Wilgotny, zimny dom...
Ślimaki na ścianach, łazienka bez ogrzewania, mrówki w kuchni,
szczury na podwórku... Ale i tak lepsze to niż miasto. Dobry trening.
No i ta nadzieja, że nasz dom się już projektuje, że może niedługo
uda się go wybudować.

- Jak ci się mieszka?
- Uwielbiam...
- A co cię wkurza?

— Te niewykończone rzeczy wszystkie, chciałabym mieć już para-
pety, więcej miejsca na kwiaty, wykończony sufit, podłogę u dzieci,
skończoną, ładną łazienkę... I dzieci w naszym łóżku, co przyłożą
nad ranem. To mnie wkurza, że nawet u siebie w łóżku nie mam
spokoju.

- A na co brakuje ci czasu?
- Na ogródek.
- Odpoczywasz tam?
- Tak, choć to ciężka praca.
- A w jaki sposób jeszcze odpoczywasz?
- Na przykład przy wieszaniu prania, bielizny na zewnątrz. Świeci słońce, wieje lekki wiatr, przez okno widzę dzieci bawiące się w domu albo na podwórku. Taka chwila... No i kiedy śpię! Szybko zasypiam przecież!
- Nie brakuje ci wyjść do miasta, plotek z koleżankami w pracy?
- Czasem się nad tym zastanawiam, ale nie, chyba nie. Tak sobie myślę teraz, że to takie gadanie o niczym.

Plan roku

Antek wpadł w świat historycznych zapasów i fechtunku oraz gier RPG, chce jeździć na treningi do Poznania. Dostał pracę w zakładzie produkującym repliki historycznych mieczy i szabli. Jeździ tam raz, czasem dwa razy w tygodniu. Już wiemy, że te zajęcia będą w Poznaniu w poniedziałek i środę. Dobrze się składa, bo te dni właśnie zarezerwowałem na wyjazdy zawodowe do Poznania i okolic.

Środy i piątki od rana chłopcy i żona mają zarezerwowane na jazdę konną we wsi obok naszej. Piątkowe wieczory to czas dla historycznego klubu modelarskiego, który w czarnkowskim kościele Antek chce prowadzić dla młodszych dzieci i własnych braci. Soboty, jakoś co dwa tygodnie, to czas na zbiórkę harcerską, którą będziemy prowadzić z żoną. Albo będę jeździć na studia zaoczne do Wrocławia.

Plan roku generalnie ogarnięty.

20 minut

4 września. Śniadanie. Bez pośpiechu. Jak codziennie.

Ale to tylko przygrywka, grzanie silników na cały dzień ułożony z dokładnością do dwudziestu minut.

Ukułem nawet teorię, że podstawową jednostką czasu dla mojej rodziny jest dwadzieścia minut. Wiele naszych czynności trwa mniej więcej tyle: załadowanie dzieci do auta (od momentu wypowiedzenia polecenia do wrzucenia jedynki), zjedzenie obiadu. Ale śniadanie to dwie takie jednostki czasu. Mój spacer z psem, bieg właściwie — też dwie. Podobnie jak dojazd do szkoły muzycznej. Chwila na skupienie dla dzieci podczas pracy — jedna. Dojazd do miasteczka na zakupy — jedna. Dojazd do Poznania — cztery jednostki czasu. Tak podzielony dzień to maksymalnie trzydzieści jednostek czasu — trzydzieści czynności, które można zaplanować i wykonać. W teorii.

Życie weryfikuje nasze plany.

Po śniadaniu mamy czterdzieści minut do zajęć z jazdy konnej. To dla mnie chwila, jeszcze przed wyjazdem, żeby odpisać na e-maile, wysłać wytyczne branżystom (w moim slangu to projektant projektów branżowych pracujący na zlecenie architekta), odpowiedzieć klientom. Rodzina szykuje się do wyjazdu, tylko najstarszy syn zostaje tym razem w domu: umyje naczynia, zamiecie, poćwiczy na gitarze.

Wiozę młodszych chłopców i żonę do stadniny. Sześć minut drogi od domu. Zostawiam ich, jadę do Trzcianki, tankuję i odwiedzam małą masarnię pana Paszki — dwie jednostki czasu. Chłopcy narzekali ostatnio na brak wędlin, a nie mamy sumienia kupować tego świństwa z marketów.

Czyszczenie koni trochę się przeciągnęło. Mamy dwadzieścia minut spóźnienia względem planu. O jedenastej mieliśmy wyruszyć do Poznania, gdzie jest kilka spraw do załatwienia — staram się nie

wyjeżdżać, gdy powód tylko jeden. O trzynastej muszę oddać projekt do starostwa, o czternastej jestem umówiony na budowie, rodzina w tym czasie ma spotkanie z dyrektorem liceum, które zgodziło się prowadzić w trybie domowym edukację Antka. O szesnastej spotykamy się na obiedzie. O siedemnastej jest zebranie rodziców dzieci edukujących domowo w szkole podstawowej, która nam patronuje od lat. Mimo małej obsuwy dopinamy grafik.

Szaleństwo? Może. Ale to tylko okazujnie, kilka dni w roku.

Sad

10 września. Radość pod Warszawą.

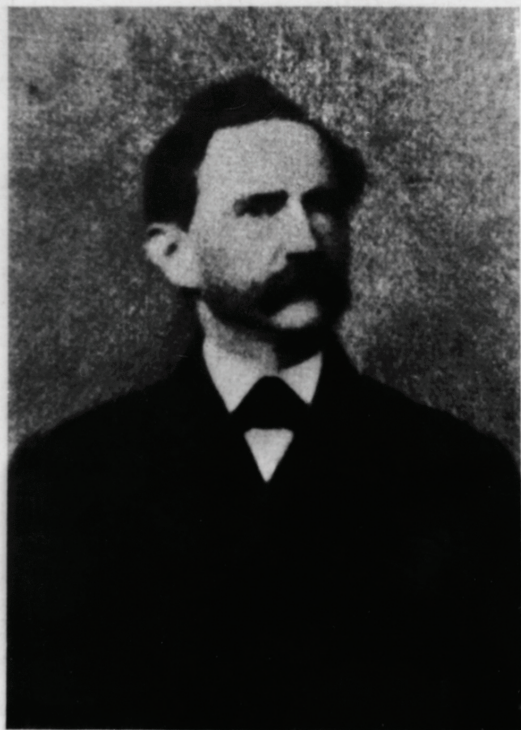
Zostałem zaproszony do udziału w konferencji dotyczącej edukacji domowej. Spotkanie odbywa się w tym samym ośrodku, w którym nocowaliśmy dziesięć lat temu, gdy w Centrum Zdrowia Dziecka umierał Jeremi.

Dziś jesteśmy o czwórkę dzieci starsi, okazuje się, że nasze dziesięcioletnie doświadczenia w prowadzeniu domowej nauki są dla kogoś cenne. Profesor Budajczak, pionier i promotor tego stylu, zaproponował, abym opowiedział o naszym domu i życiu.

Na sali znajduje się blisko setka osób. Większość zaczyna przygodę z homeschoolingiem, patrzą z otwartymi ustami.

„Gdybym nawet wiedział, że jutro świat przestanie istnieć, to jeszcze dziś zasadziłbym jabłoń” — te rzekomo wypowiedziane przez Lutra słowa są dla nas jakąś wskazówką.

Uparcie od kilku lat przy naszej Arce sadzimy sad. Nie tracimy nadziei.



Hipolit Cegielski

Bartłomiej Najtkowski

Pionier i wizjoner

➤ Hipolit Cegielski

Ze zbiorów Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk

Organizuje pokaz maszyn. Ogłasza się w prasie. Publikuje katalogi z opisem produktów, bierze udział w międzynarodowych wystawach sprzętu rolniczego. To robi wrażenie. Ludzie uznają, że produkty Cegielskiego to coś przełomowego.

Ludzkie kości walają się wszędzie. Jest rok 1942, w Poznaniu niemieccy okupanci kopią doły pod budowę bunkrów przeciwlotniczych w okolicy dworca kolejowego. Kopią na terenie cmentarza parafii Świętego Marcina.

Wśród setek grobów pochowanych tam wiernych trudno dostrzec mogiłę Hipolita Cegielskiego. Co się z nią stało? Czy została celowo zniszczona?

Spór o przyszłość

Za oknem widać rozległy las, który otacza stary dworek zamieszkiwany przez Hipolita Cegielskiego i jego żonę Walentynę z Mottych.

Zieleń wprawia w zachwyt. Letnie słońce dodaje okolicy kolorów. Atmosfera w pomieszczeniu, w którym przebywają małżonkowie, nie przypomina jednak Wersalu.

Jest 1846 rok. Cegielski to niski, niepozorny człowiek o srogim spojrzeniu, które zwykle niepokoi jego uczniów. Zawsze pod krawatem i w ciemnej marynarce, z bujnym wąsem. Urodził się w Ławkach koło Trzemeszna i mimo zagranicznych wojaży zawsze nosił Polskę w sercu. Właśnie zadarł z zaborcą, postawił mu się. Do tej pory uczył w Gimnazjum Świętej Marii Magdaleny, ale nie zgodził się kontrolować domów uczniów zamieszanych w powstańczą gorączkę. Małżonka ma mu to za złe.

— Zasady są najważniejsze — przekonuje Hipolit.

— Nic z tych rzeczy. Mogłeś się nie wychylać, uczyłbyś nadal. Straciłeś to, co kochałeś. Te wszystkie lata studiowania filozofii, filologii, historii literatury poszły na marne, bo zachciało ci się być niepokornym! — denerwuje się Walentyna.

— Chcę, by moi uczniowie mieli niezależną edukację. Nie pozwolę, by ktokolwiek wtrącał się w to, jak uczę, nie pozwolę na tłumienie patriotyzmu moich uczniów. Nie zostawię ich w potrzebie. Te wszystkie rewizje w szkole, doszukiwanie się udziału młodzieży w spisku... Mam już tego dość!

— Dziś może cię uratować tylko egoizm — perswaduje żona.

— Nie jestem cyniczny. Chcę, by Polacy sami mogli stanowić o losach swojej ojczyzny. Uczyłem nie tylko po to, by wtłaczać do głów wiedzę. Moim celem było przekazanie głębszych wartości tym, którzy w niedalekiej przyszłości będą elitą Polski.

Cegielski czuje, że w jego życiu zakończył się właśnie pewien etap. Zdaje sobie sprawę, że walka powstańcza w tej chwili prowadzi tylko do złudzeń. Dochodzi do wniosku, że Polacy muszą najpierw okrzepnąć materialnie, by obronić się przed presją pruskiego zaborcy. Dopiero potem będą mogli myśleć o powstaniu.

Wraz z bratem Walentyny zastanawiają się, jak przekonać rodaków do swojej myśli. W głowie świta Cegielskiemu myśl o stworzeniu gazety. „Gazeta Polska” miałaby zakopać przepaść między stanami, zniwelować różnice w pochodzeniu i promować pracowitość, oszczędność oraz idee solidaryzmu społecznego. To podstawowe elementy planu Cegielskiego.

„Gazeta” powstaje już w dwa lata po nieudanym powstańczym zrywie w Poznaniu — w 1848 roku. Jest pierwszym niezależnym dziennikiem w należącym wówczas do Prus mieście. Cegielski zostaje redaktorem naczelnym pisma.

Pomysł na biznes

Hipolit Cegielski lubi przechadzać się ulicami Poznania. Sonduje w ten sposób nastroje w mieście. Podczas jednego ze spacerów spotyka kolegę z gimnazjum. Zyga jest zaniedbany, nieogolony. Jego ubiór zdradza materialne kłopoty.

Cegielski proponuje zaskoczonemu mężczyźnie pracę u siebie. Zdradza mu też swoje plany:

— Do tej pory królowało u nas sukiennictwo. Chcę skierować nasz przemysł na nowe tory.

Ryzyko mu niestraszne: bierze kredyty, inwestuje. Jego teściowa, Apolonia Motty, załamuje ręce.

— Nie ryzykuj, świat biznesu jest zdradliwy — radzi. — Majątek zostanie zlicytowany, zapłacisz za długi wysoką cenę. Ucierpi na tym cała rodzina.

Żonie również to się nie podoba. Wciąż nie może pogodzić się z tym, że jej mąż stracił pracę w szkole. To całe zamieszanie wszystkim działa na nerwy. Walentyna ma delikatny charakter, zaczyna zdradzać objawy depresji.

Cegielski ignoruje te rady i rodzinne trudności. Swój pomysł na biznes wiąże z dynamicznie rozwijającym się rolnictwem. Nie prze-raża go to, że początkowo zupełnie nie ma o nim pojęcia.

— Wszystko idzie w dobrym kierunku, na pola coraz częściej wjeżdżają maszyny uprawne. Rośnie na nie zapotrzebowanie, plony są dostatnie. Musisz w to wejść. To będzie dobry interes — przekonuje go znajomy gospodarz.

— Masz rację. Planuję otwarcie zakładu, który zajmowałby się produkcją pługów i kos — zwierza mu się Cegielski.

Ufa, że inwestuje w nowoczesność. Plany maszyn rolniczych to dla niego znak czasów. Myśli też o przyszłych losach rodaków.

— Muszą mieć pracę i nowoczesne urządzenia. Kiedyś odzyskamy wolność, dlatego już dziś musimy stworzyć podstawy, by mieć punkt wyjścia do poważnych przemian — przekonuje najbliższych.

Spod znaku lokomobili

U Cegielskiego praca wre. Bazar przy ulicy Nowej (dzisiaj Paderewskiego) to miejsce szczególne, centrum polskości w regionie. Cegielski założył tu sklep o nazwie Handel Żelaza. Przy ulicy Butelskiej (dzisiejsza Woźna) lokuje warsztat naprawczy narzędzi rolniczych, a z czasem, gdy interes rozkręca się na dobre, przy ulicy Koziej powstaje też fabryka maszyn i narzędzi rolniczych.

Produkty Cegielskiego trafiają na rynek niemiecki, w głąb Prus. Są wysyłane również do Królestwa Polskiego. Z powodzeniem. Cegielski robi więc krok dalej — otwiera nowoczesną odlewnię z zakładami montażowymi. Poszerza zakres działalności w lawinowym tempie. Jego zakład rozpoczyna produkcję lokomobili, czyli urządzeń zbliżonych do maszyny parowej, zawierających kocioł parowy, maszynę parową i urządzenie transmisyjne (np. koło pasowe).

Przypominają one małe parowozy, ale bez własnego napędu. Dzięki lokomobilonom gorzelnie, młyny, tartaki otrzymują wielkie techniczne udogodnienie.

Cegielski to pionier. Wpada na pomysł zorganizowania publicznych pokazów maszyn. Ogłasza się w prasie, publikuje katalogi z opisem produktów, rysunkami i cennikiem. Reklamuje się nie tylko w Poznaniu, ale również na świecie. Bierze udział w międzynarodowych wystawach sprzętu rolniczego. Ta reklama robi wrażenie. Ludzie uznają, że produkty Cegielskiego to coś przełomowego.

Pomysłowy przedsiębiorca zachęca też młodzież, by w pierwszej kolejności zajęła się rzemiosłem. Sam ciężko pracuje, jego pracowitość silnie kontrastuje z lenistwem wielu ówczesnych Polaków. Hipolit uczy rodaków miłości do pracy. Uważa, że tylko ona uczyni ich ludźmi zaradnymi.

Do spółki z Niemcem

W 1853 roku w Poznaniu przy ulicy Wrocławskiej otwarta zostaje Miejska Szkoła Realna. Początkowo mieści się w obskurnej kamienicy, którą zarządza miasto. Władze z rozmysłem bowiem sabotują ten pomysł. Jednak instytucja krzepnie i przenosi się na ulicę Strzelecką, do okazałego gmachu, który funduje niemiecki przedsiębiorca Gotthilf Berger.

Choć szkołę finansuje Niemiec, nie zniechęca to Cegielskiego do współpracy. Bo Berger to liberał, który nie zważa na podziały narodowe, a jego szkoła jest na wskroś nowoczesna: oferuje uczniom pierwszą w mieście salę gimnastyczną, kilkadziesiąt sal lekcyjnych i trzy laboratoria. Tuż przed śmiercią w 1874 roku Berger zapisuje miastu kolejne sto pięćdziesiąt tysięcy talarów. Z tych pieniędzy powstanie między innymi przytułek dla starców na Wildzie.

Cegielski wie, czego potrzebuje podzielona między zaborców Polska. Zdaje sobie sprawę, że po ukończeniu edukacji w szkole Berge-
ra jego rodacy będą mogli zostać inżynierami — a tych potrzebuje
rozwijający się polski przemysł. Szkoła Realna działa prężnie, rosną
kadry, przybywa inżynierów.

Ponieważ za młodu Hipolit Cegielski był zdany tylko na siebie,
jako człowiek dorosły ceni kreatywność i ma słabość do ludzi zdol-
nych. By ich umiejętności nie poszły na marne, funduje im stypendia.
Ma w tym pomóc Towarzystwo Naukowej Pomocy — kolejny po-
mysł poznańskiego przedsiębiorcy.

Towarzystwo zrzesza ludzi wykształconych, takich jak Karol
Marcinkowski i Maciej Mielżyński. Funkcję dożywotniego prezesa
sprawuje Jan Rymarkiewicz. TPN ma pełnić funkcję quasi-uniwer-
sytetu, wydającego periodyki naukowe dla Polaków pozbawionych
możliwości studiowania. Jest pierwszą w Polsce instytucją, która
oferuje stypendia młodzieży z zaboru pruskiego, a także z Wielkiego
Księstwa Poznańskiego.

Wszystko dlatego, że Cegielski myśli realistycznie. Przegrane po-
wstanie listopadowe determinuje jego sposób patrzenia na przyszłość
Polski, daleki od romantyzmu. Nad mrzonki przedsiębiorca stawia
twarde stąpanie po ziemi: najpierw materialny dobrobyt, a potem
walka. Tylko taka kolejność może zagwarantować sukces.

Przez wiele lat Cegielskiemu doradza kochająca żona, choć mąż
nie zawsze jej słucha, często podejmuje decyzje, nie zważając na
wskazówki ukochanej. W 1859 roku Cegielski zostaje sam, gdyż
Walentyna umiera w wieku zaledwie trzydziestu sześciu lat. Pokonała
ją choroba nerwowa.

Cegielski odchodzi dziewięć lat później, 30 listopada 1868 roku.
Zostawia po sobie zakład, który już wkrótce stanie się znakiem fir-
mowym pracy organicznej w Poznaniu.

Post scriptum

Siedemdziesiąt lat po II wojnie światowej wciąż nie wiemy, gdzie znajdują się szczątki wybitnego poznaniaka i Polaka. Zniszczony przez hitlerowskich okupantów grób Cegielskiego i jego kości nie zostały dotychczas odnalezione mimo poszukiwań prowadzonych przez poznańskich naukowców.

Wybitny Wielkopolanin nawet półtora wieku po śmierci stanowi dla nas zagadkę.

Bibliografia

Bartosik Damian, *Hipolit Cegielski — wielkopolski przemysłowiec i społecznik*, <http://bezkompleksow.com.pl/2017/04/19/hipolit-cegielski-wielkopolski-przemyslowiec-i-spoiecznik/> [data dostępu: 24.10.2019].

bm, *Hipolit Cegielski — przemysłowiec i humanista*, <https://www.polskieradio.pl/39/156/Artykul/1301543,Hipolit-Cegielski-przemyslowiec-i-humanista> [data dostępu: 24.10.2019].

eSzkola.pl, *Hipolit Cegielski — biografia, osiągnięcia*, <https://eszkola.pl/historia/hipolit-cegielski-legenda-polskiego-przemyslu-9125.html> [data dostępu: 24.10.2019].

Kołodziej Piotr, *Hipolit Cegielski 1813–1868. Wielki Wielkopolanin*, <https://historia.org.pl/2013/01/06/hipolit-cegielski-1813-1868/> [data dostępu: 24.10.2019].

kpr/lsl, *150 lat temu zmarł Hipolit Cegielski — jeden z najwybitniejszych Wielkopolan*, <https://dzieje.pl/aktualnosci/150-lat-temu-zmarl-hipolit-cegielski-jeden-z-najwybitniejszych-wielkopolan> [data dostępu: 24.10.2019].

Mrówka Przemysław, *Hipolit Cegielski, czyli jak zostać bogatym po filozofii*, <https://histmag.org/hipolit-cegielski-czyli-jak-zostac-bogatym-po-filozofii-13414> [data dostępu: 24.10.2019].

Poźniak Edyta, Sowa Andrzej, *Hipolit Cegielski — wizjoner i prekursor pracy społecznie użytecznej*, <https://www.polskieradio24.pl/7/7101/Artykul/2194205,Hipolit-Cegielski-wizjoner-i-prekursor-pracy-spoecznie-uzytecznej> [data dostępu: 24.10.2019].

Rezler Marek, *Hipolit Cegielski: 1813–1868*, Poznań 2000.

seb, *Hipolit Cegielski — nauczyciel, który został fabrykantem*, <https://www.polskieradio.pl/39/156/Artykul/2223601,Hipolit-Cegielski-nauczyciel-ktory-zostal-fabrykantem> [data dostępu: 24.10.2019].

Zespół Pioneer Pekao TFI S.A., *Wielki Polak z Wielkopolski*, <http://www.magazyn.pekaotfi.pl/wielki-polak-z-wielkopolski,varia,426,10,1,pl> [data dostępu: 24.10.2019].



LISKÓW. — Ks. Wacław Błaziński, proboszcz liskowski, przy pracy w swym gabinecie.

Janina Kraszkiewicz

Przyszedłem przychylić wam nieba i chleba

➤ ks. Wacław Bliziński
Ze zbiorów Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk

Czytam pamiętniki księdza Wacława Blizińskiego. Jak wyglądałaby licząca obecnie prawie dwa tysiące mieszkańców wieś Lisków, gdyby osiemdziesiąt lat temu nie wybuchła wojna?

Dziwne zrządzenie losu. Ksiądz nie chciał jechać do Liskowa. Groziła mu jednak gruźlica i biskup uznał, że na wsi się podleczy. Bo to i powietrze czystsze, i jedzenie zdrowe. I zesłał księdza Blizińskiego na wiejską parafię.

Liskowianie też nie chcieli młodego, niespełna trzydziestoletniego proboszcza, który wieś zna tylko z okien pociągu i z książek. W swoich pamiętnikach Bliziński wspomina pierwsze spotkanie z delegacją, która przyjechała prosić biskupa o zmianę decyzji.

— *A skąd to, moi gospodarze, jesteście?*

— *A z Liskowa wedle nowego proboszcza. Bo słyszelim, że starego nam zabierają, a przychodzi jakiś młody i to ponoć miastowy, nieobyty z wiejskim narodem. Patrzyłby się nam bardzo zaszły w lata, bo i naród zbisurmaniony.*

— *Ano dobrze, to wam ułatwię widzenie z biskupem, poprośta, bo wiem, że ten naznaczony młodzik niechętnie chce tam jechać*¹.

Ułatwił, bo to on miał być tym młodzikiem. Na wieś wcale mu się nie paliło. Wolał dalej pełnić funkcję sekretarza biskupa. Ale poselstwo nic nie wskórało. Piątego stycznia 1900 roku ksiądz przyjechał do Liskowa. Po drodze spotkał tych samych gospodarzy. Tym razem mieli mu pomóc przewieźć bagaże na nowe miejsce. W parafii nikt go nie witał z otwartymi rękami, a i on nie był zachwycony tym, co zobaczył.

— Po wojnie Bliziński był tematem tabu. Byłem młody i nie interesowałem się przeszłością Liskowa — wspomina liskowianin Stefan Ferenc. — Pod koniec lat sześćdziesiątych wróciłem do Liskowa i zacząłem pracę w szkole. Ksiądz Kwiatkowski, przed wojną współpracownik Blizińskiego, a wtedy proboszcz w Liskowie, marzył, aby zorganizować uroczyste obchody stulecia urodzin Blizińskiego. Wiedział, że mam smykałkę do malowania i rysowania. Miałem przygotować wystawę *Lisków wczoraj i dziś*. Byłem twórcą dekoracji kościoła. Dał mi materiały, zdjęcia, pamiątki. Czytałem, oglądałem i budziło się we mnie zainteresowanie postacią księdza Wacława. Co ci komuniści zrobili z Liskowem? Z księdzem, jego osiągnięciami? — Pan Stefan podnosi głos i mocno gestykuluje. — Od tego czasu Bliziński był dla mnie niesamowitym człowiekiem. To był kapłan, a zarazem społecznik. Jego wizja Liskowa wyprzedzała tamtą epokę. Stworzył koncepcję nowoczesnej wsi. Budował Lisków w stylu nadwiślańskim, przemysłany kompozycyjnie, jak na wzorową wieś przystało.

¹ Wacław Bliziński, *Wspomnienia z mego życia i pracy*, opracował i przypisami opatrzył Grzegorz Waliś, Kalisz 2003, s. 27.

Oprócz dbania o rozwój duchowy, co było naturalnym zadaniem księdza, postanowił pomóc parafianom w wychodzeniu z biedy. Postawił na rozwój spółdzielczości, a to w zaborze rosyjskim na wsi było zupełną nowością.

— Od sklepu się to zaczęło. Proboszcz zaprosił nas na plebanie i powiedział, że stworzymy własny sklep, że uwolni nas od wyzysku sklepikarza. Będziemy mogli się w nim też w spokoju naradzać. Licho i nasz gminny pisarz nie śpią. „Urzędnik mąci i donosi władzy”, ostrzegał nas ksiądz — tak opowiadał przed laty o początkach liskowskiego raju mój dziadek Antoni, jeden z członków powstałego w 1902 roku pierwszego Stowarzyszenia Spożywczego „Gospodarz”, jak twierdził — matki wszystkich późniejszych instytucji.

Dziadek nosił niemodny, ale dobrze skrojony ciemny płaszcz, jakby wyjęty z przedwojennej rodzinnej fotografii. Co chwilę gładził sumiaste wąsy. Przed laty nie doceniałam jego opowieści. Teraz odszukuję w pamięci zdania, które w kółko powtarzał. Może wiedział, że kiedyś mi się przydadzą?

— Cztery miesiące pracy i niewiele brakowało, by spełniło się życzenie jednego z wicherzycieli. „Wyjedzieta ze swoim sklepem bez portek”, powiadał. Prawie mu się udało. Wyrzuciliśmy tych, co to im się nic nie podobało. Zakasaliśmy rękawy i zabraliśmy się do roboty. Wieczorami spotykaliśmy się, żeby czytać i rozmawiać o naszych sprawach. Sklep zmienił się w tajny klub, biuro porad. Po roku radość. Okazało się, że możemy kupić towary dobrej jakości po przyswoitej cenie i jeszcze mamy zyski. Każdy z nas, udziałowców, dostał dwadzieścia pięć procent od wkładu. Reszta pieniędzy miała pójść na rozbudowę sklepu. Wstąpiła w nas otucha. A tak trudno było zaufać proboszczowi, wysupłać po dziesięć rubli, pojechać furmanką raz za darmo po towar do Kalisza. Nie na próżno ksiądz nieraz powtarzał, że do składek lud nasz jest bardzo trudny. Drugi rok zamknęliśmy zyskiem, ale zamiast pieniędzy dostaliśmy dobrą odmianę żyta do

siewu. No i w trzecim roku przyszła strata, a kilka lat później załamanie. Co robić? Nawet nasz proboszcz zwątpił. Rozsądni proponowali rozwiązać spółdzielnię, ale reszta zakrzyczała wątpiących. Byłby wstyd dla kilku rubli narazić się na pośmiewisko niedowiarków. Tryumfowaliby, gdybyśmy spółkę rozwiązali. Zwiększyliśmy udziały, wprowadziliśmy zmiany i pracowaliśmy. Sklepowy przeszedł na wynagrodzenie od obrotu i od zysku. Nie opłacało mu się oszukiwać, bardziej dbał o interes. Nikt nie dostawał towaru bez pieniędzy. Obroty i zyski rosły z roku na rok. Zbudowaliśmy piekarnię i masarnię. Otworzyliśmy własną gospodę z miejscami noclegowymi dla przyjezdnych, karmiliśmy tanio i zdrowo. Niezamożni płacili po dwie kopiejki za obiad, najbiedniejsi dostawali go za darmo. Zziębnięci, bezdomni biedacy błogosławili naszą dobroć. Część zysków szła na oświatę. W sklepie narodził się pomysł założenia ochronek. Trudno jednak było przekonać chłopów, żeby posłali swoje dzieci na naukę. „A jak num za to grunt odbiorą, to z czego bydzimy żyć?” — pytali ze strachem. Na początku najodważniejsi posłali dzieci. Nikt im gruntu nie odebrał. Naczelnicy powiatowi kazali nam zamykać ochronki w powiecie tureckim, bo uważali, że uczymy dzieci nieprawomyślnie, zbyt patriotycznie, po polsku. Nauczycielki i dzieci przeniosły się do powiatu kaliskiego. Po jakimś czasie w Kaliszu dopatrzone się uchylbień i ochronki trafiły do powiatu tureckiego. I tak zabawa z zaborcą trwała, a nasze dzieci i tak się uczyły. Dobrze mieszkać w parafii na terenie dwóch powiatów. W naszym sklepie powstał pomysł budowy domu ludowego, utworzenia kółka rolniczego, warsztatów tkackich, spółki mleczarskiej, stowarzyszeń zbożowego i budowlanego — wymieniał jednym tchem dziadek. — Proboszcz zawsze nam powtarzał, że w pracy spółdzielcy nie można się poddawać przeciwnościom, że trzeba działać zgodnie z potrzebami ludzi i warunkami. No i myśleć o przyszłości, wychować sobie następców. Jego następcą miał zostać ksiądz Aleksander Kwiatkowski.

— Te wszystkie spółdzielnie były ideą, wzorcem w przedwojennej Polsce — mówi pan Stefan Ferenc. — Lisków nazywano wzorową i wzorcową wsią. Jak ksiądz pojechał do Ameryki, czy on nie ściągnął stamtąd tych idei małych ojczyzn? Z pewnością nie, bo za ocean pojechał dopiero w latach dwudziestych, a spółdzielnia powstała w tysiąc dziewięćset drugim roku. Chciał przychylić swoim parafianom chleba i nieba. Chleb to byłoby powstanie tej spółdzielczości, banku. Ksiądz Bliziński nie cierpiał wyzysku, a zwłaszcza Żydów, niestety. Nie robił złośliwości. Stworzył sklep z towarami po niższych cenach i Żyd gospodarczo upadł.

Pan Stefan chwali się również, że udało się wrócić do wydawania „Liskowianina”, miejscowej gazety.

— Kiedy zbliżało się siedemsetlecie istnienia wsi, powstał komitet obchodów. Wśród propozycji pojawił się pomysł powrotu do tradycji i na początek wskrzeszenie gazety. Optymizm był i zapal, powołaliśmy komitet redakcyjny. Zebrało się kilka osób. Zaczęłam gromadzić materiały, szukać ludzi, którzy zechcieliby coś napisać. Oczywiście wszystko było w powijakach. Nie mieliśmy ani urzędzeń, ani niczego. Pierwszy numer, wydanie specjalne, powstał z szatą czarno-białą w dziewięćdziesiątym drugim. Wszyscy obiecywali, że będą pomagać, a potem zostałem sam — wspomina Stefan Ferenc. — Nie było za co wydać gazety. Do dzisiaj dokładam ze swoich pieniędzy. Czasami szukałem sponsorów. Później wpadłem na pomysł, żeby każdy numer był poświęcony jakiemuś działaczowi czy rodzinie, to, mówię, częściowo zasponsorują. Ale to też na dłuższą metę nie zadziałało, bo ilu tych sponsorów mogło być. „Liskowianin” miał być wydawany jako miesięcznik. Nie wyszło. Jako kwartalnik też nie. Teraz powstaje rocznik. Znalazłem przyjazną duszę w osobie pana Grzesia Walisia, który pracuje w Archiwum Państwowym w Kaliszu. I tak we dwóch ciągniemy — opowiada Ferenc.

Niezwykłym przedsięwzięciem księdza Blizińskiego był sierociniec Świętego Wacława. Do opieki nad dziećmi i nauczania ksiądz sprowadził zakonnice. Zbudował szkołę powszechną koło kościoła, żeby dwa systemy działały na młodego człowieka. W 1920 roku do Liskowa przyjechało osiemset sierot wywiezionych z Białegostoku w czasie wojny polsko-bolszewickiej. Najpierw postawiono namioty, potem pospiesznie budowano baraki z drewna, na wzór kanadyjski czy szwedzki. Do dziś zachował się jeden dom zarządu nazywany zielonym domkiem. Resztę rozebrali Niemcy w czasie wojny. Ocalał nowy pawilon pobudowany w 1932 roku. Do dziś znajduje się tam państwowy dom dziecka. Modelem było wychowanie przez pracę. Na bazie sierocińca powstała szkoła rzemieślniczo-przemysłowa, która miała wychować dziecko i dać mu fach szewca lub krawca. Przy okazji produkowano w niej zabawki dla maluchów. Dla dziewcząt z sierocińca Bliziński stworzył Żeńską Szkołę Zawodową w Liskowie, w której uczyły się gospodarowania. Do tego Piątkowscy, dziedzice, bo ksiądz współpracował z okolicznymi ziemianami, przekazali pięćdziesiąt hektarów ziemi. Dzięki temu sierociniec miał własne gospodarstwo i sad. Dzieci poza nauką musiały, tak jak dzieci wiejskie, iść w pole.

— Pamiętam, jak jechali końmi. Piękne konie mieli — wspominała przed laty babcia Marianna. — Jechali ze snopkami zboża. Dzieci siedziały jak dawni wiejscy gospodarze na wozie drabiniastym. Siostry zakonne za nimi niosły w koszach jedzenie na pole. Piękny sad tam też był i w sierocińcu robili własne przetwory. Hodowali także krowy. Część chłopaków, która interesowała się rolnictwem, miała frajdę. Nie szli na piwo, tylko do gospodarza, i pomagali w pracy. To było wychowanie przez pracę, które obowiązywało aż do sześćdziesiątego drugiego roku, kiedy komuniści odebrali zakonnikom wszystkie placówki. Sierociniec zamienili na państwowy dom dziecka. Zatrudnili świeckich wychowawców. Odebrali też część

ziemi. Jeszcze w latach siedemdziesiątych wychowankowie trochę tej ziemi uprawiali. No ale róbtą, co chceta. Kto będzie szedł zbierać marchewkę? Kto będzie chciał kartofle zbierać? Wreszcie ziemię im zabrano, sprzedano.

Księdzu Wacławowi Blizińskimu bardzo leżało na sercu szkolnictwo. Liskowianie usłyszeli od proboszcza ważne słowa: „Na wsi mówią, że nauka, że książka kosztuje drogo. Bądźcie pewni, że ciemnota, nieuctwo i płynąca z nich niezaradność w życiu kosztuje znacznie drożej”². Dlatego od początku swojej wiejskiej posługi bardzo dbał o rozwój oświaty, o oświadczenie chłopów. Liskowska Szkoła Rolniczo-Hodowlana od 1913 roku prowadziła różne kursy. Brały w nich udział przeważnie dzieci gospodarzy i ziemian z okolicy. Była też bursa zapelniona przyjezdnymi. W tej szkole uczyli się nawet dorośli. Coroczne stypendia ufundowane przez właścicielki pobliskiego Dębska, siostry Grabskie, pozwalały kształcić się dwóm ubogim uczniom. Premier Felicjan Sławoj-Składkowski od 1937 roku ufundował coroczną nagrodę dla najlepszego ucznia kończącego naukę: wóz z koniem i kompletną uprzężą.

W 1915 roku w Liskowie utworzono Gimnazjum imienia Piotra Skargi. Proboszcz sprzedał konia, wolant, fisharmonię, dwie morgi ziemi, odebrał z ubezpieczenia swój kapitał i kupił dom na nową szkołę. Sprowadził do Liskowa ludzi dobrze wykształconych, mających kwalifikacje zawodowe, skończony Uniwersytet Lwowski albo Warszawski. Przyjezdni dostawali w Liskowie mieszkania. Prawą ręką księdza w parafii i założycielką Akademii Muzycznej w Łodzi była Maria Bojanowska.

Uczniowie garnęli się do nauki. Ażeby umożliwić ją dzieciom wiejskim, ksiądz ustalił zasadę, że z miasta przyjmowano tylko dzie-

² Wacław Bliziński, *Przyszedłem wam przychylić nieba i chleba. Listy, rękopisy, wystąpienia*, opracował ks. Sławomir Kęszka, Kalisz 2005, s. 87.

się procent młodzieży. Dzięki temu wiejskie dzieci nie musiały wyjeżdżać się uczyć. Zresztą niewielu chłopów było stać na opłacenie bursy. Już samo chesne — choć niewysokie — stanowiło ogromne wyzwanie dla rodziny. A Lisków potrzebował wykształconych ludzi.

W 1920 roku nauczyciele i uczniowie liskowskich szkół średnich poszli na front, lecz szczęśliwie wrócili z wojny do szkolnych obowiązków. Po kilku latach gimnazjum zamieniono na seminarium nauczycielskie. Kształcenie przyszłych pedagogów trwało sześć lat. Nauczyciel polonista, Karol Rut, był pierwszym redaktorem „Liskowianina”. Absolwenci seminarium nauczycielskiego zwykle pozostawali na wsi i tu pracowali. Jednak w 1926 roku szkoła przeniosła się do Słupcy. W opuszczonym gmachu po seminarium rozgościła się natomiast Żeńska Szkoła Zawodowa w Liskowie. Nie była w stanie przyjąć wszystkich chętnych dziewcząt. Kształciła przyszłe krawcowe, hafciarki, trykotarki. Część dziewcząt uczyła się, jak być dobrą gospodynią. Po wojnie młodzież z kilku województw miała możliwość zdobywania zawodu w dwóch szkołach średnich. Obecnie istnieje jeden zespół szkół. Drugi zamknięto w 2012 roku.

— To, co ksiądz stworzył w Liskowie, stało się ewenementem na skalę krajową. Nie było wsi z gimnazjum, dwiema szkołami średnimi o profilach zawodowych, które miały służyć miejscowym. Do tego opieka nad starcami, dom sierot, prewentorium dla dzieci chorych — mówi pan Stefan z dumą w głosie. — A pomysł z seminarium nauczycielskim? Sam jestem belfrem i wiem, że chodziło mu o to, żeby wychować nauczyciela, który zna środowisko, zna pracę dzieci na wsi. Dzieci przecież musiały pracować na gospodarstwie, paść krowy, gęsi. Myślę, że dlatego rzeźbiarz, który stworzył stojący do dziś na placu przed kościołem pomnik Blizińskiego, postawił przy nim dziecko. Oprócz tego na cokole poniżej wyrzeźbiono cztery postacie osób dorosłych.

— Nigdzie przed wojną nie żyło się tak jak w Liskowie. Widzisz to stare zdjęcie? Szeroka ulica, po obu stronach trotuary. Przy dro-

gach drzewa owocowe. Proboszcz kazał zasadzić. Każdy maluch, co przyjmował pierwszą komunię, sadził z rodziną cztery dziczki owocowe w swoim ogródku i sześć przy drodze — wspominała przed laty babcia Marianna. — Zobacz. — Pokazywała ręką, poprawiając swój biały jak śnieg czepiec. — Prawie wszystkie domy były murywane. Mielśmy swoją cegielnię i stowarzyszenie budowlane. Mogliśmy tanio kupić cegłę i co tam jeszcze potrzebne, i dostać na niski procent kredyt na budowę w Kasie Stefczyka. Po okolicznych wsiach w domach kopciły lampy naftowe, a u nas jak w mieście, elektryczność. Jakbyś tu przyjechała w tysiąc dziewięćsetnym roku, to dopiero byś się przeraziła. Chałupy się rozłaziły ze starości. Złodziejstwo. Chłopy, co zarobili jaki grosz, jaką kopiejkę, jak co sprzedali, zaraz wszystko przepijali. Karczmy były trzy i wszystkie nie narzekały. Ci, co mieli trochę oleju w głowie, wyjeżdżali na saksy, żeby zarobić i jakoś przeżyć zimę. A za Blizińskiego wszystko się zmieniło. Jak ktoś chciał zimą dorobić grosza, mógł nauczyć się tkąć, wziąć na raty warsztat i zabrać się do roboty. Nasze towary zawozili daleko, niektóre nawet na Syberię, na Kaukaz. Jak się na polu zasiało len, to każdy wiedział, że będzie na niego zbyt, bo był potrzebny w warsztacie. Lepsze ziarno specjalnie sprowadzili aż z Rygi. Nie miałam łaźienki? Nie szkodzi. Raz w tygodniu w piątek, a mój chłop w sobotę, mogliśmy wyszorować się do czysta w łaźni, bo nasz ksiądz i o tym pomyślał. Zbudował łaźnię i pralnię w sierocińcu, ale my też mogliśmy tam chodzić. Jak kobieta była w ciąży, to wiedziała, że nie może pić wódki, bo to szkodzi dziecku. Mogło się urodzić chore albo umrzeć po urodzeniu. Nauczyliśmy się, że dzieciom potrzeba czystości, świeżego powietrza. Miałśmy Stację Opieki nad Matką i Dzieckiem i Kroplę Mleka. Doktor, pielęgniarka i akuszerka mówiły, co matka ma jeść, jak zadbać o siebie w stanie błogosławionym, jak się opiekować małym. Jak kobieta nie miała mleka, to dostawała je za darmo. Cukier też. Jakieś łaszki też się znalazły. Słyszałam, że

stacja potrzebowała bardzo dużo pieniędzy. Znajomi mówili, że coś koło czterech tysięcy złotych na rok. Ogromna góra grosza. Ale nasz proboszcz był uparty i obrotny. Tu zapukał, tam wszedł. Był księdzem, toteż liczyli się z nim. No i spółdzielnia dobrze sobie radziła. Podobno z zysków dała prawie trzy tysiące złotych na tę stację.

Bliziński powtarzał ludziom, że nie robi tego wszystkiego dla zysku, ale społecznie. Kilka razy inwestował dużo swoich pieniędzy, żeby rozpocząć coś nowego. Miał paru ludzi, którymi się podpierał, zwłaszcza rodzina Szewczyków była zaangażowana. Wielu wciągnęła działalność księdza. Fascynowało ich to, że był warszawiakiem, człowiekiem z dużego miasta, a wrósł w wiejską społeczność. Uznał, że skoro znalazł się na wsi, to musi coś dla jej dobra zrobić. Choć na początku był przerażony. W pamiętnikach napisał, że znalazł się na wsi pełnej złodziei, pijaków, gdzie strach było przejść. I zmienił jej oblicze.

— Proboszcz ciągle grzmiał z ambony, że matki powinny się lepiej opiekować dziećmi — kontynuowała swoje wspomnienia babcia Marianna. — Bywało, że bardziej dbały o zwierzęta w zagrodzie niż o swoje pociechy. Pracowały w polu, zostawiając maluchy na pastwę losu. Albo z osełką masła, kwartą śmietany, krajanką sera czy miedlem jajek i kurą pod pachą szły na targ do Koźminka. Zysku z tego nie było, jedynie mitręga, a dzieciaki w tym czasie mogły zrobić sobie krzywdę, podpalić dom. Ale od kiedy w Liskowie utworzono mleczarnię, szkoda było czasu na targi. Gospodarze codziennie oddawali mleko. Na początku do spółdzielni mleczarskiej zapisali się ksiądz, organista, kościelny, właściciele dworu z Dębska i pięciu gospodarzy. Ludzie nie rozumieli, że z takiego babskiego dochodu może być zysk. A najgorsze, że trzeba było wnieść udział własny. Jaka to niepewność, czy pieniądze nie przepadną. Ale po czasie mieszkańcy wsi usłyszeli, że masło z Liskowa jedzą wielcy państwo w warszawskim hotelu Bristol. A z zysku jednego roku poszły pieniądze na plebiscyt

na Górnym Śląsku, żeby Śląsk był nasz. I na polską flotę — mówiła z dumą w głosie babcia.

W czasie II wojny światowej większość najbliższych współpracowników księdza Blizińskiego została zamordowana w obozach koncentracyjnych. Po wojnie władzom komunistycznym nie zależało, żeby kontynuować ideę przedwojennego społecznika, tym bardziej że był księdzem. O próbach odbudowy powojennej spółdzielczości w Liskowie opowiada Stefan Ferenc:

— Po pięćdziesiątym szóstym roku, gdy zaczęła się odwilż, ksiądz Kwiatkowski chciał reaktywować, na wzór Blizińskiego, spółdzielczy i oświatowy Lisków. Powołano siedem komitetów rozbudowy Liskowa. Nie powiodło się. Później nastąpiła zła koniunktura. Ksiądz Kwiatkowski zamierzał uruchomić przetwórstwo owoców miękkich. Chciał pomóc rolnikom, którzy mieli słabą ziemię, namawiał ich do sadzenia malin, wiśni. Ich uprawa miała przynosić zyski, więc pojawiło się sporo takich plantacji, zwłaszcza z krzewami malinowymi. Powstała nawet spółdzielnia ogrodnicza. Niestety, wszystko upadło. Zabudowania spółdzielni ogrodniczej przejęło państwo, podobnie jak spółdzielnię mleczarską. Później w roku osiemdziesiątym, gdy księdza Kwiatkowskiego już nie było, zmarł, na powrót chciano wskrzesić ideę spółdzielczą, zwłaszcza mleczarską, ale i tym razem się to nie udało. Przełom nastąpił dopiero w roku osiemdziesiątym dziewiątym i po zmianach politycznych w kraju. Lisków pomału zaczął wracać do idei Blizińskiego. Trudno było odbudować to, co niszczone od zakończenia wojny. Gazeta jest jedyną, oprócz szkolnictwa średniego, kontynuacją dawnego Liskowa, jedynym źródłem pisanym, które wciąż istnieje i zamieszcza bieżące informacje społeczno-gospodarcze. To kronika wydarzeń i faktów, a zarazem kronika dawnego Liskowa — kończy pan Stefan.

Liskowianie nadal pamiętają słowa księdza Blizińskiego. Gdy przyjechał do Liskowa, w pierwszym kazaniu, 6 stycznia 1900 roku,

nowy proboszcz obiecał swoim parafianom, że będzie się tak starał i pracował, żeby im w tej wszechobecnej biedzie przychylić nie tylko nieba, ale i chleba. Przez następne trzydzieści dziewięć lat wypełniał swoją obietnicę. Zmarł w 1944 roku w Częstochowie. Trzy lata później jego prochy sprowadzono do Liskowa, by spoczęły na miejscowym cmentarzu, wśród swoich. Wśród tych, którzy na początku go nie chcieli.

Bibliografia

Archiwum Państwowe w Kaliszu, Wystawy on-line, *Wzorowa wieś Lisków i jej twórca*, <https://www.archiwum.kalisz.pl/wystawy-on-line/wzorowa-wies-liskow-i-jej-tworca> [data dostępu: 25.07.2019].

Bliziński Wacław, *Przyszedłem wam przychylić nieba i chleba. Listy, rękopisy, wystąpienia*, opracował ks. Sławomir Kęszka, Kalisz 2005.

Bliziński Wacław, *Wspomnienia z mego życia i pracy*, opracował Grzegorz Waliś, Kalisz 2003.

Chmieleńska Aniela, *Wieś polska Lisków w Ziemi Kaliskiej*, <http://www.wbc.poznan.pl/Content/335410/Segregator2.pdf> [data dostępu: 25.07.2019].

Karczewski Wacław, *Dzieje jednej wsi polskiej*, http://rcin.org.pl/Content/29210/WA004_19998_U8484_Karczewski-Liskow_oh.pdf [data dostępu: 20.07.2019].

„Liskowianin”. Pismo poświęcone zagadnieniom społecznym z uwzględnieniem instytucji liskowskich, nr 2, 30 marca 1937.

Łętocha Rafał, *Lisków — wzorowa wieś ks. Wacława Blizińskiego*, <https://nowyobywatel.pl/2012/11/19/liskow-wzorowa-wies-ks-waclawa-blizinskiego/> [data dostępu: 20.07.2019].

Regionalna Grupa Historyczna „Schondorf”, *Lisków — ponad 700 lat istnienia*, <http://www.schondorf.pl/historia-liskowa-i-okolic/liskow-ponad-700-lat-istnienia/> [data dostępu: 26.07.2019].

Regionalna Grupa Historyczna „Schondorf”, *Lisków, wzorowa wieś polska*, <http://www.schondorf.pl/historia-liskowa-i-okolic/dzieje-i-historia-wsi-liskow/liskow-wzorowa-wies-polska/> [data dostępu: 26.07.2019].



Łukasz Opłatek

Nie oczekuj podziękowań

➤ Sandra Przybyszewska-Pączek
Fotografia udostępniona przez autora reportażu

Poświęca życie innym, choć sama stoi na krawędzi. Kto pomoże jej?

— Bije od niej ciepło, zjednuje sobie ludzi — mówi Gabriela Grzesik, mama Jakuba, nastolatka z glejakiem.

— Nie zdążyłam napisać, a już dzwoniła. Ma szósty zmysł — uważa Paulina Kubińska, mama Martynki z zespołem Battena (choroba metaboliczna).

Obie angażują się w akcje Sandry Przybyszewskiej-Pączek na grupie „Mama w miasteczku Złotów”. Na Facebooku ofiarowują sobie dziecięce ubrania, meble, informacje o lekarzach i fachowcach godnych polecenia. Za darmo.

— Pieniądze często przeszkadzają w pomaganiu — twierdzi Sandra, naturalna blondynka, trzydziestolatka.

Tyje od leków. Na lewym ramieniu ma wytatuowaną lilię, symbol delikatności, przebaczenia, ale też pretensjonalności.

Jako szesnastolatka miała o siedem lat starszego chłopaka. Zabrał ją na obiady, pożyczał pieniądze jej mamie. Doradzał obu. Związek jednak się rozpadł.

Dorosła Sandra też chce być dobra, dlatego zakłada grupę. Jest w zaawansowanej ciąży, gdy do mieszkania na piętrze taszczy worki ubrań podarowane jednym mamom przez drugie.

— Przyszła do mnie mama z dzieckiem. Dałam mu wymarzoną zimową kurtkę. Płakaliśmy wszyscy troje — opowiada. Twierdzi, że ludzie czekali na taką grupę, bo chcą wspierać słabszych.

Nieludzka choroba

Jak Marta Widawska, internautka. Na grupę trafia przypadkiem. Pomaga zebrać pieniądze na leczenie Krystiana, dwuipółlatka chorego na szpiczaka. Życie chłopca lekarze wycenili na milion złotych. Tyle kosztuje lek, który nie jest refundowany. Pieniądze zostały zgromadzone. Potem Marta zbiera nakrętki od butelek i uczestniczy w prowadzeniu aukcji na rzecz Jakuba, który choruje na glejaka mózgu.

— Nauczyłam się od Sandry, że nawet jeśli nie rozwiążę problemu w całości, to i tak mogę pomóc — mówi mama chłopca z autyzmem. — Dlatego mam do Sandry wielki szacunek. Poświęca swój prywatny czas, wie, gdzie uderzyć, jak zdobyć fanty, usługi.

Dla Jakuba, chłopca z glejakiem, Sandra łamie zasadę „zero zaangażowania”. Mówi mu: „Ty wyzdrowiejesz, zabieram cię na romantyczną kolację, obiecuję”. Zaprzyjaźnia się z jego mamą, zbiera pieniądze na wymarzony wyjazd Jakuba do Mediolanu. Ale chłopak nie jedzie, nie jest w stanie przetrwać trudów podróży. Wiesław Myśliwski w *Traktacie o łuskaniu fasoli* napisał, że choroby są dla ludzi i trzeba je jakoś znieść. Sandra nie zgadza się z tym stwierdzeniem. Nie w przypadku dziecka.

— Robię, co mogę, a to nic nie daje. Odechciwa mi się pomagać — mówi.

Tylko moje imię pamiętała

Pierwszy raz zasady łamie z Łucją. Osiemdziesięciolatka mieszka u siebie, ale kątem, bo mieszkanie sprzedawała po zaniżonej cenie i pod warunkiem pozostania w nim do śmierci, a za gotówkę spłaca długi. Za garnki, pościele, telefony — za wszystko, co tylko da się wcisnąć przez telefon staruszce z demencją. Niedożywiona trafia do szpitala. Opiekunka środowiskowa o pomoc prosi Sandrę. „Ktoś musi się nią zająć, podkarmić, posprzątać jej dom” — alarmuje.

Sandra wśród mam zbiera żywność, odzież. Zawozi. I słucha: o śmierci męża, bezdzietności, problemach z komornikami. Po kilku dniach wraca z koleżankami. Sprzątają, robią zakupy, opłacają czynsz. Sandra namawia staruszkę na dom opieki.

Odwiedza ją tam po kilku tygodniach. To jest dramat.

— Nic nie kojarzy, ale moje imię pamięta. Tylko moje. I płakała.

Tak Łucja została babcią Sandry. Po jej odejździe staruszka próbuje uciec z ośrodka.

Kop z buta

Podstawówka. Szkolna toaleta. Nastolatka tłucze młodszą, szczupłą dziewczynkę. Przewraca ją, robi zamach nogą...

— Chciała ją kopnąć w twarz. Zareagowałam i trochę ją poturbowałam. — Sandra Przybyszewska-Pączek wraca do czasów, gdy jest szkolnym postrachem. Ma niewyparzony język. — Nie uderzałam pierwsza, ale nie pozostawałam dłużna.

Tłumaczy to rozpadem małżeństwa rodziców, śmiercią babci, którą traktowała jak matkę. Przez dwa lata cudem utrzymywała się w szkole. Na szczęście dyrektor miał do niej słabość, bo śpiewała na apelach, a po bóje potrafiła przeprosić.

Spokorniała w ostatniej klasie gimnazjum. Poprawiła oceny i sprawowanie.

— Chciałam się uczyć, coś w życiu osiągnąć.

Zostaje kucharzem, by pójść do pracy i zacząć pomagać rodzinie, choć nie lubi gotować. Po zaocznym liceum pracuje w telekomunikacji. Tam pokazuje, że wciąż jest zadziorna.

Telefoniczna sprzedaż jest jak walka o przetrwanie. Albo my, albo oni. Im mniej klient wie, tym lepiej. Norma.

Jeden z kolegów Sandry jednak ją przekroczył.

— Straszyl starszkę, że jeżeli nie przejdzie do nas z innej sieci, to zostanie odcięta. Zaczęłam go nagrywać i pokazałam to kierownikowi. A że tamten gość zarabiał dla nich najwięcej, nie chcieli nic z tym zrobić.

Ale gdy ostrzegła szefów, że sprawę nagłośni, kolega został zwolniony. Ona odchodzi sama.

Z pracy u giganta telekomunikacyjnego wynosi dobre doświadczenia. Na infolinii zauważyła, że ciągnie ją do ludzi. Z wzajemnością. Klienci dzwonią, warczą, rzucają „mięsem”, a ona spokojnie tłumaczy. Oni się rozgadują. „Wie pani, żona mi zmarła i...”, „Przepraszam, jestem nerwowo, bo straciłem pracę”...

To wtedy zakłada w sieci „Mamę w miasteczku Złotów”, ale działa też w realu. Impulsem jest pożar, w którym siedmioosobowa rodzina z pobliskiej wsi traci dorobek życia. Sandra prosi ludzi o pomoc dla pogorzalców. Jest w szoku, gdy pod budynek zajezdza auto za autem.

— Przychodzili ludzie z darami i pieniędzmi w kopertach. Miałam satysfakcję, że dałam im impuls do działania.

Poligon

Waży 55 kilogramów, ma 160 centymetrów wzrostu, a nabój jest wielkości granatu. Ładuje, kolbę opiera o ramię. Ognia! Odrzut cofa ją o krok. Ładuj. Tym razem próbuje zaprzecć karabin o udo. Ognia! Po wszystkim ma siniaki na ramieniu i nodze.

Od sześciu lat Sandra jest żołnierzem wojsk lądowych w Koszarlinie. Na służbę idzie wbrew swojemu partnerowi, który sam będąc zawodowym wojakiem, mówił: „Daj spokój, moja kobieta w wojsku?”.

Na przyjęcie czekała dwa lata. Służba, broń, walka nie kłóć jej się z miłością bliźniego.

— W wojsku walczę o swoich. Na misji też chroniłabym przyjaciół z pracy, państwo. Wiedziałam jednak, że u nas misje nie są obowiązkowe, więc nie czułam ryzyka — tłumaczy.

W koszarowym życiu przeszkadza jej tylko pociąg starszych stopniem do tresowania podwładnych. Kiedyś jeden z nich poprosił ją o zrobienie kawy. Sandra zalała ją resztką wody. A on do niej: „Co to kur...”. Zagroziła, że albo on przeprosi, albo ona złoży meldunek.

— Nieważne, że jestem niższa stopniem, każdy zasługuje na szacunek.

Oficer przepasza. Sandra, choć zwycięska, nie obnosi się z tym.

— To nie jest zły człowiek, po prostu miał ciężki dzień i wybuchł.

Celebrytka na godzinę

Sandra jest dostępna całą dobę, odpowiada na posty, koordynuje aukcje, załatwia fany. Pomaga, ale coraz bardziej świadomie. Matka prosi o pampersy dla dzieci, a przyjmuje ją z papierosem w zębach?

Odmawia. Wystrojona i wymalowana zasłania się dziećmi? Niech radzi sobie sama.

— Poświęcam swój czas prywatny, nie chcę czuć się wykorzystywaną.

Śmieje się, że niektórzy nazywają ją przez to żołą. Bywa, że ktoś odesłany z kwitkiem lub niezadowolony z pomocy zarzuca jej nieuczciwość, dlatego przechowuje rachunki i dowody wpłat. Bezinteresowność za pokwitowaniem.

Czapka bejsbolówka i ciemne okulary to też Sandra. Niechcący stała się osobą publiczną. Zakupy robi na chybcika, nie zabiera córki na złotowską plażę.

— Pływamy sobie, a jakaś mama prosi mnie o pomoc dla chorego na raka dziecka...

Jej współpracownicy mówią, że nieraz musi zaciskać zęby. A to ktoś nie zapłaci za wylicytowaną rzecz, a to powie, że Sandra kręci biznes na tym pomaganiu...

— Robi wtedy dobrą minę i idzie dalej. W dniu jej urodzin podziękowałam, że ją mam. Nauczyłam się od niej wiele, zwłaszcza cierpliwości — mówi z uśmiechem Widawska.

Pomoc do środy

Sandra uczy się szanować swój czas. Gdy bawi się z córkami, odkłada telefon. Gdy mąż chce porozmawiać, odsuwa laptopa. Pan Mateusz pomaga żonie dostarczać paczki, wozi ją do potrzebujących. Kąpie dzieci i kładzie je spać, gdy Sandra pomaga ludziom.

— Kiedyś było jej trudniej, dziś ma coraz więcej koleżanek, które zarazila pomaganiem. Bardzo żonę podziwiam za to, co robi — zapewnia.

Ciesz się, bo dzięki wsparciu Sandra zwalnia. Natarczywym mamom pisze SMS-y: *Wiadomość automatyczna. Kontakt ze mną w godzinach od 8:00 do 19:00.*

By nie zwariować, ma też mechanizmy obronne: wyszukuje u podopiecznych... wady. Czasem je zmyśla.

— Robię to dla mojej psychiki. Dzięki temu nie angażuję się emocjonalnie — wyjaśnia.

Po kilku latach doświadczeń licytacje i inne akcje charytatywne stara się załatwiać w środy. Do upadłego. Za to czwartki ma wolne.

Pakiet chorobowy

Sandra mówi, że otacza się dobrymi ludźmi, że gdyby potrzebowała pomocy, toby ją otrzymała.

— Wiele razy słyszę, że tylko mam dać znać...

Pod koniec lipca pisze na grupie, że ma kłopoty zdrowotne. Kilkadziesiąt osób życzy jej zdrowia i oferuje pomoc, ale ona jej nie przyjmuje.

— Mam nawet problem z poproszeniem kogoś, by został z moimi dziećmi, gdy organizuję pomoc dla innych.

Zaczyna się w 2016 roku. Sandra nie widzi na jedno oko, nie rusza ustami, ręką i nogą. Udar? Lekarze robią jej rezonans magnetyczny, pobierają płyn z rdzenia kręgowego. Diagnozy nie podają. Do łóżka w szpitalu podchodzi pielęgniarka z lekiem. Sandra odmawia jego przyjęcia, żąda rozmowy z lekarzem. Zanim przychodzi, sprawdza nazwę lekarstwa i szuka informacji w internecie. To lek na stwardnienie rozsiane, postępującą, nieuleczalną chorobę ośrodkowego układu nerwowego. Sandra jeszcze tego nie wie. Dobrze, że nie rak — myśli. Chce jak najszybciej wrócić do dziewięciomiesięcznej córeczki.

Dzwoni do męża, który leży chory w domu. On też nie wie, co to SM.

— Powiedziałem, że wszystko będzie dobrze — wspomina mężczyzna.

Każde z osobna informacji o stwardnieniu rozsianym szuka w Google. Po powrocie do domu Sandra patrzy na dziecko i zastanawia się, czy je odchowają.

Po rehabilitacji odzyskuje władzę nad ciałem. Przechodzi na dietę. O chorobie nie opowiada. Dla ludzi jest taka sama: uśmiechnięta, współczująca. Samotnie walczy, by rano wstać z łóżka. Nie przyjmuje leków. To przez boreliozę — drugie przekleństwo. Przenoszona przez kleszcze choroba łamie jej kości i stawy.

— Poza tym lekarze nie znają przyczyn SM, więc czy są w stanie mnie leczyć? Przez pierwsze pół roku brałam zalecane środki, ale czułam się po nich jak po chemii. Teraz czekam na badania. Jeśli będzie gorzej, to podejmę terapię — zapewnia.

Na własną rękę znajduje klinikę pod Wrocławiem, która ma nowoczesne, całościowe podejście do leczenia. Jest droga, a Sandra traci pracę — w wojsku chorych nie potrzebują.

— Chcę iść do normalnej pracy i nadal pomagać, ale może mogłabym robić to etatowo? — zastanawia się.

Chciałaby na pełen etat pomagać takim jak Krystian, Martynka. I jak Jakub — chłopiec pokonany przez raka.



Przemysław Semczuk
Cześć pieśni!

➡ Chór Halka z Piły
Fotografia udostępniona przez Chór

Od ponad stu lat chór Halka działa na rzecz kultury i tradycji narodowych. Choć na przestrzeni wieku wszystko wokół się zmieniło, pieśń wciąż brzmi, niosąc radość i pokrzepienie.

Siedząc na korytarzu Regionalnego Centrum Kultury Fabryka Emocji w Pile, przysłuchuję się próbie chóru Halka. Czekam na dogodny moment, by wejść do sali. Mija piętnaście minut, zanim następuje przerwa. Naciskam klamkę wysokich drzwi.

— Cześć pieśni! — mówię głośno, wchodząc do Sali Kameralnej.

Te słowa wywołują krótkie zaskoczenie. Po chwili kilkadziesiąt osób odpowiada gromkim:

— Pieśni cześć! — i wybucha śmiechem.

Tylko dyrygent wydaje się zaskoczony tym, że znam przywitanie chórzystów. Tajemnica wyjaśnia się szybko. Zanim przyszedłem na próbę Halki, rozmawiałem ze Stanisławem Dąbkim, dyrektorem pilskiego erceku. Dąbek, związany z pilską kulturą od zawsze, już w latach osiemdziesiątych obserwował próby chóru. Jego uwagę przykuło właśnie zawołanie „Cześć pieśni!” i odzew „Pieśni cześć!”.

— Zawsze budziło we mnie uznanie dla tego środowiska — powiedział mi z dumą, relacjonując osiągnięcia chóru, który ercek przygarnął po likwidacji Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego.

Dzięki opowieści dyrektora Dąbka od razu zyskuję sympatię chórzystów. Siadam z tyłu sali, na okiennym parapecie, i przysłuchuję się próbie. Młodo wyglądający dyrygent siedzi przy fortepianie, akompaniując czterdziestoosobowemu zespołowi. Ledwie na palcach jednej ręki mogę zliczyć młodych. Jeden chłopak, jedna dziewczyna z mamą i jeszcze dwie panie mniej więcej po czterdziestce. Reszta Halki to ludzie w kwiecie wieku. Śmieją się, dokazują, trochę droczą się z dyrygentem, który mógłby być ich wnukiem.

Próba trwa. Za kilka dni rozpoczęcie roku akademickiego i trzeba przećwiczyć *Gaudeamus*. Potem jeszcze *Kozak* Moniuszki i *Nieście chwałę mocarze* Mikołaja Gomółki.

Wchodzę do biblioteki miejskiej. W czytelni pytam, czy znajdę coś na temat Halki. Bibliotekarka zaraz przynosi mi książkę Arno Giesego *Na pilską nutę... Spacerkiem po muzycznej Pile*. Halce poświęcony jest spory rozdział. Dostaję też napisaną w 1981 roku pracę magisterską Aleksandra Korkowicza *Działalność społeczno-artystyczna chóru mieszanego „Halka” przy Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego w Pile w latach 1917–1977*. I kilka artykułów z lokalnej prasy. We wszystkich odnajduję te same informacje.

Spośród trzech zaborów w pruskim najtrudniej się żyło Polakom. Ograniczenia dotyczyły wszelkich przejawów kultywowania narodowych tradycji. I jednocześnie tutaj najbardziej walczono o zachowanie mowy i historii rozerwanej na trzy kawałki Polski. Towarzystwa śpiewacze były jednym ze sposobów pokonania oporu zaborcy. W takich właśnie towarzystwach polscy robotnicy, urzędnicy i inteligenci spotykali się, aby organizować odczyty pod hasłem „jak to w Polsce dawniej bywało”. Tylko tak mogli uczyć młode pokolenia.

Przy okazji organizowano obchody świąt państwowych, amatorskie przedstawienia teatralne, wspólne czytanie dzieł wieszczów.

Zespoły niezmiernie rzadko przyjmowały oficjalną strukturę. Ich działania napotykały na zdecydowany opór władz zaborcy. Policja, sądy i urzędnicy utrudniali działalność chórów. Drukarze opracowujący śpiewniki i dyrygenci, a nierzadko i sami śpiewacy byli karani grzywną lub więzieniem. Władze pruskie widziały w pieśni groźnego wroga. Usunięto pieśń polską ze szkół. Te działania jednak tylko podsycały pragnienie Polaków do kultywowania kultury. W 1888 roku koło śpiewacze Halka z Bydgoszczy urządziło zjazd towarzystw. Pojawiło się na nim zaledwie osiem amatorskich zespołów, lecz pod zaborem było to doniosłe wydarzenie, pokazujące, że polskość wciąż trwa i walczy się o nią.

Zachęceniu sukcesem chórzyści zaczęli organizować kolejne zjazdy, a cztery lata później w Poznaniu powstał Związek Kół Śpiewaczych Polskich na Wielkie Księstwo Poznańskie. „Krzewić słowo polskie w czystym brzmieniu, krzepić ducha narodowego, pobudzać miłość do Ojczyzny, szerzyć wiarę w powstanie wolnej niepodległej Polski, szerzyć oświatę za pomocą pieśni, wykładów i odczytów, zwłaszcza po wsiach” — takie zadania wpisane zostają do statutu¹.

Dramat I wojny światowej obudził w Polakach nadzieję na odzyskanie niepodległości. Niemcy, wyczerpani walką na wszystkich frontach, nie mieli już takiej siły, by przeciwstawić się polskim działaniom społecznym. W Pile z inicjatywy kilku mieszkańców: księdza Zygmunta Dykierta, nauczyciela Józefa Bocheńskiego, urzędnika

¹ Korkowicz Aleksander, *Działalność społeczno-artystyczna chóru mieszanego „Halka” przy Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego w Pile w latach 1917–1977*, praca magisterska napisana pod kierunkiem doc. dr Krystyny Kwaśniewskiej, Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Bydgoszczy, Bydgoszcz 1981, s. 11.

Józefa Budnowskiego, księgowego Stefana Jasielskiego, restauratora Teofila Drozdowskiego, sekretarza sądowego Czesława Czekańskiego oraz dwóch robotników przymusowych z zakładów lotniczych Albatros Werke Aleksandra Banacha i Władysława Misiaczka, 3 sierpnia 1917 roku powołano Towarzystwo Śpiewacze Halka. Nazwa nawiązywała do opery narodowej Stanisława Moniuszki.

Wśród pierwszych członków znalazło się dwudziestu czterech robotników, szesnastu rzemieślników i kupców oraz sześciu urzędników — czytam w pracy magisterskiej Aleksandra Korkowicza. Czy wśród nich były kobiety? — zadaję sobie pytanie. Zapewne tak, ale w ocalałych dokumentach nikt ich nie wymienił, bo rolę kobiet w działalności społecznej w tamtym czasie wciąż umniejszano. Już sam fakt, że członkami założycielami chóru byli sami mężczyźni, mówi sam za siebie — choć w nazwie wciąż przewija się określenie „chór mieszany”. A zatem musiały być i zapewne było ich sporo, bo w krótkim czasie zespół liczył już sto pięćdziesiąt głosów. Wielkie były nadzieje. W grudniu 1918 roku, by zmanifestować obecność Polaków, chórzyści zorganizowali w Pile wiec, na którego zakończenie odśpiewano *Boże, coś Polskę*. Niestety, po rozstrzygnięciu traktatu wersalskiego Piła pozostała niemieckim miastem, a grupa inicjatorów chóru musiała uciekać przed prześladowaniami do Polski. Zespół jednak istniał i pomimo represji działał. Największą bolączką był dla śpiewaków brak miejsca na regularne spotkania, gdyż Niemcy restauratorzy konsekwentnie odmawiali wynajmowania im sal. W 1932 roku, na tyłach kamienicy przy Alte Bahnhofstrasse należącej do Żyda Halmanna, udało się odkupić za dwieście pięćdziesiąt marek starą stajnię. Po remoncie wykonanym własnym sumptem Halka zyskała wreszcie miejsce na próby i bibliotekę. W sali organizowano też wieczornice i potańcówki.

Dawna Stara Dworcowa nosi obecnie nazwę 14 Lutego. To elegancki deptak z pięknie odnowionymi kamieniczkami. Po po-

łudniu ruch jest niewielki. W pobliskim sklepie ledwie kilka osób. Pomiędzy dwiema małymi cukierniami na ścianie budynku odnajduję metalową tablicę. Oszczędny napis informuje: „Tutaj w latach 1932–1939 w warunkach hitlerowskiej niewoli chór »Halka« krzewił pieśń polską”.

Aż trudno sobie wyobrazić, że 9 października 1960 roku ulicę 14 Lutego wypełnił tłum, zebrały się na niej dwa tysiące mieszkańców Piły. Przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej Mieczysław Konieczny mówił do mikrofonu:

Dziś stajemy przed tablicą pamiątkową, która ma być trwałym świadectwem polskich tradycji na tej ziemi, jako potwierdzenie naszych niezaprzeczalnych, historycznych do niej praw. Z należytą głęboką czcią wspominamy nazwiska osób, które przypłaciły życiem — zamęczeni w katowniach hitlerowskich — prezesa chóru z 1939 roku Franciszka Brzezińskiego, jego zastępcy Feliksa Kowalkowskiego, skarbnika Wiktora Herca, ówczesnego dyrygenta Augustyna Hanowskiego, Stefana Wojciechowskiego i innych. Aresztowani w dniu 2 września 1939 roku przez policję niemiecką, zginęli jak żołnierze na pierwszej linii frontu, zginęli za wielką, najdroższą wszystkim sprawę, której na imię Polska².

Uroczystego odsłonięcia tablicy dokonała Waleria Beutnerowa, jedna z przedwojennych chórzystek Halki. Połączone chóry Echo i Halka zaintonowały pieśń Feliksa Nowowiejskiego *Ratusz poznański*. Po złożeniu pod tablicą biało-czerwonych wiązanek odśpiewano jeszcze *O polski kraju święty*. Po uroczystości w kilku punktach miasta chóry z Bydgoszczy i Poznania dały występy uliczne, a w po-

² Tamże, s. 86.

wiatowym domu kultury odbył się koncert kilku zaprzyjaźnionych zespołów śpiewaczych i wieczorne spotkanie towarzyskie.

Halka odrodziła się w kwietniu 1946 roku jako Towarzystwo Śpiewu Świętej Cecylii przy kościele pod wezwaniem Świętej Rodziny. Kilkoro przedwojennych chórzystów zostało członkami honorowymi. Już kilka miesięcy później przywrócono pierwotną nazwę, a zespół zaczął zyskiwać nowych członków. W krótkim czasie pojawiły się sukcesy. Nie uszło to uwadze władz, które w 1950 roku uznały, że lepiej będzie przejąć chór. Zespołowi obiecano opiekę Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego, co dawało spore możliwości: dotacje, stroje, fundowanie wyjazdów na przeglądy i wycieczki. W zamian oczekiwano oprawy muzycznej. Do repertuaru dołączono *Międzynarodówkę*, *Marsz robotników*, *Pieśń o Moskwie*, *Zew pracy* i *Pieśń Zjednoczonej Partii*.

— Bywało, że i o Stalinie śpiewaliśmy. — Klaus Giese, wysoki mężczyzna o roześmianych oczach, intonuje pieśń. Zna ją raczej ze słyszenia, bo na swoją pierwszą próbę w Halce przyszedł w 1962 roku, mając dwadzieścia dwa lata.

Giese jest rodowitym mieszkańcem Piły, urodzonym w niemieckiej rodzinie w 1940 roku.

— Mnie to się chór zupełnie nie podobał. — Te słowa wywołują wybuch śmiechu chórzystów. — Zaraz po wojsku byłem, jak mnie kolega wciągnął. Mnie tu przyprowadził i zostawił, a sam poszedł do wojska. I tak zostałem. Wtedy nie było co robić, a w chórze zawsze były dziewczyny — opowiada Klaus z coraz większą radością. — Przychodziło się na próby do Domu Kultury Kolejarsz, a obok była kawiarnia. Po próbach mało kto się rozchodził. Były tańce i śpiewy. A potem odprowadzaliśmy się do domów.

Na te słowa kilka pań znowu wybucha śmiechem.

— A jak Klaus się ożenił, to żona go zapytała, czy wybiera chór, czy ją — dodaje jedna z chórzystek.

— Tak było — potwierdza Klaus. — Pyta: „Chór czy ja?”. A ja na to: „Chór”. I odpuściła.

— Klaus zawsze chętnie odprowadzał dziewczyny po próbach. I to niedawno, nawet parę lat temu. Pamiętasz tę młodą dziewczynę, co na Kwiatowej mieszkała? — Panie znowu wybuchają śmiechem.

— A co było robić? Warunek rodziców, aby sama nie wracała, więc odprowadzałem i przychodziłem do was — tłumaczy niezrażony. — Zawsze po próbach szliśmy do kawiarni albo na tańce. A jak zamykali lokale, to bawiliśmy się po domach.

W słowach Klausa Giesego nie ma przesady. Razem z prezesem Józefem Kanieckim przeglądam stare fotografie. W roku 1950 połączono dwa działające w Pile chóry, męski Echo i mieszany Halka, który dał nazwę nowemu zespołowi, działającemu przy Związku Zawodowym Kolejarzy Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego. Na fotografii, zrobionej na placu Staszica, na stopniach budynku szkoły milicji stoi grupa odświętnie ubranych chórzystów. Dziewczęta w białych bluzkach i czarnych spódnicach, chłopcy w garniturach. Liczymy. Czterdzieści kobiet i dwudziestu jeden mężczyzn. W większości młodzi ludzie. Mało która z panien może mieć trzydzieści lat.

— Z pewnością panny — wyjaśnia prezes. — Jak tylko któraś poszła za męża, to odchodziła z chóru. Śpiewaliśmy na ślubie i to było pożegnanie.

— Wracałyśmy po kilkunastu latach, jak dzieci były podchowane i z domu poszły — dodaje pani Alina Kin, która z przerwą na wychowanie dzieci jest w Halce od 1948 roku. — Dzieci też śpiewają — mówi z dumą.

— Tu w Halce? — dopytuję, czując, że odnalazłem rodzinną tradycję.

— Nie. Córką w Operetce, a syn jest tenorem w Teatrze Muzycznym w Poznaniu. Moja mama też śpiewała, w Warszawie w Teatrze Wielkim, ale to przed wojną było. A po pięćdziesięciu latach przy-

ciągnęłam do chóru mojego młodszego brata. — Wskazuje mężczyzną siedzącego w drugim rzędzie.

— Kolejne pokolenia przychodziły. Matki przyprowadzały córki, a po latach i wnuczki. A ile było małżeństw w chórze? — śmieje się pani Barbara Harasim.

Prezes próbuje policzyć, ile par mogła połączyć Halka. Przynajmniej kilkanaście, ale nikt wtedy tego nie notował, a dzisiaj mało kto już pamięta.

— Ja znalazłam męża w chórze — odzywa się pani Aniela Jabłońska. — A zaczęło się tak: osiemnastego września tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego zaczynałam pracę w ZNTK. Szłam przez biuro z kartą obiegową i zaczął mnie jakiś pan. Zapytał, czy zaczynam pracę, i zaprosił na próbę chóru. To był prezes Edward Waldyn. I tego samego dnia zaczęłam pracę i próby w Halce. I tam poznałam męża. Ślub wzięliśmy trzy lata później. Oczywiście chór nam zaśpiewał. A potem miałam przerwę. Dzieci, praca. I do Halki wróciłam w osiemdziesiątym szóstym. Obecny dyrygent jest moim jedenastym.

— Ja śpiew wyniosłam z domu — mówi Barbara Harasim. — Mama śpiewała w chórze w Wilnie w Ostrej Bramie. Jako dziecko chodziłam na próby i słuchałam. Kiedyś w domach się śpiewało. Nie tylko kolędy w święta, śpiewano przy różnych okazjach. Dzieci słuchały i uczyły się śpiewu.

— To prawda — potwierdza obecny prezes Halki Józef Kaniecki, który do chóru wstąpił, przechodząc na emeryturę. — Kiedyś jak przychodzili nowi członkowie, to byli już ze śpiewem obcyi. Szkoła dużo robiła. Zawsze śpiewu uczono i każdy głos był wyrobiony. Teraz nikt nie śpiewa i mało kto chce wstąpić do chóru. Moją rolą jako prezesa jest szukać i przyjmować do zespołu.

— A moją wyrzucać — odpowiada mu dyrygent, co wywołuje kolejną salwę śmiechu.

Członkowie zespołu postanowili pokazać nowemu pokoleniu, czym jest śpiew. Misją zespołu jest propagowanie pieśni i wartości narodowych i ludowych. Dlatego sami zaproponowali, że przyjdą dać występ w przedszkolu.

— Jak te dzieci słuchały — mówi Józef Kaniecki. — Buzie po-
otwierane z wrażenia. Dziś już nikt dzieciom nie śpiewa, to skąd
mają wiedzieć. A my śpiewamy, przynosimy cukierki. Dzieciaki są
zachwycone.

— Telefon zaraz się rozdzwonił — dodaje dyrygent. — Dzwoniły
kolejne przedszkola, pytali, czy możemy przyjść i do nich. I tak za-
częliśmy śpiewać przedszkolakom. To taka nasza praca u podstaw.
Może kiedyś któryś dzieciak do nas przyjdzie.

Halka występuje regularnie na wszystkich imprezach miejskich.
Inauguruje rozpoczęcie roku akademickiego na uniwersytecie trze-
ciego wieku. Chór występuje w szkołach, przedszkolach, placówkach
opiekuńczych i terapeutycznych, dziennym domu pomocy społecznej
i w pilskiej szkole policyjnej.

— Wszędzie tam, gdzie nas proszą i gdzie nie proszą — mówi dy-
rygent. — Wszędzie tam, gdzie możemy sprawić radość. Raz w roku
organizujemy Święto Pieśni, na które przyjeżdżają zaproszone chóry.
Organizujemy festiwale kołędowe. W ciągu roku dajemy od osiem-
nastu do trzydziestu koncertów. Najwięcej w czasie świąt Bożego
Narodzenia.

Halka odegrała ogromną rolę w budowie pilskiego hospicjum.
Zespół koncertował w Wałczu, Złotowie, Chojnicach i wielu miej-
scowościach regionu, zbierając pieniądze na ten szczytny cel. Po
dziesięciu latach budowy hospicjum dla trzydziestu pacjentów uru-
chomiono wiosną tego roku. Już w najbliższe święta Halka zaśpiewa
tam kołędy.

— W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku chór
otrzymał sztandar — mówi Przemysław Wojnarowski. — Mamy

go do dzisiaj. Ten pierwszy, przedwojenny, zaginął. Ale oba sztandary łączy pewna historia.

W 1934 roku członkowie chóru pojechali wraz ze sztandarem do Warszawy, na II Zjazd Polaków z Zagranicy. Wyjechali każdy osobno, pod pozorem załatwienia swoich spraw. Sztandar przemycili, bo niemieckie władze nie wydałyby zgody na jakiekolwiek patriotyczne gesty. Podczas obchodów uczestniczyli w symbolicznych zaślubinach kilkudziesięciu sztandarów z symbolem Rodła — Związku Polaków w Niemczech — z Wisłą. W 2014 roku członkowie Halki pojechali do Warszawy i w osiemdziesiątą rocznicę ponownie zaślubili sztandar Halki z Wisłą. Nie było przy tym dziennikarzy ani patriotycznych manifestacji jak w 1934 roku. Przyszli w strojach nad brzeg przy Centrum Nauki Kopernik i odśpiewali pieśń *Wisło moja, Wisło stara* i hymn narodowy, zanurzając sztandar w Wiśle. Zdziwieni przypadkowi świadkowie słuchali plenerowego koncertu. Uroczystość powtórzono kilka dni później, tym razem w Pile nad brzegiem Gwdy, do której wlano wodę zaczerpniętą z Wisły.

Przeglądam archiwum Halki. Fotografie, dyplomy, kroniki. Na temat chóru napisano kilka prac magisterskich, opracowań w książkach i wydawnictwach muzycznych. Artykułów prasowych nikt nie jest w stanie zliczyć. Sporo się nazbierało przez sto dwa lata działalności. I choć świat wokół się zmienił, Halka wciąż ma misję, którą wypełnia. Dawniej pieśń przypominała o polskości, dzisiaj jest celem samym w sobie. By ludzi o niej nie zapomnieli.

Bibliografia

Czerwiński Kazimierz, *Pilska „Halka” — niepokonana placówka polskości 1917–1977*, „Rocznik Nadnotecki” 1977, tom 8, zeszyt 2.

Giese Arno, *Na pilską nutę... Spacerkiem po muzycznej Pile*, Piła — Konin 2017.

Korkowicz Aleksander, *Działalność społeczno-artystyczna chóru mieszanego „Halka” przy Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego w Pile w latach 1917–1977*, praca magisterska napisana pod kierunkiem doc. dr Krystyny Kwaśniewskiej, Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Bydgoszczy, Bydgoszcz 1981.



Patryk Rzemyszkiewicz
Można inaczej

➡ Można inaczej

Fotografia udostępniona przez autora reportażu

Tradycyjna edukacja traci oddech. W oświacie panuje chaos. Straszy widmo kolejnego strajku, tłumy ledwo mieszczą się w szkołach. Czy naprawdę tak to musi wyglądać?

Nie mogę trafić.

Stoję bezradnie przed Zespołem Szkół Specjalnych numer 102 w Poznaniu. Zły adres. GPS wariuje.

Wycofuję się do wyblakłej bryły basenu Pośnanii. Znów prowadzi mnie geolokalizacja.

Napotykam kort tenisowy zarośnięty szarą trawą, zamkniętą na kłódkę furtkę i zardzewiałą siatkę z wyciętym kwadratem.

Jest gorąco, ale i tak czuję chłód. Nie wiem, gdzie jestem. Idę dalej.

Zza bujnych krzaków wyłania się przede mną pusty plac, a za nim niepozorny budynek.

Podchodzę od frontu. Widzę dzieci siedzące na ganku. Wokół cisza, którą przerywa huk sowy. To jakby inny, wyrwany z arterii miejskich świat.

Zbliża się do mnie mężczyzna w krótkich spodenkach i zwykłym T-shircie. Wygląda, jakby dobrze czuł się w swojej skórze. To Piotr Kopka, nauczyciel języka polskiego.

W oku cyklonu

Zostaję sam.

Pokój nauczycielski zazwyczaj przypomina ul: plataninę głosów, kaskadę relacji, zamkniętą strukturę napęczniałą od emocji. Taki obrazek widnieje w mojej głowie od czasu praktyk.

Tutaj jest inaczej.

W szkole O!MEGA przestrzeń jest otwarta dla wszystkich. W środku kilka prostokątnych stołów, aneks kuchenny, półki z książkami. Nauczyciele wchodzi i wychodzą. Niektórzy siedzą przy stołach, przeglądając papiery, inni stukają w klawiatury laptopów.

Panuje cisza.

W pierwszej chwili odbieram to jako coś nienaturalnego. Potem czuję już tylko spokój.

Ciekawe.

Wykuwanie filozofii

Siedzimy wraz z Piotrem Kopką w ogrodzie. Cień przecinają świetlne refleksy. Czas płynie szybko, jak bywa podczas dobrych rozmów. Często pojawiają się dygresje, ale to mi nie przeszkadza, podobnie jak dzieciaki z półkolonii biegające wokół. Po zajęciach kopią piłkę, bawią się. Czują się swobodnie.

Dobrze pamiętam moje przygotowanie do pracy nauczyciela. Nie byłem gotowy na to, żeby uczyć. Praktyki odzierały mnie z wy-

obrażeń i wymusiły zmianę perspektywy. Pokazały, że papierkowa robota potrafi przytłoczyć, a uczniowie mogą zgruchotać pewność siebie jednym zdaniem. Klasa przypominała wtedy nie tyle miejsce do nauki, ile pole bitwy, w którym chodzi już wyłącznie o przetrwanie. Bywają piękne chwile, ale zazwyczaj są tylko mgnięciem. Światłem w ciemnym tunelu.

Zastanawiam się, czy w takiej szkole jak O!MEGA nie wyglądałoby to inaczej.

— Tutaj jest więcej czasu i możemy zatrzymać się w danym miejscu. My mamy programowy eksperyment wpisany w filozofię — mówi Piotr Kopka. — Jeśli mamy pomysł *ad hoc* połączyć polski i historię, to nie musimy przepychać tego przez radę pedagogiczną, tylko robimy to. Mogę pójść do koleżanki, powiedzieć: „Mam taki pomysł: połączymy nasze lekcje”, i wtedy robimy łączone zajęcia, wspólny blok.

Otwarte spojrzenie na nauczanie to jedno, ale bardzo ważne jest też miejsce. Coś dalekiego od przestarzałych molochów i identycznych posadzek. Nie zliczę, ile razy jako uczeń, ale też nauczyciel, miałem ochotę wyjść na powietrze, wyrwać się z ławki. Spróbować wykorzystać piękną aurę za oknem, zamiast mówić, że jest gorąco, ale musimy jakoś wytrzymać.

— Prowadziłem polski tutaj, na korce, na Cytadeli zrobiłem kiedyś *Makbeta* dla dwóch osób na ławce — kontynuuje Kopka. — To jest możliwe dlatego, że ta szkoła ma formułę rodzinną, małą liczebność i dobry kontakt. Znamy się bardzo dobrze z uczniami i rodzicami. Praca na relacjach to pojęcie, które jest bardzo modne, ale u nas działa. W momencie kiedy mamy grupę trzydziestoosobową, to bardzo trudne do zrobienia, a kiedy mamy grupę sześćoosobową, chcąc nie chcąc, każdego dnia poznajemy się na tyle dobrze, że ta relacja staje się prawdziwa.

Test Coopera

Weronika Gądek uczy tutaj wychowania fizycznego — przedmiotu usłanego w szkole zwolnieniami z zajęć i okresem pojawiającym się kilka razy w miesiącu.

— Na początku wśród uczniów był opór — zwierza się. — Wyczuwałam niechęć do WF. Nie wiem, skąd to się u nich brało, bo w tym momencie myślę, że oni lubią to robić. Lubią się zmęczyć. Ale wcześniej nie lubili. Na początku, kiedy chciałam się z nimi przebiec, dwadzieścia minut marszobiegu było nie do wykonania. Przełomem okazała się olimpiada sportowa. Dzieci bardzo pozytywnie mnie zaskoczyły. Z piętnastu konkurencji nie zdążyliśmy zrobić nawet dziesięciu, bo cały czas chcieli poprawiać swoje wyniki.

Podobne efekty nie biorą się znikąd. Wymaga to odpowiedniego podejścia i konsekwencji, która bije z postawy Weroniki Gądek. Widzę, że nauczycielka potrafi wczuć się w sytuację innych. To coś, czego zupełnie nie znam z własnych lekcji wychowania fizycznego.

— Nigdy nie dostałam żadnego zwolnienia lekarskiego, co w państwowych szkołach jest nagminne — przyznaje. — Ja nie robię testu Coopera, czyli że biegasz ciągle dwanaście minut i sprawdzają ci wynik: dobrze czy źle. Weryfikuję to w trochę inny sposób. Nie ma czegoś takiego, że musisz biegać, musisz dzisiaj. Nie zawsze ktoś jest nawet w stanie biec te dwanaście minut, bo na przykład nie zjadł śniadania, nie wyspał się, dziewczynki mają miesiączkę, jest mnóstwo takich rzeczy, ja to rozumiem. Jak ktoś mi mówi: „Słuchaj, Werka, ja nie dam rady pobiec tych dwunastu minut”, ja odpowiadam: „Słuchaj, nie ma problemu, sprawdzimy to inaczej, jeśli nie lubisz, jest na to wiele innych sposobów”.

„Jest na to wiele innych sposobów” — trudno o lepsze wprowadzenie do tego, jak to wszystko się zaczęło.

Geneza

Rodzice — to oni byli kluczem, by ta placówka w ogóle mogła powstać. Cztery rodziny połączyły siły, zadbały o finanse, budynek, wszelkie kwestie formalne i założyły fundację. Nie czekały, aż ministerstwo coś zmieni albo wydarzy się cud. Znalazły także osobę, która zadbała o to, by O!MEGA stała się miejscem dla uczniów innym niż wszystkie.

Joanna Sowińska, dyrektorka szkoły, sprawia wrażenie osoby myślącej o kilku rzeczach jednocześnie, a mimo to gdy odpowiada na pytanie, czyni to z chirurgiczną precyzją. Nie pozostawia miejsca na choćby ślad nieścisłości. Wie, o czym mówi.

— Tworzenie autorskiego programu to sztuka kompromisu i odważnego liderowania — opowiada. — Nam się udało dzięki temu, że O!MEGA nie wyrosła na negacji, na niechęci, na traumie szkoły publicznej. Nasza szkoła to nie jest szkoła prowadzona przez ludzi nienawidzących szkoły systemowej, twierdzących, że w tradycji polskiej szkoły wszystko jest „be”. To, że nie wyrosła na traumie, pozwala nam na coś bardzo konkretnego: my budujemy, a nie kontestujemy, robimy, a nie marudzimy. To w praktyce oznacza, że mamy bardzo dużą otwartość na to, co dobre i mądre w tradycji polskiej szkoły, a takich rzeczy jest mnóstwo.

Brzmi nieźle, ale jak to zrobić?

Sowińska wylicza:

— Trzeba umieć czytać ze zrozumieniem prawo oświatowe. Dużo w nim zapisano małym druczkiem, na przykład w kwestii ocen czy prac domowych. Trzeba też być pracowitym, bo polska podstawa programowa naprawdę nie jest zła, jest tylko poukładana według kryteriów w ogóle nieuwzględniających tego, co wiemy z psychologii poznawczej i neuropsychologii.

Czerpanie z tego, co jest na rodzimym podwórku, to jedno, a szukanie rozwiązań z innych krajów to kolejna wartość dodana. Jakie

to rozwiązania? Niewielkie grupy uczniów od sześciu do dwunastu osób, interklasowość, zero prac domowych, budowanie trwałej relacji na poziomie nauczycieli, uczniów i rodziców — to między innymi pokłosie pobytu w Skandynawii, spotkań w tamtejszych szkołach i wyciągania wniosków z tych wizyt. Ponadto: korepetycje, fakultety i normalny czas pracy nauczycieli — czterdzieści godzin w tygodniu, brak dzwonek, rozpisany czas zajęć i odpoczynku. To wszystko składa się na program, który wciąż ewoluuje, a jeśli dodać do tego wymarzony projekt dyrektor Sowińskiej, robi się jeszcze ciekawiej.

— Otwarcie własnych studiów podyplomowych, bo przygotowanie kadry do takiej szkoły jest niezwykle trudne. Nauczyciele, którzy tu przychodzą, muszą się od nas uczyć, jak uczyć, co nie jest komfortową sytuacją — objaśnia Joanna Sowińska. — Oczywiście wybieramy takich o największych predyspozycjach i najszybszym tempie uczenia się. Musimy jednak pamiętać, że oni przeszli przez taką edukację jak my. Na studiach doświadczają uczenia się w sposób szalenie schematyczny, w związku z tym dopiero nawzajem od siebie czy mocą zespołu przyglądają się, co można inaczej zrobić, i jak najwięcej tych form wprowadzają.

O!MEGA mimo wielu zalet ma także wady, o których nie wolno zapominać. Miesięczne chesne to w zależności od poziomu edukacji koszty od dziewięciuset złotych (przedszkole) aż do tysiąca pięciuset (druga i trzecia klasa liceum). To może być zaporą nie do przejścia dla wielu rodziców.

Stypendia? Pojawiły się swego czasu, ale niestety, nikt z nich nie skorzystał. Także budynek, wraz ze wzrastającą liczbą uczniów, będzie wymagał rozbudowy.

Inną przeszkodą jest kwestia priorytetów rodziców, ale i rodzimego systemu, z którym nie zawsze da się wygrać. Marta Leoniuk, odpowiedzialna w szkole O!MEGA za marketing, sprawy organizacyjne i projekty edukacyjne, patrzy na wszystko trzeźwym okiem.

— Z powodu tegorocznego kryzysu rekrutacyjnego otrzymujemy bardzo dużo pytań o to, jakie są średnie wyniki matur. Nie mamy się jeszcze czym pochwalić, to jest ta trudność, którą ma ktoś, kto idzie niewydeptaną ścieżką. Nie mamy historycznego podłoża, nie mamy sztanbaru — opowiada. — Ludzie, mimo że deklarują, że edukacja alternatywna i jej nowe formy ich kręcą, chcieliby, żeby ich dziecko uczyło się w fajnej atmosferze, w dobrych relacjach, zdrowo motywowane do nauki, a nie wyłącznie ocenami, żeby nie było chorej rywalizacji i wyścigu szczurów, na koniec i tak pytają, jakie są średnie wyniki matur.

Leoniuk pochodzi z Podlasia. Sama chodziła do szkoły w niewielkiej miejscowości i bardzo dobrze rozumie, jak istotna jest sfera finansowa dla przeciętnego rodzica.

— Dla mnie tysiąc trzysta złotych opłaty za chodzenie do liceum byłoby barierą nie do przejścia. Wprowadzając stypendium, szukaliśmy ludzi z pasją. Każdy człowiek, który ma swoją pochodnię, pasję i zainteresowania, może zapalić świeczkę komuś innemu.

Przykłady?

— Mamy Gustawa, który na koniec roku robi eksperymenty chemiczne, jako pierwszoklasista zajął czwarte miejsce w konkursie, w którym brali udział sami maturzyści z chemii. Gustaw jest naszym światelkiem, on wszystkim nam mówi o chemii i on nas uczy tego na przerwach. Takich ludzi szukamy.

Sztuka jako nauka wartości

Pani z portierni patrzy na mnie nieufnym wzrokiem. Choć jest w średnim wieku, mam wrażenie, że gdyby chciała, potrafiłaby mnie stąd pogonić w kilka sekund. Pyta, czego tutaj szukam, w sposób, który nie pozostawia wątpliwości — moja odpowiedź musi mieć

sens. Przedstawiam swoją sprawę i choć wciąż wyczuwam dystans, zostaje wysłany na drugie piętro.

Przechodzę przez szatnię teatralną. Mijam elementy scenografii, na ścianach wiszą obrazy. Szukam tabliczki z imieniem i nazwiskiem mojej rozmówczyni. Choć przez telefon sprawiała wrażenie sympatycznej, to wciąż czuję się niepewnie. Nie bardzo wiem, co sądzić o kimś, kto od dwudziestu pięciu lat prowadzi Szkołę Baletową Anny Niedźwiedź. Budzi to mój szacunek, ale i respekt. Uśmiech i serdeczność pani dyrektor sprawiają, że od razu czuję się pewniej. I słucham, jak to wszystko się zaczęło.

— Nasze początki były bardzo skromne, związane z prywatną szkołą anglojęzyczną na ulicy Piwnej w Poznaniu. Była to jedna z pierwszych prywatnych szkół, jakie otworzyły się po zmianach ustrojowych w Polsce — wspomina Anna Niedźwiedź. — Zaproponowałam tamtejszej dyrekcji współpracę. Popołudniami, mając u nich salę, miałam prowadzić zajęcia z baletu. Szybciutko znalazły się zafascynowane baletem dziewczynki, które chciały więcej. Trafiły do mnie do domu, gdzie uczyłam je indywidualnie. Na początku była jedna, potem trzy uczennice, a to pokazało mi, że trzeba otworzyć studio baletowe. Wynajęłam jedną salę i taki był początek. Zupełnie skromny, ale cieszę się bardzo, że mogłam przejść tę drogę od początku.

Patrząc na aktualną sytuację, trudno odpędzić myśl o klasycznej drodze z amerykańskiego snu. Najpierw jedna salka, niewielkie studio, a teraz część wysokiego budynku na Mansfelda 4, w którym mieszczą się sale baletowe i teatr.

Wcześniej wszystko spoczywało na barkach Anny Niedźwiedź, ale od kilku lat ma ona wsparcie pedagogów, których nie może się nachwalić. Jednak nic nie dzieje się samo. Zmiany, przekucie planów w rzeczywistość — to wymaga wiele sił i pracy, a przykładem na to może być powstanie Teatru Cortiqué.

— Przez siedemnaście lat wynajmowałam scenę w ramach wspól-

pracy z Teatrem Muzycznym w Poznaniu — opowiada Niedźwiedź. — Niestety, to było bardzo uciążliwe: zgranie terminów z próbami, zgranie możliwości scenograficznych; to, że nie ma się tej sceny na co dzień. Później zmieniła się dyrekcja i warunki finansowe. Czekalam cztery miesiące na termin wystawienia spektaklu. Stwierdziłam, że dłużej nie mogę czekać i jeśli nie mamy własnej sceny, to trzeba ją zbudować. Dzięki wsparciu mojego wspańskiego męża, mając odpowiednie warunki lokalowe na Mansfelda 4, w ciągu czterech miesięcy powstał teatr. Nie wiem, jak to się udało. Kwestie i formalne, i budowlane, burzenie ścian, przebudowywanie przestrzeni — to było nieprawdopodobne i wymagało wiele pracy. Teatr powstał za prywatne pieniądze, z oszczędności, to była kwestia decyzji, czy człowiek chce latać na Hawaje, czy mieć willę. Oczywiście żartuję, ale coś w tym jest. To szaleństwo, natomiast myślę, że było warto. Fakt, że moi uczniowie mają swój własny teatr, jakoś ich buduje, a oni budują ten teatr. Oni czują, że to jest ich.

„Oni czują, że to jest ich”. Trudne początki, przejścia, przebyta droga — to wszystko nie miałoby znaczenia, gdyby nie uczniowie, ich własne emocje, podejście, jak twierdzi Anna Niedźwiedź; rzeczy, które odkrywają w tej placówce, i to wszystko, czego się w niej uczą; to, jak ona na nich wpływa i jak oni wpływają na nią.

— Nasi uczniowie mówią: „Ja to kocham, jak moja mama mnie oklaskuje, ja kocham, jak oni się uśmiechają na tej widowni, ja im sprawiam radość”. Bardzo dużo się od nich uczę — przyznaje dyrektorka szkoły baletowej. — Bez otwartości dzieci, bez ich pomysłów nie byłoby tego wszystkiego. Dzieci same podrzucają pomysły, moją umiejętnością jest to, że umiem je usłyszeć.

Oczywiście to wszystko brzmi bardzo pięknie, ale wiadomo przecież nie od dziś, że w grupie zawsze pojawiają się konflikty. To część nauki życia i świadomości tego, że często mamy różne, chwilami skrajne charaktery. Jednak, jak często możemy przekonać się w do-

rosłym życiu, mimo dzielących nas różnic musimy nauczyć się ze sobą dogadywać. W tej szkole baletowej także — i to ma swój wyraz.

— Buduje mnie to, jak dzieci ze sobą współpracują. Nie wszyscy się lubią, wystarczy podejść do garderoby, by się o tym przekonać — opowiada Anna Niedźwiedź. — Jednak gdy przychodzi co do czego, gdy mają miejsce próby i spektakle, to za kulisami odbywa się drugi spektakl. Te dzieci wiedzą, kiedy, skąd wyjść, komu pomóc, kiedy się przebrać. Starsze pomagają młodszym. Zdają sobie sprawę, że muszą współpracować, żeby spektakl się udał. To ich wspólna sprawa.

Podobne efekty zależą w głównej mierze od podejścia. Mając w głowie wtłaczane przez popkulturę stereotypy: balet to krew, pot i łzy — łatwo się w nich zatracić. Jak mówi Anna Niedźwiedź: nikt na siłę nie musi kochać baletu przez całe życie.

— Nasza pierwsza absolwentka zawsze chciała być lekarzem. Świetnie czuła się w balecie, nie opuściła ani jednej lekcji. Skończyła naszą szkołę, dostała się na medycynę. Ona jest zawodowcem, ale nie chciała zaszyć się w teatrze, to nie było jej marzenie. Miała inny cel. I to też jest pozytywne. Samo robienie tego, bycie w tym jest dla tych ludzi fascynujące. Jeśli faktycznie będziesz chciała iść tą drogą, masz tu ku temu możliwości. Ten zawód jest dla jednostek, natomiast sama droga jest dla każdego i może otwierać horyzonty na każdy inny zawód. Uczy wszak prezencji, świadomości ciała, przestrzeni, innej wrażliwości na barwę, przyrodę — wyjaśnia dyrektorka szkoły.

Spektakl

Szkoła baletowa też ma swoje bariery. Choć to szkoła ministerialna, to jednocześnie prywatna i bez chesnego się nie obejdzie. Jego wysokość zależy od profilu, etapu edukacji i liczby zajęć w tygodniu. W żadnym razie nie jest to zamknięta enklawa, profile typowo zawo-

dowe uzupełniają te artystyczno-akrobatyczne czy mieszane. Także dorośli mogą wziąć udział w zajęciach dodatkowych i przekonać się, na czym to wszystko polega. Czasami mamy robią to choćby po to, by dowiedzieć się, o czym tak zawzięcie rozmawiają ich córki. To niezwykle budująca wizja współprzeżywania pasji w rodzinie.

To wyjątkowa szkoła, widzę to bardzo wyraźnie podczas odwiedzin Teatru Cortiqué. Jego przestrzeń to duża, kwadratowa scena, podczas spektaklu z każdej strony otoczona widownią. Dla widzów siedzących w pierwszych rzędach tancerze są na wyciągnięcie ręki i mogą sobie jedynie wyobrazić, jak piorunująco działa to na oglądających, ale też i na samych występujących.

Na wejściu ogromne wrażenie robią kryształowe kandelabry. Przypominają parasole, które roztaczają swój blask nad całą salą. Podobnie imponują garderoby i znajdujące się w nich duże toaletki, upstrzone lampkami i lusterkami. Trudno nie poczuć się tu jak gwiazda, ktoś wyjątkowy.

Żałuję, że nie mogę zobaczyć spektaklu, ale sama scenografia i klimat wystarczą, by czuć, że dzieją się tu rzeczy doprawdy magiczne.

Na własnych warunkach

Nauka dzieci w edukacji domowej wystartowała w Polsce w 1991 roku, co było związane z transformacją ustrojową i reformą systemu oświatowego. W ostatnich latach można dostrzec wzrost liczby rodziców nauczających swoje dzieci samodzielnie. W 2017 roku w ten sposób pobierało nauki 13 955¹ uczniów w całym kraju — liczba ta wzrosła o ponad jedną czwartą w stosunku do roku poprzedniego.

¹ *Edukacja domowa*, Wikipedia: wolna encyklopedia, https://pl.wikipedia.org/wiki/Edukacja_domowa [data dostępu 2.09.2019].

W meandry edukacji domowej wprowadza mnie Maria Nowak, z którą spotykam się w restauracji Dmuchawce. Korzystając z pięknej pogody, siedzimy na dworze. Słońce jest ostre. Maria Nowak, dyrektorka niepublicznej szkoły społecznej w Korzeczniku, emanuje spokojem.

— Poprzez znajomą poznaliśmy rodzinę, która miała dzieci w edukacji domowej — relacjonuje. — I tak to się zaczęło: spotkania z rodzicami, wzajemne oczekiwania, mnóstwo rozmów. Zgodnie z prawem warunkiem koniecznym do przyjęcia dziecka jest badanie w poradni psychologiczno-pedagogicznej. Chodzi o to, żeby zarówno rodzice, jak i szkoła mieli świadomość, z jakimi problemami styka się uczeń. Rodzice zobowiązują się, że będą przywozić dziecko na egzaminy, realizować podstawę programową. Większość szkół umożliwia rodzicom w edukacji domowej konsultacje w trakcie roku szkolnego. Istnieje przepis prawny, który mówi, że jeśli dziecko nie zaliczy którejś klasy, musi wrócić do tradycyjnego systemu szkolnego.

Pod pewnymi względami edukacja domowa to idealne rozwiązanie dla rodzica, który chce edukować dziecko po swojemu. Jeśli rodzic jest świadomy, ma odpowiednie zaplecze i rozeznanie, może być to droga jak najbardziej słusza. Czy takie zamknięcie nie wpłynie negatywnie na przyszłe kontakty młodego człowieka z innymi w społeczeństwie?

— Na początku miałam duże obawy — przyznaje Maria Nowak. — Jednak po tych wszystkich rozmowach uważam, że zdecydowana większość ludzi kształconych w taki sposób nie ma podobnych problemów. Dzieci uczestniczą w wielu dodatkowych projektach, są bardzo otwarte, nie mają trudności społecznych. Znam przypadek rodziny, nie z naszej szkoły, która izoluje swoje dzieci, ale to jest sporadyczna sytuacja — wyjaśnia pani Nowak. — Gdyby popatrzeć na uczniów z innych szkół, to też znaleźlibyśmy skrajności. Często te dyskusje, które ja bardzo cenię, uczą mnie i poszerzają moje spoj-

rzenie na sprawy związane z edukacją. Myślę, że rodzice też się uczą, czasem odpuszczają coś, a czasem na coś innego zwracają większą uwagę.

Edukacja domowa może być szansą dla dzieci, które z różnych względów — na przykład z powodu chorób fizycznych czy psychicznych — nie potrafią się odnaleźć w powszechnym modelu edukacji. W edukacji domowej prowadzonej przez Marię Nowak kształciły się dzieci, które trafiły do niej z fobiami szkolnymi albo z powodu złego traktowania przez rówieśników.

— Mieliśmy dziewczynkę, która trafiła do edukacji domowej po pierwszej klasie szkoły podstawowej i dzięki temu systemowi nauki odbudowała się psychicznie. Po latach wróciła do szkoły i świetnie sobie poradziła — opowiada pani Maria.

Przekraczanie własnych granic

Walczę z niesfornym sprzętem, przygotowując się do nagrania rozmowy telefonicznej. Laptop samoczynnie się wyłącza, mikrofon raz rejestruje głos, innym razem nie. Konfiguracja wszystkiego trwa wieki. Zastygam w bezruchu. Cały sprzęt działa i boję się dotknąć kabla, żeby czegoś nie zepsuć. W razie czego mam pod ręką notatnik. Dzwonię.

Małgorzata Sobolewska pozwala mi spojrzeć na temat edukacji domowej z innej perspektywy. To nauczycielka, która prowadziła zajęcia w ramach edukacji domowej, a obecnie jej doświadczenia zaprocentowały stworzeniem szkoły działającej na zasadzie Montessori.

— Razem z koleżankami prowadziłyśmy przedszkola i rodzice naszych uczniów zapragnęli, żebyśmy założyły szkołę. Z czwórką dzieci niekoniecznie mogłyśmy ruszyć coś takiego. Wtedy padł po-

myśl, że możemy to zrobić w edukacji domowej — opowiada.

Kilkoro dzieci, wśród nich jej syn, w tym systemie zaczęło kształcenie.

— Dzień zaczynaliśmy około godziny dziewiętej. Niektóre dzieciaki przyjeżdżały wcześniej, do tego czasu się bawiły, a jak już pojawili się wszyscy, to rozpoczynaliśmy śniadaniem, które wspólnie szykowaliśmy. Po tym śniadaniu zabieraliśmy się za pracę. Jestem nauczycielem i mam fach w ręku, więc byłam w stanie zainteresować uczniów tym, z czym do nich wychodziłam. Potem oni coś do tego dokładali i tak się uczyliśmy. Sięgaliśmy po różne książki, niekoniecznie podręczniki. Dużo fajnych rzeczy wynikało z ich pasji.

A różnice w szybkości uczenia się jej podopiecznych? Sobolewska tłumaczy, jak sobie z nimi radzi:

— Uczniowie biorą konkretne pomoce, a ja dokładałam im dane czynności. Na przykład dziecko w pierwszej klasie wybiera wyrazy, których uczy się czytać, ale takie dziecko, które już czyta, będzie z nich układać zdania. Z kolei inne w tych zdaniach będzie szukać rzeczowników, przymiotników i czasowników. A to przecież ciągle jest jedna i ta sama pomoc. Patrząc, na jakim etapie jest uczeń, gdzie może pójść dalej i dla mnie nie stanowi granicy fakt, że on jest w klasie pierwszej, drugiej czy trzeciej, to jest płynne. Istotne jest to, w którą stronę mogę podążyć. Nie ogranicza mnie żaden podręcznik, mogę z niego korzystać, ale nie muszę.

Edukacja domowa to także przekraczanie własnych granic, nie tylko w kwestii odpowiedzialności, ale i w szerokim spojrzeniu na rzeczywistość; to wykuwanie nowych przyzwyczajęń i twórcze korzystanie z pozyskanej wiedzy, nieograniczone wyniesionymi ze szkoły modelami.

— Jako nauczyciel byłam wychowana w pewnych schematach — przyznaje Sobolewska. — One są niekiedy dobre, ale czasem sprawiają, że się ograniczamy. Nie jestem zwolennikiem tego, żeby

sankcjonować całą edukację. Są pewne rzeczy, które mogą się sprawdzić w różnych sytuacjach. Dzieci pewnych schematów potrzebują. Trudne jest to, żeby dorosły wyzbył się różnych mechanizmów, które go ograniczają, a przez to ograniczają dzieci, które uczy. To wiele lat wyłuskiwania siebie na nowo.

W inną stronę

Poszukiwanie nowych form edukacji nie zaczęło się wczoraj, ale ostatnio nastąpiła intensyfikacja tego procesu. Opisywane tutaj placówki nie są bez wad. Jeśli rodzic w edukacji domowej będzie chciał odgrodzić dziecko od świata, to ma taką możliwość. Jeśli rodzica nie stać na prywatne placówki, to będzie musiał polegać na państwie. To jest droga, poszukiwanie. Takie miejsca mogą zainspirować inne i napędzać zmiany w edukacji.

— Nie wiem, czy O!MEGA może zmienić polską edukację w wymiarze systemowym czy politycznym — mówi Joanna Sowińska. — Wiem natomiast i widzę na co dzień, jak nasza szkoła zmienia dwie rzeczy: życie i podejście do nauki naszych uczniów. Istnienie naszej szkoły, to, że wygrywamy walkę o brak pieniędzy, wygrywamy z obawami ludzi, to wiatr w żagle dla nauczycieli i szkół w całej Polsce. Polska oświata przede wszystkim potrzebuje dowodów na to, że da się inaczej. Nasza szkoła jest na to żywym dowodem. Nie zaniedbujemy podstawy programowej, dzieciaki mierzą się z wyzwaniami, nie są klepane po ramieniu za byle co. Robimy normalną szkołę, którą każdy i każda może powtórzyć u siebie, jeśli tylko zechce. W wymiarze własnego przedmiotu, własnej klasy, własnej grupy przedmiotowej, a jeśli jest się odważnym dyrektorem — w wymiarze całej szkoły.

Bibliografia

Edukacja domowa, Wikipedia: wolna encyklopedia, https://pl.wikipedia.org/wiki/Edukacja_domowa [data dostępu: 2.09.2019].

Autor korzystał także z informacji zawartych na stronach internetowych szkół O!MEGA w Poznaniu (<http://omegaszkola.edu.pl/>) i Szkoły Baletowej Anny Niedźwiedź w Poznaniu (<https://szkolabaletowa.poznan.pl/>).



Ewa Szaławska
Popsuta reputacja

➤ Wnętrze kościoła pod wezwaniem Matki Boskiej Bolesnej
Ze zbiorów Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk

Ksiądz Maliński nad grobem zabitych kolejarzy mówił: „Winni są Niemieccy i żydowscy agitatorzy”. To nie spodobało się robotnikom.

Dla Adama Mickiewicza okolice Kopaszowa były inspiracją przy pisaniu *Pana Tadeusza*. Stąd pochodzi „osobna niewiasta do robienia kawy” zwana kawiarką, a karczma w pobliskim Brzostkowie to podobno pierwowzór dla karczmy Jankiela. W Kopaszewie bywała Helena Modrzejewska.

Tam też w rodzinie karczmarza Wacława Malińskiego i Wiktorii z Łazanowskich pod koniec XIX wieku przychodzi na świat Kazimierz Maliński.

Jako młody uczeń wyjeżdża do Wschowy, do gimnazjum. Polacy mogli się uczyć wówczas wyłącznie w języku niemieckim. W Poznaniu Maliński kończy seminarium duchowne i przyjmuje święcenia, a posługę kapłańską rozpoczyna w Dolsku. Działa na rzecz najbardziej potrzebujących, tłumaczy na łamach polskiej prasy, że polski robotnik nie zna dostatecznie przepisów prawnych i języka niemieckiego, dlatego w razie choroby, wypadku przy pracy, starań o rentę jest w kłopotach.

Narzeka, że wśród adwokatów jest wielu Żydów, że „na oku mają przede wszystkim własny zarobek”¹.

W jego biurze codziennie po południu porady mogą szukać nie tylko robotnicy, ale i służba, czeladnicy, rzemieślnicy. Upredza, że jest zajęty i najął fachową pomoc, dlatego „bez pewnych opłat się nie obędzie; ale te będą tak drobne i maleńkie, że ciężarem żadnym nie będą”².

W parafii w Dolsku nie ma obecnie żadnych dokumentów po sekretariacie księdza Malińskiego. Plebania, jak za jego czasów, mieści się w zabytkowym budynku koło kościoła Świętego Michała Archanioła. Późnogotycki kościół stoi nad brzegiem jeziora, dom otacza mur; obok dzwonnica, starodrzew.

Chodził „z potężną łaską”

W Gostyniu, w lipcu 1906 roku, odbywa się duży wiec przeciwko wykładaniu religii w szkołach w języku niemieckim. Relacjonuje go poznański „Postęp”, dziennik reklamujący się jako „jedyne pismo przeciwko żydom, polskie i katolickie, które broni ludu polskiego, chrześcijańskiego i katolickiego przed wyzyskiem żydowskim”³.

Na wiecu obecni są księża. Kiedy przemawia Maliński, sala trzęsie się od oklasków i okrzyków, a „w oku niejednego łza się zakręciła”⁴. Maliński przekonuje zebranych, że „choćby kapłani śmierć ponieść mieli i choćby im przelać przyszło ostatnią kroplę

¹ *Sekretariat robotniczy w Dolsku*, „Postęp”, 7 kwietnia 1907, s. 1.

² Tamże.

³ „Postęp”, 4 lipca 1906, s. 1.

⁴ *Wiec w Gostyniu*, „Postęp”, 4 lipca 1906, s. 1–2.

krwi [...], duchowieństwo pójdzie z wami zawsze i ciągle, na kapłanach waszych się nie zawiedziecie!”⁵.

Ksiądz Olejniczak komentuje, że „kto tak przemawia jak ksiądz Maliński, ten może być przygotowany, że koszyk z chlebem rząd zawiesi mu wysoko i że nie potwierdzi go na intratniejsze probostwo”⁶.

Wikary Maliński udziela się również w Towarzystwie Przemysłowym i w Towarzystwie Terminatorów, w Stowarzyszeniu Pszczelarzy i w kółku rolniczym, jest prezesem dolskiego Katolickiego Towarzystwa Robotników Polskich. A z Dolska w 1908 roku trafia do Poznania, gdzie 1 stycznia 1913 roku zostaje proboszczem parafii Matki Boskiej Bolesnej i w zasięgu posługi duszpasterskiej ma wpływ na dwie dzielnice: Łazarz i Górczyn.

Przy kościele Matki Boskiej Bolesnej działa Dom Katolicki Świętego Antoniego, a w nim liczne stowarzyszenia katolickie. W czasie wojny proboszcz zorganizuje tam składnicę broni i placówkę Straży Ludowej. Nim jednak do tego dojdzie, na Łazarzu zajmuje się edukacją dla najmłodszych dzieci i młodzieży. Wśród nich jest ośmioletni Jan Brygier, który po szkole chodzi do „ochronki” — tak mieszkańcy parafii łazarskiej nazywają Dom Katolicki przy ulicy Borej. „Była tam mała salka z ławkami i stołami, a poza tym duża sala”⁷. W niej dzieci uczą się wierszy i polskich piosenek, słuchają bajek i legend, tam odbywają się pogadanki. Za ochronką rozciąga się spory ogród, gdzie dzieci mają wydzielone zagonki, na których sieją i sadzą.

Brygier, późniejszy działacz komunistyczny, autor wspomnień *Tak było w moim życiu*, opisuje księdza jako człowieka „o olbrzymiej tuszy”, który zawsze chodził „z potężną laską”⁸.

⁵ Tamże.

⁶ Tamże.

⁷ Jan Brygier, *Tak było w moim życiu*, Poznań 1988, s. 24.

⁸ Tamże.

Wieczorami w Domu Katolickim przy Bosej odbywają się zebra-
nia Katolickiej Młodzieży Męskiej lub Żeńskiej. Ksiądz koordynuje
przygotowania zdolnych uczniów do gimnazjum, organizuje kore-
petycje u studentów.

Dzieci z Łazarza i Górczyna uczestniczą też co czwartek w nabo-
żeństwie, które odprawia dla najmłodszych ksiądz Maliński. Czyta
dzieciom w czasie mszy książeczkę *Żywot św. Teresy od Dzieciątka
Jezus*. Jak wspomina Brygier, niektórych z Górczyna „przyciągało
nie nabożeństwo, lecz bijatyki z dziećmi z Łazarza [...]. Bójki były
przeważnie po nabożeństwie”⁹.

W 1913 roku proboszcz Maliński wnioskuje o zgodę na odbywa-
nie procesji podczas Bożego Ciała poza murami cmentarza, na rynku
świętołazarskim. Miejscowe władze, z nadania zaboru pruskiego, od-
mówiły. Proboszcz składa zatem podanie do samego cesarza Wilhel-
ma. Ten również nie wyraża zgody. „Przewodnik Katolicki”, kome-
ntując sytuację, pisze: „tak właśnie rząd traktuje katolików, chociaż
zarzeka się, że obchodzi się z nami tak samo jak z protestantami”¹⁰.

Marsz dzieci

Wybuchła I wojna światowa. Wielkopoleanie walczą w pruskiej ar-
mii. Poznań ma problemy z zaopatrzeniem w żywność, pojawiają się
kartki, a zamiast białego chleba — *Kriegsbrot*, do którego dodaje się
kardofle. Biedota górczyńska ratuje się przed głodem, hodując kozy.

Niemcy prowadzą rekwizycje dzwonów kościelnych i również
parafia Matki Boskiej Bolesnej musi oddać swoje. W ich obronie

⁹ Tamże, s. 39.

¹⁰ *Jak traktują nas katolików w Poznaniu*, „Przewodnik Katolicki”, 27 lipca
1913, s. 9.

przed kościołem gromadzi się tłum wiernych śpiewających pieśni religijne i patriotyczne.

Na ulicach Poznania „coraz więcej było inwalidów wojennych bez rąk, bez nóg, niewidomych”, pisze Jan Brygier¹¹.

15 listopada 1916 roku umiera ulubiony pisarz Polaków — Henryk Sienkiewicz. Co ma wspólnego z Malińskim? Otóż w kościele Matki Boskiej Bolesnej wisi obraz Paulina Gardziejewskiego pt. *Adoracja Najświętszego Serca Pana Jezusa*. Nie ma daty, ale artysta spędził na Łazarzu dwa lata, pomiędzy 1905 a 1907 rokiem. W lewej części obrazu u stóp Chrystusa klęczy mężczyzna. Mieszkańcy Łazarza uważają, że to Henryk Sienkiewicz. Proboszcz Maliński zaprasza do kościoła kaznodzieję Nikodema Cieszyńskiego. Znają się dobrze, bo to dawny wikary Malińskiego. Na kazaniu ku czci Sienkiewicza kaznodzieja woła z ambony: „Panie Sienkiewiczu, larum grają, wojna! [...] Oto Polska cała w żałobie u trumny Wieszcza, jak Basia przed zwłokami Hektora Kamienieckiego, krzyżem leży i woła nieszczęśliwa, rozdarta, ogniem i mieczem trawiona, potopem nieprzyjaciół zalana”¹².

Jan Brygier stwierdzi, że „to nabożeństwo wówczas, w zaborze pruskim, było wielką manifestacją polskości”¹³.

Kolejną wielką mowę ksiądz Nikodem wygłasza w parafii w 1918 roku, tym razem ku czci Dąbrowskiego, w setną rocznicę jego zgonu. Proboszcz wydaje kazanie drukiem i sprzedaje, ale nie wyznacza ceny zakupu. Dzieło to „jest niewielkie objętością, ale wysoce wartościowe zawartością”¹⁴. Czytelnicy wpłacają ofiary od kilku do dwudziestu

¹¹ Jan Brygier, dz. cyt., s. 41.

¹² Nikodem Cieszyński, *Mowa wygłoszona na nabożeństwie żałobnem za śp. Henryka Sienkiewicza* [w:] *Lud jako lew się podniesie: zbiór kazań i mów kościelno-narodowych*, Poznań 1921, s. 38.

¹³ Jan Brygier, dz. cyt., s. 42.

¹⁴ *Mowa poświęcona pamięci Dąbrowskiego*, „Postęp”, 19 lipca 1918, s. 2.

pięciu marek. Czysty dochód za mowę ku czci Dąbrowskiego proboszcz przeznacza na szczytny cel — na polskie dzieci na obczyźnie.

W listopadzie 1918 roku cesarz Wilhelm abdykuje i ucieka do Holandii. Na ulicach żołnierze zrywają epolety oficerom. Edward Stęśik wraz z kolegami postanawiają odebrać Niemcom fort. Wcześniej otrzymali część karabinów z kościoła łazarskiego. Udało się, fort zdobyty, lecz kończy się im amunicja. Wtedy do fortu wkraczają Niemcy i Polacy spodziewają się rozstrzelania. Po latach Stęśik powie: „dzięki Bogu i wielkiej interwencji Hulewicza, Palucha i ks. Malińskiego zostaliśmy zwolnieni”¹⁵.

Na początku grudnia proboszcz bierze udział w obradach Sejmu Dzielnicowego, a 27 grudnia koło południa zwołuje dzieci z parafii. W wielkim pochodzie wyruszają do Bazaru. Powstaniec Walenty Matuszak wspomina, że „całe miasto było ładnie ubrane w sztandary alianckie i polskie. Ksiądz Maliński zorganizował barwny pochód dzieci, który szedł z Łazarza pod Bazar. Był ładny dzień i maszerowaliśmy pod Bazar w oczekiwaniu na przemówienie Paderewskiego”¹⁶. Po bokach pochodu kroczy Straż Ludowa, a w czołówce — Jan Brygier i Aleksy Wietrzykowski. Aleksy otrzymuje od księdza tekst do wygłoszenia na powitanie Paderewskiego, ma nauczyć się przemowy na pamięć. Przybyłych wita Helena Paderewska, Wietrzykowski wygłasza przemowę. Kilka godzin później wybucha powstanie wielkopolskie. Polacy szybko opanowują miasto.

Proboszcz Maliński zapisuje nazwiska ochotników z parafii, którzy zgłosili się do Wojska Polskiego, do specjalnej parafialnej Złotej

¹⁵ Daina Kolbuszewska, *Postrzeleńcy z oddziału łazarskiego, Edward Stęśik [w:] Trzynastu Wspaniałych. Powstanie Wielkopolskie w życiu i losach powstańców i ich rodzin*, Poznań 2008, s. 57.

¹⁶ Walenty Matuszak, *Żołnierskie wspomnienia z dni powstania [w:] Wspomnienia powstańców wielkopolskich*, wyboru dokonali i wstępem opatrzyli Lesław Tokarski i Jerzy Ziolek, Poznań 1970, s. 177.

Księgi. W każdą niedzielę na mszach modli się za nich. Na ostatnich stronach „Wiadomości Kościelnych MBB”, które proboszcz redaguje po wojnie i wydaje własnym nakładem, znalazły się podziękowania od proboszcza i pokwitowania dla tych, co zbierają na szczytne cele. Zamiast kwiatków na imieniny można było zrobić zbiórkę na biedne dzieci. Ksiądz proboszcz podaje, z czyjej inicjatywy i ile datków zgromadzono. Uczennice zbierają pieniądze w szkole zamiast podarków na imieniny. Zbiera też „grajek weteran” na gwiazdkę dla żołnierzy, zbierają narzeczeni na zaręczynach. Wpłaty idą na pomoc dla Śląska, na Warmię i Mazury, na biedne dzieci.

Ksiądz podpada robotnikom

W kwietniu 1919 roku w Radzie Miejskiej Poznania ksiądz przemawia jako radny i dziękuje wiernym, że są odporni na socjalizm.

Od początku swojej posługi działa „w kierunku katolickim, patriotyczno-narodowym, a przeciwko lewym prądom robotniczym”¹⁷. Dostaje się do Sejmu z list Narodowego Stronnictwa Robotniczego i działa w sejmowej komisji opieki społecznej i komisji petycyjnej.

W dniu 26 kwietnia 1920 roku poznańscy kolejarze ruszają pod Zamek, domagając się trzynastej pensji, której jak dotychczas nie wypłacono jedynie w dawnej dzielnicy pruskiej. Policja, pod wodzą swojego szefa wywodzącego się z endecji, zaczyna strzelać. Ginie siedmiu kolejarzy, są też ranni, ale prasa rozpisuje się o prowokatorach bolszewicko-żydowsko-niemieckich. Nad grobem zabitych przemawia Maliński, który też oskarża o to niemieckich i żydowskich agitatorów, co nie jest prawdą. Takie pożegnanie zmarłych nie podoba się robotnikom.

¹⁷ Jan Brygier, dz. cyt., s. 24–25.

Na murze poznańskiego Zamku od strony alei Niepodległości jest tylko mała tablica upamiętniająca śmierć robotników. Ci, którzy polegli w 1956 roku, mają po drugiej stronie dwa potężne krzyże.

Okropny los pijaka

Ksiądz Maliński jest wrogiem alkoholu. Już w 1910 roku otwiera i święci Gospodę Wyzwolenie. Kiedy w Poznaniu odbywa się wystawa przeciwalkoholowa, ksiądz Maliński zasiada w Komitecie honorowym.

Zachęca „płomienną odezwą” swoich parafian do zapisywania się w poczet członków Wyzwolenia, towarzystwa zupełnej wstrzeмиężliwości. Organizuje wieczornice oświatowe. Przed jedną z nich parafia z Łazarza ma ponad dziewięćdziesięciu kandydatów na „wyzwoleńców”. Po wojnie „Wiadomości Kościelne MBB” ostrzegają parafian, że alkohol to źródło zła, „wyciąga ostatni grosz z kieszeni biednego człowieka i z bogactwa głównie Żydów, wyzyskujących nie-szczęśliwą skłonność pijaków”. „Alkohol popycha do samobójstwa” albo „jak okropnym jest los dzieci pijaka”!¹⁸

Ale „Wiadomości” zamieszczają też drobne reklamy. Można się dowiedzieć z nich na przykład: „na święta gwiazdkowe polecam znakomicie wypielęgnowane piwo butelkowe. Wacław Maliński, ulica Głogowska 106”¹⁹.

¹⁸ *Alkohol*, „Wiadomości Kościelne parafii Matki Boskiej Bolesnej”, 25 września 1927, s. 3.

¹⁹ Ogłoszenie opublikowane na s. 4 „Wiadomości Kościelnych parafii Matki Boskiej Bolesnej”, 21 grudnia 1919.

„Przydusza do ściany i bije głową”

Współpracownikiem księdza Malińskiego był Andrzej Kubiak, zakrystianin na parafii, który odwiedza i leczy chorych. To przyszły założyciel Zgromadzenia Braci Serca Jezusowego. Kubiak prowadzi pamiętnik i opisuje w nim między innymi lokum mieszkalne, jakie dostał od Malińskiego: „Suterena wilgna, mokra — zaduch; całą zimę od roku 1920 do 1923 nie można było się poczciwie umyć. Woda zamrznięta. Dach dziurawy. Wiele prosimy Boga przez Najświętsze Serce Jezusa o pomoc i miłosierdzie nad nami, braćmi”²⁰. Zarzuca Malińskiemu, że „wyzyskuje na wszelki sposób i na każde byle jakie zawołanie w dzień i w nocy być muszą”²¹. Bracia czują, że są trakтовani „jako parobcy księdza proboszcza”²². Kubiak coraz częściej opisuje ataki gniewu proboszcza: „zawezwał nas, brata Stanisława i brata Marcina, do siebie. Wybuchnął zakazem przystępowania do komunii świętej. Odpowiadam, że pójdę do księdza kardynała. Wtem wpada na mnie jak rozbewstwiony stwór, przydusza do ściany i bije głową”²³.

Innym razem, gdy bracia nie dość szybko wykonują polecenie pójścia do chorego, proboszcz „przylatuje gwałtownie z kijem w rękę, z klątwą: Wy diabły! Bo was wypędzę! — kijem trzaska w drzwi, tak że wapno ze ściany poodlatywało”²⁴. Przysyła braciom „organistę do żywienia”, obiecując zapłatę, ale jej nie otrzymają. Są karani finansowo, gdy nie dość gorliwie zbierają ofiarę. Ale to ksiądz Maliński urzęduje i przeprowadza braciom zakonne obłóczyny, pierwsi trzej

²⁰ Zgromadzenie Braci Serca Jezusowego, *Myśli brata założyciela*, <https://zbsj.pl/o-zgromadzeniu/zalozyciel/mysli-brata-zalozyciela/> [data dostępu: 29.09.2019].

²¹ Tamże.

²² Tamże.

²³ Tamże.

²⁴ Tamże.

bracia uroczyście przywdziewają habit — za pozwoleniem księdza kardynała Dalbora — z rąk proboszcza.

Boży biznesmen

W 1919 roku w prywatnym mieszkaniu księdza Malińskiego powstaje spółka Strzecha. Jej celem jest budowanie domów dla robotników. „Wiadomości Kościelne MBB” zamieszczają reklamę spółki: „Robotnicy! Od was zależy, czy się zakończy wasza niedola mieszkaniowa, czy trwać będzie nadal. Chcecie ją zakończyć, to wstępujcie jak najliczniej do spółki budowania domów robotniczych Strzecha”²⁵.

To spółka zawarta z jakimś Stanisławem Grzegorzewiczem. Maliński już wcześniej miał zwirownię i próbował produkować kręgi studzienne, tuż pod kościołem Bożego Ciała. Spółka Strzecha kupiła kolejne tereny, podzielono je na działki, a na nich stawiano domki. Finansował to Poznański Bank Ludowy, w którego radzie nadzorczej ksiądz Maliński zasiadał.

W 1921 roku następuje otwarcie trzech domów dla trzydziestu rodzin robotniczych.

„Nie można tylko na rząd się oglądać i czekać, aż on za nas wszystko zrobi” — tłumaczy ksiądz Maliński. „Nie, trzeba samym zaczynać pracę, a gdy rząd zobaczy, że coś się robi, to na pewno nie odmówi pomocy”²⁶.

Władze Poznania chwalią zasługi proboszcza i przyznają, że miasto ma trudności lokalowe. Każde mieszkanie od Malińskiego miało dwa duże pokoje i kuchnię, komórki i ogródek.

²⁵ *Strzecha*, „Wiadomości Kościelne parafii Matki Boskiej Bolesnej”, 9 listopada 1919, s. 1.

²⁶ *Piękna uroczystość*, „Postęp”, 15 listopada 1921, s. 2.

Poznańscy robotnicy i bezrobotni zbierają się czasami w restauracjach: Sielance i Kolumbii przy Drodze Dębińskiej. Nieopodal proboszcz Maliński kupuje tak zwany Park Amerykański.

Jan Brygier zapamiętał go jako duże gospodarstwo, jego ojciec pracował tam na posadzie gospodarza. Interesem zarządza siostra księdza. Kiedy jednak gospodarstwo zostaje okradzione z inwentarza, a siostra proboszcza oskarża o ten postępek Brygiera, który trafia z tego powodu do aresztu, młody Jan zrywa znajomość z księdzem.

Proboszcz jest przez wiele lat przewodniczącym Rady Nadzorczej banku pożyczkowego na Łazarzu. „Wiadomości Kościelne MBB” zamieszczają ogłoszenia banku, który reklamuje się, że przyjmuje wszelkie oszczędności, poczynwszy od jednej marki, i udziela pożyczek. Ojciec Jana Brygiera jeszcze przed I wojną światową lokuje w nim pieniądze, które uzyskał ze sprzedaży gospodarstwa. Kupuje też dom przy ulicy Bosej. Budynek, już w dwudziestoleciu, zostaje jednak zlicytowany za długi. Kupuje go tanio ksiądz Maliński, żeby odsprzedać drożej.

Pieski obiad

Po wojnie krajem wstrząsają kryzysy gospodarcze. W Poznaniu przed urzędem pracy wystają tłumy bezrobotnych. Józef Majchrzak bezskutecznie szuka pracy, tłumaczy, że był na wojnie i w dwóch powstaniach, ale w odpowiedzi widzi wzruszenie ramion albo słyszy: „Po coś tam poszedł”? Powstaniec Ignacy Szypulski jest odprawiany „z iro niczną uwagą, że trzeba było w domu być, jak posady rozdzielali”²⁷.

²⁷ Ignacy Szypulski, *Spóźniliśmy się do stołu* [w:] *Pracy nam dajcie! Wspomnienia Wielkopolan z lat 1919–1939*, wybór i opracowanie Edmund Makowski, wspomnienie spisał Tadeusz Becela, Poznań 1979, s. 220.

W wielu domach panuje głód, bezrobotni zastawiają majątek w lombardach, ale i tak nie mają go później za co wykupić. Najbardziej obawiają się wiosny, bo wtedy właściciele domów dokonują eksmisji.

Rodziny jedzą już z pokrzyw, z lebiody. Polują na dzikie króliki, wyciągają z gniazd młode wrony. Kradną. Prasa odnotowuje kolejne samobójstwa z nędzy. Wzrasta prostytutcja, kobiety oferują swoje usługi za pięćdziesiąt groszy — tyle kosztuje chleb.

Poznań do końca XIX wieku to miasto twierdza. Po wojnie część fortów jest pusta, więc bezdomni i bezrobotni zajmują je na mieszkania. Maria Utrata wspomina: „w forcie mieszkało nas 10 rodzin i kilka samotnych prostytutek, wszyscy mieszkańcy bunkra byli bez pracy [...]. Czasem mojemu Felkowi udało się złapać jakiegoś psa, wówczas nagotowałam repety i wszystkie bunkrowe dzieci miały święto. Nażarły się do syta”²⁸.

Kto może, wyjeżdża do pracy do Francji, Belgii. Przy ulicy Odskok w punkcie werbunkowym każą pokazywać ręce. Inteligentów nie wysyłają do francuskich kopalń ani do pracy w polu. Kazimierz Utrata żegna na dworcu wujka emigrującego do Francji. „Stali wychudzeni, o ziemistych twarzach, źle odziani, niektórzy w dziurawych butach, z workami na plecach. [...] już nikomu niepotrzebni jak zużyta szmata, którą bez żalu wyrzuca się”²⁹.

„Wiadomości Kościelne” Malińskiego też zamieszczają oferty pracy: „silna, mocna niewiasta — najchętniej wdowa po polskim żołnierzu, niech się zgłosi do redakcji, otrzyma posadę”, a „gospo-

²⁸ Kazimierz Utrata, *Fragmenty wspomnień [w:] Pracy nam dajcie! Wspomnienia Wielkopolan z lat 1919–1939*, wybór i opracowanie Edmund Makowski, Poznań 1979, s. 277.

²⁹ Tamże, s. 268.

dyni z dobrem gotowaniem, obeznana z chowem drobiu i ogrodem potrzebna jest na probostwo Chomięza Szlachecka”³⁰.

Pomoc tylko katolikom

Jeśli bezrobotny zwraca się o pomoc do Caritasu, najpierw sprawdzają, czy jest dobrym katolikiem, czy chodzi do kościoła i do spowiedzi. Wtedy dostaje bony na chleb, karty na obiady, odzież. Maria Rataj, autorka wspomnień *Grzeszne miasto*, wspomina, że bony na żywność dostawali ci, którzy mieli kartki od spowiedzi. Nawet dla zbierania chrustu w pańskim lesie trzeba mieć zaświadczenie od księdza. Część poznaniaków wiesza na drzwiach tabliczki, że są członkami Caritasu. Oznacza to, że wpłacają składki na tę organizację, dlatego „żebrakom wstęp wzbroniony”.

Proboszcz Maliński apeluje o zbiórki odzieży dla biednych i potrzebujących. Zakłada szwalnię, która ma reperować, przerabiać znoszone ubrania i szyć. Przyjmie wszystko: odzież, buciki, trzewiki, pantofle.

Mali parafianie korespondują z proboszczem na łamach kościelnej gazetki. Rozwiązują szarady, łamigłówki. Ksiądz nagradza tych, którzy przyślą dobre rozwiązanie. Ale nie tylko prawidłowa odpowiedź się liczy — ważny jest też układ listu skierowany do księdza. Nazwiska zwycięzców są ogłaszane w gazecie.

„Znienawidzony”

Nie wszystkie interesy proboszcza szły dobrze. W Brzostowie, koło Miasteczka Krajeńskiego, w poniemieckim majątku Maliński

³⁰ „Wiadomości Kościelne parafii Matki Boskiej Bolesnej”, 24 kwietnia 1927, s. 4.

otworzył ośrodek wypoczynkowy dla dzieci, młodzieży i kleryków. Do pałacu na kolonie przyjeżdżała młodzież, ale także dostojni goście. Księżda odwiedzają kardynał Edmund Dalbor, wojewoda poznański Adolf Bniński i kardynał August Hlond. Dziękują mu za opiekę nad młodzieżą.

Proboszcz nie reguluje czynszu za dzierżawę. Brzostowo upada gospodarczo. Ksiądz, oskarżany przez wierzycieli, wycofuje się z życia społecznego i odchodzi na emeryturę. Z końcem 1927 roku składa rezygnację z łazarskiej parafii. „Wiadomości Kościelne MBB”, już pod nową redakcją, informują parafian o tym zdarzeniu jednym krótkim zdaniem. Księżda przed zarzutami bronią organizacje z Łazarza i Górczyna. „Wskazywano na jego bezinteresowność i zasługi, co podkreślił radny W. Berkan, prowadzący jego sprawy upadłościowe”³¹.

Ksiądz w kwietniu 1928 roku doznaje ataku paralizu. W Krajinie, zgodnie z miejscową legendą, mówiono, że nie mógł umrzeć, dopóki nie przekazał Brzostowa w dobre ręce. Z pomocą przychodzi jego przyjaciel Wacław Popiel. „Kiedy w końcu Popiel zgodził się przejąć Brzostowo za długi, ksiądz mógł umrzeć, a gdy konał, w Miasteczku dzwony same biły...”³²

Kazimierz Maliński umiera w lipcu 1928 roku. Pochowany zostaje na cmentarzu górczyńskim, który w roku 1911 utworzył i uroczyscie poświęcił.

„Wiadomości Kościelne MBB” informują, że: „podczas eksportacji zwłok X. Proboszcza Malińskiego zaginął płaszczyk dziecięcy,

³¹ Ks. *Kazimierz Maliński*, www.choryn.archpoznan.pl/index.php/ciekawe/53-ks-kazimierz-malinski [data dostępu: 29.09.2019].

³² *Brzostowo*, Miasteczko Krajeńskie — oficjalna strona gminy, http://www.mia-steczekokrajenskie.pl/asp/pl_start.asp?typ=14&menu=53&strona=1&sub=51 [data dostępu: 29.09.2019].

jasnopopielaty z podszewką jedwabno-niebieską. Uczciwy znalazca proszony jest o zwrot na probostwo lub do Władysława Szulca przy Łazarskiej 3 II piętro”³³.

Jan Brygier wspomina, że Kazimierz Maliński

*aż do Powstania Wielkopolskiego był bardzo lubiany i miał wielki mir wśród robotników. Lecz później jego reputacja mocno się popsuła. W moim życiu nie widziałem już drugiego księdza, który krótko przed śmiercią, podczas pogrzebu i po pogrzebie był tak znienawidzony jak on. Przed jego pogrzebem i po jego pogrzebie wielu robotników go przeklinało*³⁴.

Dodaje też, że „jest sprawą bardzo trudną wydać sprawiedliwy sąd o człowieku”³⁵.

Bibliografia

Alkohol, „Wiadomości Kościelne parafii Matki Boskiej Bolesnej”, 25 września 1927.

Barełkowska Irena, Karwat Janusz, *Górczyńska Nekropolia*, „Kronika Miasta Poznania”, nr 1: *Górczyn*, Poznań 2002.

Becela Tadeusz, *Lata górne i chmurne*, Poznań 1965.

Becela Tadeusz, *Niepotrzebni ludzie* [w:] *Pracy nam dajcie! Wspomnienia Wielkopolan z lat 1919–1939*, wybór i opracowanie Edmund Makowski, Poznań 1979.

³³ „Wiadomości Kościelne parafii Matki Boskiej Bolesnej”, 15 lipca 1928, s. 4.

³⁴ Jan Brygier, dz. cyt., s. 26.

³⁵ Tamże, s. 62.

Brat Stanisław Rybicki FSC, *Brat Założyciel*, http://mtrojnar.rzeszow.opoka.org.pl/swieci/stanislaw_kubiak/brat.htm [data dostępu: 29.09.2019].

Brzostowo, Miasteczko Krajeńskie — oficjalna strona gminy, http://www.miasteczekkrajenskie.pl/asp/pl_start.asp?typ=14&menu=53&strona=1&sub=51 [data dostępu: 29.09.2019]

Brygier Jan, *Tak było w moim życiu*, Poznań 1988.

Cieszyński Nikodem, *Mowa wygłoszona na nabożeństwie żałobnym za śp. Henryka Sienkiewicza* [w:] *Lud jako lew się podniesie, zbiór kazań i mów kościelno-narodowych* Poznań 1921.

Cieszyński Nikodem, *Mowa poświęcona pamięci Henryka Dąbrowskiego w setną rocznicę jego zgonu* [w:] *Lud jako lew się podniesie, zbiór kazań i mów kościelno-narodowych*, Poznań 1921.

Gospoda Wyzwolenie, „Orędownik”, 14 września 1910.

Jak traktują nas katolików w Poznaniu, „Przewodnik Katolicki” 27 lipca 1913.

J.E. kardynał Prymas Hlond wśród młodzieży w Brzostowie, „Dziennik Bydgoski”, 21 sierpnia 1927.

Kapczyńska Ruth, *Wacław Popiel herbu Sulima*, Druk Wspomnień, [b.m.w.] 2014.

Kolbuszewska Daina, *Postrzeleńcy z oddziału łazarskiego, Edward Stęślik* [w:] *Trzynastu Wspaniałych. Powstanie Wielkopolskie w życiu i losach powstańców i ich rodzin*, Poznań 2008.

„Kronika Miasta Poznania”, nr 3: *Wielka Wojna*, Poznań 2014.

Ks. Kazimierz Maliński, www.choryn.archpoznan.pl/index.php/ciekawe/53-ks-kazimierz-malinski [data dostępu: 29.09.2019].

Ludwiczak Stefan, *Pamiętnik bezrobotnego proletariusza* [w:] *Pracy nam dajcie! Wspomnienia Wielkopolan z lat 1919–1939*, wybór i opracowanie Edmund Makowski, Poznań 1979.

Majchrzak Józef, *W pogoni za chlebem* [w:] *Pracy nam dajcie! Wspomnienia Wielkopolan z lat 1919–1939*, wybór i opracowanie

cowanie Edmund Makowski, wspomnienie spisał Tadeusz Becela, Poznań 1979.

Matusik Przemysław, *Mater Dolorosa. Starania mieszkańców Łazarza o budowę kościoła i utworzenie parafii Matki Boskiej Bolesnej*, „Kronika Miasta Poznania”, nr 3: *Święty Łazarz*, Poznań 1998.

Matuszak Walenty, *Żołnierskie wspomnienia z dni powstania* [w:] *Wspomnienia powstańców wielkopolskich*, wyboru dokonali i wstępem opatrzyli Lesław Tokarski i Jerzy Ziolek, Poznań 1978.

Mowa poświęcona pamięci Dąbrowskiego, „Postęp”, 19 lipca 1918.

Niemcy a „rewolucja” w Poznaniu, „Kurjer Poznański”, 2 maja 1920.

Odmowna odpowiedź, „Orędownik”, 20 lipca 1913.

Pamiętajmy o ubogich, „Wiadomości Kościelne parafii Matki Boskiej Bolesnej”, 18 września 1927.

Parlamentarzyści, Maliński Kazimierz, https://bs.sejm.gov.pl/F?func=find-b&request=000000950&find_code=SYS&local_base=ARS10 [data dostępu: 29.09.2019].

Pogrzeb ofiar zająć w Poznaniu z 26 kwietnia 1920 roku, Doda-tek Nadzwyczajny do „Kurjera Poznańskiego”, nr 104/1920.

Prałat Emilian, *Miejsca i Sztuka. Kopaszewo*, Łódź 2015.

Rataj Maria, *Grzeszne miasto*, red. Teresa Groblewska, Alicja Lepiarz, Maria Szarf, Małgorzata Jańczak, Poznań 2007.

Ratajewska Barbara, *Polscy mieszkańcy powiatu wschowskiego w walce o zachowanie narodowej tożsamości w pierwszej połowie XX wieku*, Leszno 2018.

Rzepecki Tadeusz, *Sejm Rzeczypospolitej Polskiej 1919 roku*, Poznań 1920.

Sekretariat robotniczy w Dolsku, „Postęp”, 7 kwietnia 1907.

S.K. *Wizytacja Kresów zachodnich przez p. Wojewodę*, „Poradnik Gospodarski”, 22 lipca 1923.

Utrata Kazimierz, *Fragmenty wspomnień* [w:] *Pracy nam dajcie! Wspomnienia Wielkopolan z lat 1919–1939*, wybór i opracowanie Edmund Makowski, Poznań 1979.

Szypulski Ignacy, *Spóźniliśmy się do stołu* [w:] *Pracy nam dajcie! Wspomnienia Wielkopolan z lat 1919–1939*, wybór i opracowanie Edmund Makowski, wspomnienie spisał Tadeusz Becela, Poznań 1979.

Warkoczewska Magdalena, *Adoracja Najświętszego Serca Pana Jezusa. Mało znany obraz z kościoła Matki Boskiej Bolesnej*, „Kronika Miasta Poznania”, nr 3: *Święty Łazarz*, Poznań 1998.

Wiec protestujący w Gostyniu, „Orędownik”, 3 lipca 1906.

Wiec w Gostyniu, „Postęp”, 4 lipca 1906.

Wobec zająć wczorajszych, „Kurjer Poznański”, 28 kwietnia 1920.

Z dawnej prasy, Parafia Podwyższenia Krzyża Świętego w Miasteczku Krajeńskim, www.paraframiasteczko.net/viewpage.php?page_id=26 [data dostępu: 29.09.2019].

Zgromadzenie Braci Serca Jezusowego, *Myśli brata założyciela*, <https://zbsj.pl/o-zgromadzeniu/zalozyciel/mysli-brata-zalozyciela/> [data dostępu: 29.09.2019].

Złota księga parafjalna „Dziennik Kujawski”, 22.01.1919.

Z prowincji. Z Miasteczka, „Dziennik Bydgoski”, 28 sierpnia 1924, nr 194.



Marcel Woźniak

Biało-czerwona szachownica braci Kopów

➤ Ignacy Kopa wśród innych szachistów
Fotografia udostępniona przez autora reportażu

Powstaniec wielkopolski skończył, zamiatając podwórza. Jego brat, który pokonywał najlepszych szachistów świata, spoczywa w grobie anonimowo. Oto niezwykła historia Andrzeja i Ignacego Kopów.

Trzcielina leży pod Poznaniem, to wieś na przecięciu dróg ze Stęszewa do Dopiewa i z Konarzewa do Lasówek. Przy skrzyżowaniu wybudowano plac zabaw, obok stoi obelisk z napisem: „Pułkownikowi Wojska Polskiego, Andrzejowi Kopie 1879–1956, Wielkiemu Polakowi, Patriocie i społecznikowi — w hołdzie mieszkańcy Trzcielina”. Na kamieniu widnieje popiersie Kopy.

Właśnie wymieniany jest tu asfalt i pobocza są zastawione maszynami.

— Kopa? Coś kojarzę. Tam mieszkali. — Właścicielka jedyne sklepu we wsi wskazuje na dom po drugiej stronie ulicy. — Najwięcej powie pan Perz. Ma dziewięćdziesiąt lat.

Na podwórku dwa domy dalej jakaś kobieta próbuje złapać węsoło ujadającego kundla.

— Pana Perza z tyłu pan znajdzie. Pan czeka, bo pies za panem idzie, uwiążę go. No, już.

Budynek w głębi podwórza, konstrukcja z XIX wieku. W środku remont i głośne, rave’owe bity. Zachodzę od tyłu. Wybiega mały buldog.

— Perz? — powtarza za mną robotnik w drelichu. — Nie znam.

Na korytarzu w starym domu pukam do wszystkich drzwi po kolei. W końcu jedno z nich uchylają się ze zgrzytem. Ktoś ma problem z ich otwarciem — przez szczelinę widzę, że porusza się na wózku i nie może sięgnąć klamki. Pomagam mu i witam się, wchodząc do środka.

— Widziałem przez okno, że ktoś idzie! — mówi, ściskając mi mocno dłoń.

Kępka włosów na potylicy, jowialna twarz i szeroki, szczery uśmiech. Mieszkanie odnowione, jest duży telewizor.

— Tak źle na swój wiek nie wyglądam. W telewizji wyglądają gorzej, a młodszy ode mnie. Bo w telewizorze wszystko pokażą dokładnie.

Pan Perz jest najstarszym mieszkańcem wsi. Sprowadził się do Trzcielina w latach sześćdziesiątych i pracował w PGR-ze. Jak mówi, najlepsze sztuki bydła szły na eksport, a on sam codziennie musiał doglądać stu pięćdziesięciu krów i siedemdziesięciu byków.

— To dlatego prawa ręka do dziś boli. A lewej nogi od kolana w dół nie mam. — Tu odsłania protezę. Zza ściany dobiega głośne techno, ale mężczyzna ma problemy ze słuchem, więc mu nie przeszkadza. — Sześć lat temu, jak umarła żona, to przestałem pić. I wtedy niespodziewanie straciłem nogę. Ach, Kopa, no tak. Kuzynka go znała. Tu u góry dziecko Niemcowi rodziła, na strychu. A Kopy mieszkali przez płot. Legenda ten Andrzej. Nikt już tu nie pamięta, bo pomarli. A ja to teraz, proszę pana, ścigam się do setki!

W zabudowaniach po rodzinnym domu Kopów mieszkają trzy rodziny. Neoklasycystyczna rządcówka ma główne wejście z boku, od podwórza. Ganek zdobiony arkadami, nad nimi wisi ciężki taras. Tralkową balustradę przesłaniają suszące się dywany.

Krzyk dzieci w oknie. W budynku pachnie wilgocią. Ze schodów zbiega duży pies, po chwili zza balustrady wychyla się młoda kobieta.

— Z tym domem same problemy, już ośmiu właścicieli miał. Teraz jest trzech, na spółkę. Że tu Kopa mieszkał? Pytał ktoś kiedyś. Ilu tu ludzi mieszka w Trzcielinie? Tyle się teraz rodzi, że nikt nie policzy.

Dom jest w kiepskim stanie. Pies liże mnie po ręce. Żegnam się i wychodzę z podwórza.

Pachnie świeżo lanym asfaltem. Na rodzinnym domu pułkownika widnieje tabliczka: „Ulica Andrzeja Kopy”.

* * *

Dopiewo, pięć kilometrów dalej. Andrzej Kopa spogląda z maikiety, niczym Krzysztof Ibis. Tekturowy, pod wąsem, czarno-biały Kopa jest naturalnych rozmiarów. To pomysł dyrekcji, żeby dzieci mogły z nim sobie robić selfie. Tak jak żywa flaga, biało-czerwona szachownica uformowana przez uczniów w 2014 roku. Pobili nią wtedy rekord Guinnessa.

— Ta szachownica to symbol naszego lotnictwa — mówi doktor Eligiusz Tomkowiak.

Mieszka w Dopiewie. Za upamiętnienie historii Polski wojewoda odznaczył go niedawno Złotym Krzyżem Zasługi. Z zawodu jest lekarzem, zajmuje się holterami, sprawy sercowe.

— Namalowano ją na poszyciach samolotów zdobytych na Ławicy. Walczyli tam pod Kopą ludzie z okolic, dlatego to nasz bohater. Bohater, o którym prasa przypomina sobie tylko na okazję rocznic...

Chomęcice, siedem kilometrów dalej. Na budynku tamtejszego kółka rolniczego widnieje wielkich rozmiarów mural: wizerunki powstańców, jazda konna, lotnicy, wszystko wkomponowane w liczbę sto. W prawym dolnym rogu — Andrzej Kopa.

Cmentarz w Konarzewie, kilkaset metrów od tabliczki Trzcielina i dziewięćset metrów od miejscowej parafii. Grób rodzinny Kopów nie ma wyszczególnionych na płycie imion, ale przed kwaterą stoi tabliczka poświęcona Andrzejowi. Zrobił ją pan Tomkowiak.

— Ale Ignacego tu nie ma — mówi. — Niewiele o nim wiadomo.

* * *

Rok 1839. W Poznaniu z inicjatywy Karola Marcinkowskiego powstaje hotel Bazar. To tu tli się życie polityczne i kulturalne Polaków z zaboru pruskiego. Wybudowany na złość Niemcom Bazar zostaje siedzibą pierwszego polskiego klubu szachowego. Polacy wypowiadają Niemcom pojedynek i dochodzi do meczu Poznań — Berlin. Walka toczy się nietypowo, bo korespondencyjnie. Niemcy przysyłają spisane na kartce ruchy, poznaniacy otwierają list, nanoszą je na szachownicę, wykonują najlepsze posunięcie po swojej stronie, spisują je i wysyłają w liście zwrotnym. Tydzień w tydzień ruchy drukowane są w prasie — przez cały rok. W polskiej drużynie gra między innymi Jakub Krauthofer. Podczas Wiosny Ludów podstempluje dokumenty pieczęcią z orłem jagiellońskim i napisem „Polska Powstająca”¹. Polacy wygrywają z Niemcami 2:0.

W latach sześćdziesiątych XIX wieku szachiści grywają w cukierni Beely’ego przy Alejach Marcinkowskiego (wówczas ul. Wilhelmskiej). Za figury chwytają znani lekarze, adwokaci. Fanem jest nawet Karol Libelt, który pisze o królewskiej grze w opowiadaniu

¹ Zob. Andrzej Kwilecki, *Szachy w Poznaniu*, Poznań 1990.

Gra w szachy. W cukierni rezyduje też niejaki Zukertort, który nie przegrywa partii nawet, kiedy zawiąże mu się oczy. Kilka lat później stoczy pierwszy w historii mecz o szachowe mistrzostwo świata z Wilhelmem Steinitzem. Przegra.

Gdy Niemcy coraz bardziej zagarniają Wielkopolskę dla siebie, kluby szachowe też robią się bardziej niemieckie. Dlatego Polacy zakładają własny i już w 1912 roku zapraszają na pokazową symultane mistrza, Jacques'a Miesesa. W sali Concordii przy ulicy Wrocławskiej Francuz rozgrywa dwadzieścia cztery partie.

Przegrywa tylko jedną: z Ignacym Kopą.

* * *

Trzcielín, rok 1875. Na świat przychodzi Ignacy, pierworodny syn Michała i Eufrezyny Kopów, mieszkających w folwarku Niemca, Hansa Tiedemanna. Rok później pojawia się Maria, a w 1879 — Andrzej. Mają także drugą siostrę.

W Trzcielinie stoją trzy dworki. Historia wsi sięga średniowiecznego rodu Trzcielińskich. W XVI wieku podzielono ją na Trzcielín Szlachecki i Duchowny, potem wszystko poszło w ręce rodu Biskupskich.

Na ganku domu Kopów — tam gdzie dziś schną dywany — bracia Kopa często grywają w szachy. Ignacy ogrywa Andrzeja, bo uważniej studiuje szachowe podręczniki z domowej biblioteczki. Znalazły się tam dzięki ojcu.

Andrzej kończy poznańskie Gimnazjum Świętej Marii Magdaleny, potem terminuje w największych gospodarstwach w regionie. Chce być gotowy, kiedy przyjdzie do przejmowania folwarku po ojcu. Po powrocie w rodzinne strony przyłącza się do Koła Rolniczego w Chomęcicach, gdzie tak zwana praca organiczna polega na uświadamianiu rolników i rozwoju gospodarstw z powiatu. Z kolei w Towarzystwie Gimnastycznym „Sokół” zachęca zawodników do

działania i proaktywnej postawy. Rok 1902, Andrzej służy w Dolnośląskim Pułku Artylerii Ciężkiej numer 5 w Poznaniu. Nie ma wojskowego wykształcenia, ale zostaje kapralem, a potem sierżantem. Nazywany jest „genialnym samoukiem”. Gdy umiera ojciec, Andrzej przejmuje opiekę nad majątkiem, matką i dwiema chorymi na schizofrenię siostrami.

Lata 1901–1902. Trwa strajk uczniów w podpoznańskiej Wrześni. Dzieci nie zgadzają się na naukę i modlitwę po niemiecku ani na kary cielesne. Dwadzieścioro pięcioro z nich trafia do więzienia, a ich przywódca duchowy zostaje przeniesiony do parafii Konarzewo. To ksiądz Jan Laskowski. W nowym miejscu szybko dołącza do kółka rolniczego. Na zbiorowej fotografii jej członków z 1913 roku Laskowski i Andrzej Kopa siedzą obok siebie.

Ignacy studiuje inżynierię w Niemczech. W roku 1905 debiutuje jako szachowy gracz turniejowy w Barmen. Trzy lata później jest już prezesem Poznańskiego Klubu Szachistów i wygrywa partię z Miessem.

* * *

Choć możliwości wybuchu wojny nikt początkowo nie bierze na serio, wkrótce napięcie narasta. W 1914 roku Andrzej zostaje zmobilizowany przez Niemców i jako dowódca kolumny amunicyjnej przemierza front wschodni, a później Danię i Francję. Dezercja grozi śmiercią jego rodziny. Za swoją postawę zostaje odznaczony niemieckim Krzyżem Żelaznym I i II klasy. Nie wiadomo, do kogo Andrzej Kopa w trakcie służby strzela i ile osób zabija.

Czerwiec 1918 roku. Andrzej Kopa ląduje w poznańskim szpitalu, choruje na serce.

Pod koniec 1918 roku, 27 grudnia, wybucha powstanie wielkopolskie. Wygłoszone z okien hotelu Bazar przemówienie Ignacego

Paderewskiego poskutkowało, ale Niemcy jeszcze nie dowierzają, że w Poznaniu naprawdę wrze. Gdy Powiatowa Rada Ludowa wyznacza Andrzeja Kopę na komendanta w powiecie zachodniopoznańskim, ten sobie tylko znanym sposobem wykrada z komendy policji pruskiej w Poznaniu dwieście pięćdziesiąt karabinów oraz dwa i pół tysiąca sztuk amunicji. Ukrywa je w Dopiewie. Przydadzą się w walkach.

Powołani do służby mieszkańcy podążają za Kopą, ten dzieli ich na cztery kompanie. Służą w nich jego liczni wychowankowie z TG „Sokół” i mieszkańcy okolicznych wsi. Ksiądz Laskowski buduje ołtarz polowy, przy którym powstańcy składają przysięgę. Z tysiąca ochotników w bój wyrusza sześciuset.

Noc, 3 na 4 stycznia 1919 roku. Kopa z oddziałami dociera na oddalone o jedenaście kilometrów poznańskie lotnisko Ławica.

— Samoloty lada chwila mogą zbombardować miasto. Niemcy komunikują się z Magdeburgiem — mówi Kopa do głównodowodzącego Maciaszka. — Otwórzmy ogień!

— Nie weźmie pan lotniska siłą. Zajmiemy je ugodowo! — stopuje go Maciaszek.

Kopa idzie więc do dowódcy okręgu wojskowego, Mieczysława Palucha. Po burzliwej naradzie decydują, że jednak zaatakują. Kopa doskonale zna te tereny, szybko przygotowuje plan ataku i taktykę: na początek trzeba przeciąć kable elektryczne i telefoniczne.

Ranek 6 stycznia 1919 roku, godzina szósta piętnaście. Niemcy nie odpowiedzieli na propozycję kapitulacji. Powstańcy mają jedynie siedem pocisków w dwóch armatach. Malarz Leon Prauziński odmaluje to w przyszłości na znanym obrazie. Pośrodku płótna umieści dowódcę patrzącego przez lornetkę.

Po kilku nieskutecznych seriach z karabinów Niemców Polacy odpowiadają dwoma wystrzałami z broni ciężkiej, nasza artyleria trafia w wieżę kontroli lotów i koszary. Niemcy są zdezorientowani, ich obrona cichnie. Nie wiedzą, że Polacy wystrzelali w sumie cztery

pociski, a zostały im jedynie trzy. Są przekonani, że czeka ich zmasowany atak polskiej artylerii. Poddają się.

Powstańcy zatykają na wieży kontrolnej polską flagę. Niemiecki sprzęt lotniczy pomalowany zostanie wkrótce w biało-czerwoną szachownicę i stanie się załącznikiem polskiego lotnictwa. Samoloty z Ławicy to największy łup wojenny w historii Rzeczypospolitej.

* * *

Kopa dostaje awans na kapitana i Krzyż Srebrny Orderu Virtuti Militari. Coraz gorzej u niego z sercem. Gdy dowiaduje się o tym Piłsudski, specjalnie zmienia trasę przejazdu podczas rocznicowej wizyty w Poznaniu. Odwiedza Andrzeja Kopę w Trzcielinie jesienią 1919 roku i w dowód uznania zasług kapitana osobiście udziela mu urlopu zdrowotnego.

Niemcy uciekają z Wielkopolski i korzystając ze sprzyjającego czasu, Kopa nareszcie przejmuje ponemiecki majątek po Tiedemanie. Dom w końcu należy do Kopów.

Nie jest mu jednak dane długo zarządzać gospodarstwem. Tym razem to Piłsudski zwraca się z prośbą, na którą Andrzej przystaje: ma wyjechać na wschodni front i dowodzić podczas wojny z bolszewikami.

Czerwiec 1920 roku. Kopa zostaje awansowany do stopnia podpułkownika.

Październik 1920 roku. Dostaje nominację na pułkownika.

Koniec roku 1920. Minister spraw wojskowych otrzymuje list od Ignacego Kopy. Mężczyzna zarządza gospodarstwem w Trzcielinie, opiekując się matką Eufrezyną oraz siostrami, ale pod nieobecność Andrzeja majątek podupada. Ignacy wnioskuje o zwolnienie brata ze służby, by ten mógł zająć się domostwem. Andrzej wraca wkrótce do Trzcielina, ale sprawa jego odejścia z armii jest niejasna. Jedna z wer-

sji mówi, że jako „genialny samouk ze wsi” i żołnierz bez wykształcenia wojskowego w wyższych kręgach wzbudzał zazdrość, mimo że jego zasługi docenił sam marszałek. Sprawą zajęła się prokuratura, gdyż Andrzej podejrzany był o dezercję.

* * *

Lata dwudzieste XX wieku. Ignacy mieszka w Poznaniu. W firmie Pankalla & Kranz zajmuje się pracami inżynieryjnymi, z powodu obowiązków nie grywa w szachy regularnie.

Rok 1926. Rywalizacja o czempionat Poznania. Ignacy w wieku pięćdziesięciu dwóch lat zdobywa czternaście punktów w piętnastu (!) partiach, nie ponosząc ani jednej porażki (trzynaście razy zwycięża, dwa razy remisuje).

Lokalna prasa nazywa Ignacego chlubą Wielkopolski, a periodyki szachowe odnotowują, że o ile szachiści z Poznania grają w pośpiechu i bez znajomości teorii, o tyle mistrz Kopa gra solidnie i najczęściej między dwudziestym a trzydziestym ruchem ma przeciwników w garści.

Rok 1929. Prasa donosi o śmierci ostatniego z powstańców roku 1848, tymczasem poznańscy szachiści zbroją się przed pierwszymi w historii Drużynowymi Mistrzostwami Polski w Szachach. Ignacy bierze udział w tych zawodach, ich patronem jest marszałek Piłsudski. Mecze odbywają się w pięknej sali teatralnej hotelu Hrabia Reden w Królewskiej Hucie.

— Powinno się stworzyć grób nieznanego szachisty! — żartuje na pożegnalnym bankiecie prezes Polskiego Związku Szachowego. — Byłoby to miejsce pielgrzymek wszystkich sfrustrowanych kibiców. Gdyby którykolwiek z fanów znów przeszkadzał zawodnikom, można byłoby spławić go słowami: „Idź pan na grób nieznanego szachisty!”.

Sala nagradza pomysł śmiechem i oklaskami, szachiści otrzymują na pamiątkę po statuetce górnika wykutego w węglu. Nie śmieje się tylko drużyna z Poznania — zajmują ostatnie miejsce, a Ignacy uzyskuje ledwie jeden punkt.

Przedstawicielami dwóch pokoleń wielkopolskich szachów są mistrz Ignacy Kopa oraz uczeń Antoni Wojciechowski. Różnica lat między nimi to ponad ćwierć wieku. Rzecz w tym, że Kopa dwukrotnie zdobył mistrzowski tytuł, kiedy w turnieju grał Wojciechowski, a Wojciechowski zdobył czempionat w latach 1928 i 1929, kiedy Kopy na liście zawodników nie było. Młody wyzywa starszego mistrza na pojedynek, by ostatecznie się przekonać, kto jest lepszy.

Pojedynek zaplanowany zostaje na sześć partii.

Meczem Kopy z Wojciechowskim żyje w kwietniu 1929 roku cały Poznań. Mimo niedyspozycji po turnieju w Królewskiej Hucie Ignacy prowadzi trzema i pół punktem do pół punktu! Zapowiada się nokaut...

Jest sobota, czwarty dzień pojedynku, kiedy o godzinie dwudziestej piętnaście Ignacy dostaje udaru serca.

Umiera.

Pojedynek szachowy pozostaje nierozstrzygnięty, za to wynik partii Ignacego ze śmiercią — jednoznaczny.

Z nekrologu:

20 kwietnia [1929 roku] o godzinie 8 po południu zasnął w Panu nasz kochany brat, Ignacy Kopa. Pogrzeb odbędzie się we wtorek, dnia 23 kwietnia o godz. 9 w domu żałoby w Trzcielinie, o czym donosi w imieniu rodzeństwa, w smutku pogrążony brat Andrzej Kopa. Powózki będą na dworcu w Dopiewie w dniu pogrzebu na godzinę 8.20 rano².

² „Kurjer Poznański” nr 187, 22 kwietnia 1929, s. 10.

Antoni Wojciechowski w 1936 roku z polską reprezentacją szachową zdobył srebrny medal na szachowej olimpiadzie w Monachium. W dorobku będzie miał zwycięstwa nawet nad Akibą Rubinsteinem. W roku 1938, w wieku ledwie trzydziestu trzech lat, umrze na zapalenie płuc.

* * *

Od śmierci matki w 1923 roku Andrzej Kopa opiekuje się w Trzcielinie dwiema siostrami. Ich usposobienie ma być jednym z powodów niechęci Andrzeja do założenia własnej rodziny.

Rok 1928. Andrzej jeździ po okolicznych wioskach i tworzy spis podległych mu w 1919 roku powstańców. W dziesiątą rocznicę powstania wielkopolskiego wydaje z własnych pieniędzy wspomnienia, w których nie pomija nazwiska żadnego z pół tysiąca żołnierzy! Badacze podkreślą po latach, że Kopa rozwój wypadków przedstawił w tekście rzeczowo i chronologicznie, unikając zbędnych wtrętów³.

* * *

Trwa II wojna światowa. 17 października 1939 roku pod plebanie księdza Laskowskiego podjeżdża gestapo.

Tego samego dnia duchowny zostaje znaleziony martwy. Za wspieranie dzieci we Wrześni i powstańców wielkopolskich z okolicy płaci po latach najwyższą cenę. Niemcy pamiętają długo. W księdze zgonów innym pismem zostanie odnotowane: „Jan Dąbrowa La-

³ Zob. Andrzej Kopa, *Udział powiatu zachodnio-poznańskiego w Powstaniu Wielkopolskim r. 1918/19*, Poznań 1929.

skowski, syn Józefa Laskowskiego i Julii Wilhelmi, zmarł na udar serca. Godzina zgonu: 14:20”⁴.

Andrzej Kopa mieszka trzy kilometry dalej. Pod jego domem zjawia się gestapowiec nazwiskiem Kuntz.

— Za trzy dni mają do ciebie przyjść i wykonać wyrok śmierci. Ostrzegam cię tylko dlatego, że podczas pierwszej wojny byliśmy oficerami tego samego pułku. Masz trzy dni.

Andrzej wie, że do Wielkopolan Niemcy pałają szczególną nienawiścią. Bo wciąż trudno im się pogodzić z tamtą porażką, a do tych ziem mają szczególne roszczenia.

Druga z siostr zmarła w niewyjaśnionych okolicznościach i Andrzej ma pod opieką tylko Marię. Przeżyją wojnę, ukrywając się w Generalnej Guberni.

W 1945 roku wracają do Trzcielina. To drugi powrót do domu po wojnie i drugi raz, kiedy Niemcy znów uciekli. W Trzcielinie Kopowie nie zastają jednak zbyt wielu starych sąsiadów — wojna nie oszczędza nikogo. Jest za to nowa władza, która wkrótce przemienia lokalne folwarki w Państwowe Gospodarstwa Rolne. Najlepsze było z Trzcielina przez kolejne dekady będzie szło na eksport.

Jako zasłużony powstaniec Andrzej na krótko powołany zostaje do Powiatowej Rady Narodowej w Poznaniu. Ktoś jednak doszukuje się w jego życiorysie aktywności na froncie wschodnim w 1920 roku. Tej, do której namówił go Piłsudski i za którą zapłacił zakończeniem wojskowej kariery.

Dostaje posadę kierownika gospodarstwa rolnego w Głuszynie Leśnej. Niespodziewanie pomoc oferuje mu były podkomendny Władek Szczerbowski, skromny chłop, który w 1919 stracił jedną nogę. Oddaje Andrzejowi i Marii dwa pokoje, a sam zamieszkuje w trzecim.

⁴ Księga zgonów parafii Konarzewo z roku 1929 dostępna jest w Archiwum Archidiecezjalnym w Poznaniu.

Maria Kopa umiera w 1947 roku. Andrzej jest teraz ostatnim żyjącym spośród czwórki dzieci Michała i Eufrezyny Kopów. Rodziny nie założył i nigdy już nie założy. Mimo to jest ciepło wspominany przez kobiety ze wsi, między innymi przez kuzynkę pana Stanisława Perza. Podobno nie narzeka na swój los, nawet kiedy zostaje zdegradowany do roli podrzędnego robotnika i zamiata podwórza. Dla takich jak on, weteranów wojny polsko-bolszewickiej i gorliwych patriotów, w społeczeństwie ludowym nie ma miejsca.

Rok 1956. W komunistycznej Polsce zaczyna wrzeć, a najszybciej w Poznaniu. Znowu Wielkopolska chce się przeciwstawiać. Wypadków poznańskich Andrzej nie doczeka. Umiera 11 czerwca 1956 roku. Choć od zawsze miał problemy z sercem, to Ignacy zmarł na nie przed nim. Andrzej przeżywa brata o dwadzieścia siedem lat — o tyle samo młodszy od Ignacego był mistrz Wojciechowski.

* * *

XXI wiek. Obaj bracia Kopowie zapisali się w historii Wielkopolski z okresu zaborów i obaj przyczynili się do rozkwitu różnych idei. Kwerenda poczyniona w Archiwum Archidiecezjalnym w Poznaniu daje jednoznaczną odpowiedź: Ignacy spoczywa w tym samym rodzinnym grobie co Andrzej, siostry i rodzice. Dwa kilometry i trzy-sta metrów od rodzinnego domu. Naprzeciwko mogiłę ma ksiądz Laskowski.

Nie ma jednak na grobie Kopów żadnej informacji o Ignacym. Żart stał się zatem przepowiednią: jest to grób nieznanego szachisty. Wizerunek Andrzeja Kopy reprodukowany jest na malowidłach, tekturowych stendach, jego fotografia widnieje na obelisku oraz przy rodzinnej mogile. Ignacy Kopa na całe dekady pozostał bez oznaczonego miejsca pochówku, bez fotografii, bez pamięci.

Historia Ignacego wciąż nie jest napisana na końca. Brakuje w niej puenty i kropki, dlatego jeszcze raz przyglądam się zgromadzonym materiałom.

Zatrzymuję się na dwóch najważniejszych wydarzeniach w karierze Ignacego: turnieju z 1905 roku i pierwszych w kraju drużynowych mistrzostwach Polski z 1929 roku. Wysyłam zapytania o zdjęcia z tego turnieju. Gdy kończę pisać reportaż, skarbnik Śląskiego Związku Szachowego obiecuje, że poszuka w archiwach fotografii. Związkowcy są w trakcie przeprowadzki i jest szansa przejrzeć zbiory. Materiałów o Ignacym nie posiada także ani Polski Związek Szachowy, ani Wielkopolski. Ignacy Kopa nie ma twarzy.

Poszukiwania informacji na temat turnieju w Barmen w 1905 roku prowadzą do artykułu w zagranicznym serwisie szachowym. Jak się okazuje, imprezę nazwano Międzynarodowym Kongresem Szachowym i było to ważne wydarzenie, jak wynika z tekstu. Z diagramów i tabel turniejowych płynie niezbity wniosek, że Ignacy Kopa, rolnik z Trzcielina, rozgrywa w 1905 roku najlepszy turniej w karierze i uciera nosa zawodnikom, których nazwiska figurują dziś w encyklopediach szachowych. Nieznany Polak odnosi sensacyjne zwycięstwa nad Aronem Nimzowitschem i Rudolfem Spielmannem, czołowymi szachistami świata. Jak jego kariera mogłaby się potoczyć z odpowiednim zapleczem finansowym? Czy mógłby dościsnąć mistrzów? A może grać objazdowe partie jak Mieses i walczyć o mistrzostwo świata jak Zukertort?

Poprzez dziesiątki szachowych stron internetowych trafiam w końcu na link do serwisu zakupowego eBay. Za dwieście dwadzieścia dolarów można kupić księgę turniejową z Barmen, obfitych rozmiarów almanach pełen zdjęć. Na jednej ze stron widnieje fotografia zbiorowa z oznaczonymi numerami twarzami szachistów. Wielka sala balowa, setka mężczyzn w eleganckich ubraniach, każdy patrzy w kierunku fotografa. Numer 84 to odwrócony w stronę

obiektywu Ignacy Kopa. Fotograf wykonuje to zdjęcie w momencie największego życiowego sukcesu Ignacego. Ignacy nie wie, że chwilę po naciśnięciu migawki pamięć o nim zginie na blisko sto lat.

Bibliografia

Der Internationale Schach-Kongress des Barmen Schach Vereins,
<https://www.ebay.com/itm/Barmen-1905-International-Chess-Congress-1st-Edition-HC-/312026829028> [data dostępu: 1.10.2019].

Kopa Andrzej, *Udział powiatu zachodnio-poznańskiego w Powstaniu Wielkopolskim r. 1918/19*, Poznań 1929.

„Kurjer Poznański” nr 187, 22 kwietnia 1929.

Kwilecki Andrzej, *Szachy w Poznaniu*, Poznań 1990.



Maria Sobczak
Nowe siłaczki

- Grono pedagogiczne Prywatnego Gimnazjum i Liceum
pod wezwaniem Najświętszego Serca Jezusa
Ze zbiorów Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk

Żeromski, pisząc *Siłaczkę*, nie przypuszczał, jak lektura wpłynie na życie wielu uczennic. Na krótkim utworze wychowało się nowe pokolenie siłaczek. Siłaczki nowej generacji, dokładnie jak sto lat wcześniej bohaterka Żeromskiego, Stasia Bozowska, zmieniają swoje życie, by dzielić się z innymi czasem, wiedzą, pasją. To kobiety, które otwierają umysły młodych ludzi. Pracowite, zaangażowane. Ciągłe poszukujące.

Boże igrzysko na Ziemi

Od początku wakacji Barbara znowu robi porządki w zdjęciach, papierach, sprawdzianach i zeszytach. Wciąż zadaje sobie pytanie, czy te szpargały będą jeszcze potrzebne. Nie wie, czy ktoś wyda wiersze i opowiadania jej córki. Po dziesięciu latach nadal wszystkiego nie przejrzała. Tyle tego jest, a nie zawsze ma nastrój. Trafia na wiersz. Ten opublikowany.

*[...] A jeśli obudzę się
— o, Panie w Niebiosach —
Ja, stworzenie boże*

*Nie boże igrzysko na Ziemi
Przekażę nadzieję innym.*

Manuella była urodzoną nauczycielką. W przedszkolu uwielbiała bawić się w szkołę. Już wtedy chciała uczyć. Pierwszy sukces pedagogiczny zaliczyła w wieku dziesięciu lat, gdy nauczyła czytać pięcioletnią kuzynkę. Po liceum mogła iść na filologię polską, romanistykę lub inne studia humanistyczne, ale pociągało ją też wszystko, co egzotyczne. Tak bardzo, że na studniówkę zaprosiła studenta z Syrii. Orientalistyka była jednak tylko w Krakowie, a tam nie chciała jechać. Wybrała filologię rosyjską. Babcia, która nie знаła rosyjskiego, lubiła jego melodię. Była jeszcze Zinaida, nauczycielka, która w Liceum imienia Generała Józefa Wybickiego potrafiła zarazić uczniów pasją do języka, przyjmowanego niechętnie. No i mama, która powtarzała, że nauczyciele rosyjskiego zawsze będą potrzebni. Bo „język wroga trzeba znać”.

Pod koniec lat siedemdziesiątych studia w Związku Radzieckim to było coś. Uniwersytet Łomonosowa słynął z wysokiego poziomu. A Moskwa jawiła się jako bogate miasto, z dobrze zaopatrzonymi sklepami, pełna teatrów, z licznymi muzeami, kulturą przez duże K. W klasie maturalnej Manuella pojechała na Uniwersytet Wrocławski zdawać egzamin. Konkurencja ogromna, trzydzieści osób na jedno miejsce. Poziom wysoki, ale dla niej, laureatki olimpiad językowych, nie stanowiło to problemu. Do dyrekcji liceum przysłano oficjalne powiadomienie, że uczennica zakwalifikowała się na studia na wydział polityczny, kierunek marksizm-leninizm. Trzeba było dyplomacji, sprytu i trochę szczęścia, by się z tego wypłatać i móc studiować w kraju.

Wybrała Poznań. Bliżej domu oznaczało taniej. Jeszcze raz zdała egzamin. Nie chciała przywilejów, a co ważniejsze, rekomendacji od tamtej komisji. Lubiła się uczyć. Czytała w oryginale Dostojewskiego, Turgieniewa, Puszkina, Achmatową. Słuchała płyt Wysockiego

i innych rosyjskich wykonawców. Młodszy brat śmiał się, że zrusyfikowała dom. Jej ulubionym miejscem w Poznaniu była księgarnia Družba na Ratajczaka. Odwiedzała też znajdujące się na pięterku nad księgarnią kino. Radzieckie książki były piękne: kolorowe, drukowane na dobrym kredowym papierze. Bajki, powieści, albumy, książki z płytami pocztówkowymi. W zwykłych księgarniach takich brakowało. W PRL-u po książki, jak po wszystko z wyjątkiem octu, wystawało się w kolejce. I nie wszystkich było na nie stać. Te pisane cyrylicą były jednak tanie.

Po dwóch latach studiowania marzenie miało się spełnić. Dzięki współpracy pomiędzy uczelniami zaproponowano jej wyjazd do Moskwy. Tam naukę na uniwersytetach rozpoczynano o miesiąc wcześniej, już we wrześniu. W Polsce trwał najdłuższy sierpień, nazywany Sierpniem '80. Władze radzieckie bały się studentów z Zachodu. Wprowadziły zakaz przyjeżdżania do Polski w trakcie roku akademickiego, a przed wyjazdem każdy student otrzymał instrukcję postępowania. Obowiązywał zakaz wwożenia jakichkolwiek ulotek czy gazetek. Studentom nie wolno było rozmawiać o sytuacji politycznej. Mieli się tylko uczyć. Na wszelki wypadek zabroniono też wyjazdów do domu. Dla Manuelli nie stanowiło to przeszkody. Ciotka wysłała telegram, że dziewczyna na ślubie kuzynki będzie świadkiem, i dostała przepustkę. Przyjechała z prezentami. Sylwestra spędziła jednak już w Moskwie.

Moskwa była mroźna, ale przyjazna, a międzynarodowy akademik — luksusowy. Manuella miała nadzieję, że spotka wreszcie Wasyla, z którym od czasów liceum korespondowała po rosyjsku. Adres dostała na lekcji. W każdej polskiej szkole nauczyciele rozdawali koperty z adresami młodzieży z ZSRR czy NRD, a przyjaźń polsko-niemiecko-radziecka kwitła. Wasyl nie znał języka polskiego. Przysłał jej kiedyś zaproszenie na Krym. Chciała jechać, ale zachorowała. Ona też go zaprosiła do siebie, ale i to spotkanie nie doszło do

skutku. Wreszcie umówili się w Moskwie, ale pobyt został skrócony, bo w Polsce działała Solidarność. Z planowanego rocznego pobytu pozostało tylko pół roku.

Po skończeniu studiów Manuella zamarzyła o pracy w wiejskiej szkole.

— Szukam jakiejs pracy na wsi. Wiejskie dzieci są ciekawsze świata — powiedziała kiedyś do matki.

Pierwszą podyplomówkę robiła w radzieckim Orle, trzystutysięcznym mieście na zachodzie Związku Radzieckiego — pół roku intensywnej nauki języka i kultury w towarzystwie nauczycieli rosyjskiego z różnych krajów Demokracji Ludowej.

Potem jeszcze tylko raz była w ZSRR. Pociągiem przyjaźni. Razem z nią po Kraju Rad przez miesiąc specjalnym pociągiem podróżowali historycy, fizycy, matematycy. Taka nagroda za wyniki nauczania, osiągnięcia w pracy, zaangażowanie.

Po powrocie pracowała coraz więcej. Matka powtarza jej: „Nie bądź taką siłaczką”. Odpowiadała jej zwykle: „Wiem, ile mogę”. I pracowała jeszcze więcej, prawie na dwa etaty, łącząc pracę w szkole podstawowej z popołudniowym nauczaniem w szkole rolniczej dla dorosłych. W biegu pomiędzy szkołami zjadała obiad przyniesiony przez matkę. Kuzynki śmiały się, że mama nie tylko jej gotuje, ale nawet pierze bieliznę. W domu bywała późnym wieczorem, najczęściej już po dziewiątej. W soboty trochę wcześniej. Wolny czas poświęcała na zajęcia pozalekcyjne. Prowadziła szkolne koło Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, zajęcia wyrównawcze, przygotowywała dzieciaki do konkursów. Realizowała z uczniami przedstawienia, do których sama pisała scenariusze i które sama też reżyserowała, szyła zaprojektowane przez siebie stroje.

Po dziesięciu latach pracy mogła sobie pozwolić na remont pokoju w mieszkaniu babci i raz w roku na tygodniowy pobyt w górach. Myślała o własnym kącie. Zarobione pieniądze lokowała w Ban-

ku Spółdzielczym w Śremie, który był bezpośrednim spadkobiercą pierwszego Banku Ludowego założonego przez organicznika, księdza Piotra Wawrzyniaka. Banku, który jako pierwszy w powojennym okresie ogłosił upadłość.

Po 1989 roku na rusycystów patrzono wilkiem. Rodzice chcieli, by ich dzieci uczyły się angielskiego lub niemieckiego. Znienawidzony rosyjski musiał jak najprędzej zniknąć. Manuella stała się ofiarą zmiany ustrojowej. Uczyła jeszcze rosyjskiego, ale to nie było dobrze przyjmowane. Kto mógł, odszedł na emeryturę. Młodszy usiłowali się gdzieś zahaczyć. Udało się nielicznym, bo pojawiło się dotąd nieznanne bezrobocie. Inni decydowali się na nowy kierunek. Bez perspektyw i bez oszczędności Manuella stanęła przed koniecznością zmiany nauczanego przedmiotu. Informacje o podyplomówkach były poszukiwane. Nie było internetu, a o wielu propozycjach i ofertach nauczyciele dowiadawali się przypadkiem. Te tańsze i krótsze studia oferowały zbyt mało miejsc. Poza tym nie każdy otrzymywał wymaganą zgodę dyrekcji szkoły na kolejne studia. Manuella zdobyła uprawnienia nauczyciela świetlicy. Przydały się dodatkowe umiejętności szycia, haftowania, gry na pianinie. W końcu, mimo ceny i czasu, jaki trzeba było poświęcić, zapisała się na trzyletnie zaoczne studia języka polskiego. Mogła po nich nauczać we wszystkich typach szkół. Uczyła więc w szkole podstawowej języka polskiego, a w szkole wieczorowej — rosyjskiego. Ale i to było mało, więc zaczęła się intensywnie uczyć niemieckiego. Pamiętała z dzieciństwa, jak dziadkowie rozmawiali między sobą w tym języku. Oboje chodzili do niemieckich szkół i tego języka używali, gdy nie chcieli, by dzieci i wnuki rozumiały, o czym mówią. Znów korzystała z płyt, kaset odtwarzanych na pamiętającym PRL magnetofonie marki Kapral. Oglądała telewizję satelitarną, która była już dostępna, choć potwornie droga. Znowu kupowała podręczniki. Nowością były kursy korespondencyjne ESKK.

Gdy wchodziło się do jej pokoju, słysząc było język niemiecki albo ciężki rock, który lubiła. Zdobyła w końcu certyfikat uprawniający do nauki niemieckiego. Na początek prowadziła zastępstwa. Uczniowie, którzy chodzili na jej lekcje z rosyjskiego, niemieckiego i polskiego, mówili: „K..., ta to ma łeb!”.

Po trzydziestu latach pracy wszystko się zawaliło. Zdrowie nie wytrzymało tak intensywnego życia. Akurat w chwili gdy skończyła kolejną podyplomówkę, z metodyki nauczania języka niemieckiego. Nie była w stanie sama dojeżdżać do szkoły autobusem. Brakowało jej siły, a na emeryturę było zbyt wcześnie. Mimo to wciąż pracowała. Odeszła nagle, po ciężkiej chorobie, pozostawiając po sobie sterty papierów, dokumentów, scenariuszy lekcji, listów, rękopisów i zapisków w komputerze. Zostawiła poezję, krótkie i dłuższe opowiadania. Niektóre z dopiskiem: „Babuni się podobało”.

Zmienia życie, otwiera umysły

Wyruszyła jak zwykle w nocy. Kupno biletów nie było łatwą sprawą. Drogie, a pieniędzy z projektu niewiele. Zastanawiała się, czy z okazji osiemdziesiątej rocznicy wybuchu wojny na lotnisku będzie tłum zagranicznych delegacji. Nie było. W samolocie prawie same kobiety, babcie i mamy z dziećmi wracającymi do szkoły w Wielkiej Brytanii. Te młodsze zasnęły zaraz po starcie. Całe szczęście, bo pułkały w siedzenia pasażerów z przodu, z boku i z tyłu.

„Hello, my friends 😊” — przed szóstą rano, jeszcze na lotnisku, napisała wiadomość na szkolnym facebookowym profilu — „podczas gdy wy śłodko śpicie, uroczą grupą naszych stażystów leci do Plymouth, UK 🇬🇧🇬🇧🇬🇧🇬, gdzie w ramach projektu PO WER ODBYWA już po raz 7!!!!!! 3 tygodniowe zagraniczne praktyki zawodowe 🤖”.

Odprawieni i zadowoleni pozdrawiamy z lotniska w Gdańsku całą społeczność ZSBiKZ, a w szczególności panie koordynatorki”.

Jeszcze tego samego dnia z lotniska w Londynie grupa dojeżdża do Plymouth. Wieczorem spacerem wybierają się do The Hoe, parku na klifie z latarnią morską, pomnikiem sir Francisa Drake’a i wojennymi miejscami pamięci. Zdjęcia trafiają za pośrednictwem Facebooka do poprzednich grup. W odpowiedzi dzieciaki życzą udanego pobytu i wielu doświadczeń. Piszą, że zazdroszczą. Chciałyby tam wrócić.

Kiedy cała grupa stażystów bezpiecznie ląduje w łóżkach, Ewa wysyła informacje koordynatorce projektu. W Polsce jest piętnaście minut do północy. W Wielkiej Brytanii o godzinę wcześniej, jednak to i tak dość późno. Podróż zaczęli niemal przed dwudziestoma czterema godzinami.

Pierwszy dzień na zagranicznych praktykach zawodowych jest stresujący dla dzieci. Na początek nastawiają się na komunikację. Oczywiście wszystko po angielsku. Koordynatorka już wie, że dzieciaki były szczęśliwe, bo udało im się skomunikować z rodziną, i takie dumne, że poradziły sobie w pracy. Ewa wysyła długą wiadomość:

Fajnie spędzamy czas. Kocham tę pracę. Jestem trochę zdenerwowana, ale mamy fajne dzieci. Tak miło było, że niektóre po tej długiej podróży jechały godzinę, żeby się z nami spotkać. Grupa już jest zgrana. Wszystko jest cudownie, chociaż trzy tygodnie pobytu w Wielkiej Brytanii z młodzieżą to jest stres. A Bartuś już dzwonił i pyta, czy to wypada, czy warto, czy można, i martwi się, czy wszyscy dojechali do Hostów. Oczywiście, że tak. Dziewczynki niepełnoletnie już o dziesiątej były w łóżkach w host domu. Poznałam rodziny. Jedna wyklócała się o chłopców. Wszyscy bardzo mili ludzie. Szkoda, że nie możemy tu przyjechać w czasie wakacji. Innym klasom przepadają lekcje.

Po chwili otrzymuje odpowiedź.

Śpij dobrze. Jutro czeka was fajny dzień.

Każda rozmowa z koordynatorem kończy się podobnie — podziękowaniem. Koordynatorka zna rozterki opiekunek i bolączki młodzieży. Wie, że w czasie wyjazdu nauczyciel jest dla uczniów wsparciem, bywa pielęgniarką, kiedy indziej wymagającym mentorem, który robi wszystko, by dzieciaki nie czuły się osamotnione. I musi dbać o ich dobre samopoczucie. Czasem tylko zastanawia się, jak wytłumaczyć innym, dlaczego po powrocie Ewa jest opalona, jakby wracała z wakacji na Majorce.

Zmęczenie daje się we znaki, ale Ewa musi jeszcze sprawdzić pogodę na przyszły weekend, bo chce zabrać dzieciaki na wycieczkę. Relację jak zawsze zamieści na Instagramie. Tam też umieszcza informacje z grupy, która pojechała do Niemiec. Dzisiaj byli w Dreźnie. Jeszcze wiadomość do dyrektora, że grupa szczęśliwie dojechała, potem pozdrowienia dla opiekunek poprzednich wyjazdów i kierownika praktyk. I dla męża, który jest ostatni na liście z wiadomościami. Na koniec wrzuca post na szkolny profil Facebooka z relacją z imprezy z poprzedniego dnia. Nie zdążyła tego zrobić przed wyjazdem. Tak kończy się pierwszy dzień wyjazdu z grupą młodzieży do Plymouth. Dzień, w którym z belfra zza biurka staje się matką, ojcem, przyjacielem, tłumaczem, spowiednikiem i przewodnikiem.

Ewa była cenioną romanistką, nauczycielem dyplomowanym języka francuskiego. Moda na francuski minęła, przeważyły ekonomia i realizm. Zmuszona zwiększonym zapotrzebowaniem na angielski i chęcią pozostania w zawodzie, Ewa poszła na filologię angielską. Trzy lata licencjatu i dwa magisterki. Razem z pierwszymi pięcioletnimi studiami, liceum i podstawówką to łącznie dwadzieścia dwa lata nauki. Po to, by uczyć w szkole. A na tym zapewne nie koniec.

Wciąż trzeba się edukować, kończyć kursy i uzupełniać wykształcenie. Ewa korzysta z każdej możliwości. Wyjazd z młodzieżą w ramach projektów finansowanych z funduszy unijnych jest okazją do rozwoju nie tylko dla uczniów, ale i dla niej. Zawsze chętnie porozmawia z Brytyjczykami o polityce, o brexicie albo o Cromwellu. To wspaniały sposób na szlifowanie języka, a do tego można pokazać młodzieży inne życie, piękno Europy, kraj, ludzi, kulturę. I to bezcenne doświadczenie zawodowe, które zdobywają. W tym roku szkolnym planuje trzy takie wyjazdy.

Ta praca mnie kręci

Teresa pracowała jako pielęgniarka na bloku operacyjnym, gdy jej mąż otrzymał w spadku po chrzestnym dom. Właściwie ruinę do remontu. Jeden kran z zimną wodą, brak centralnego ogrzewania i gazu. Ale w tamtych czasach własny kąt był bezcennym skarbem. Mieszkali wtedy w małej klitce we Włocławku. Decyzję o przeprowadzce podjęli bez wahania. Teresa porzuciła pracę, którą kochała. Na pielęgniarstwo poszła w ślady starszej siostry, choć ta odradzała. Mówiła, że to trudny zawód. Ale Teresa lubiła wyzwania. Jeszcze w szkole opiekowała się potrzebującymi w szpitalu. Tak ją to wciągnęło, że po dyżurze na bloku zwykle szła na ulubiony oddział wewnętrzny i pomagała chorym, udzielała im pomocy, wsparcia, informacji.

Do Wielkopolski przekonywała się bardzo wolno. Wciąż nie była u siebie. Przez kolejne dziesięć lat mówiła: „U nas w Płońsku to, u nas we Włocławku tamto”. Wraz z nowym domem pojawiły się dzieci. Gdy podrosły i Teresa mogła wrócić do pracy, w miejskim szpitalu na bloku operacyjnym nie było miejsca. Gdy się znalazło — ona akurat zachorowała. Potem z kolei brakowało pracy dla pie-

łęgniarek. Po pięciu latach straciła prawo wykonywania zawodu. Mogła odnowić uprawnienia. Miała ukończone kursy i kwalifikacje na obsługę kotłów do sterylizacji narzędzi chirurgicznych, wystarczyło zdać kilka egzaminów — ale dostała ofertę pracy wychowawcy w Ośrodku Szkolenia i Wychowania Ochotniczego Hufca Pracy.

Nigdy wcześniej nie pracowała z młodzieżą. Zaczęło ją to wciągać. W hufcu spędziła ponad dziesięć lat. W końcu przestała żałować wyjazdu z Włocławka. Przestała żałować utraty poprzedniego zajęcia. Szpitalne dyżury zastąpiła praca wychowawcy.

Gdy zaczynała, większość uczniów miała tylko problem z nauką. Odrabiała z nimi lekcje, rozwiązywała dodatkowe zadania. Z czasem coraz więcej dzieciaków wchodziło w konflikt z prawem. Niemal co trzeci był pod nadzorem. Teresa współpracowała z kuratorami sądowymi i tak ją to wciągnęło, że sama nim została. Bywało, że miała piętnastu podopiecznych jednocześnie. Obecnie ma trzech, czasami pięciu. Z niektórymi utrzymuje kontakt nawet po latach. Zna ich rodziny, mężów, żony i kolejno rodzące się dzieci. Młodsze pokolenia przychodzą czasem do szkoły, w której teraz pracuje.

OHP to były ciekawe czasy. Kiedy w hufcu brakowało pieniędzy, bywało i tak, że sami musieli zarobić na utrzymanie ośrodka. Kierownik kazał wszystkim wychowawcom nauczyć się szyć. Instruktor-ki uczyły wychowanków i wychowawców. Okazało się, że to miało cel: w ten sposób hufiec dorabiał, wykonując zlecenia krawieckie. Gdy grafik był napięty, nauczycielki, instruktorki i dzieci pracowały razem, przyszywały guziki, podwijwały tkaniny, obcinały nitki. Dzięki temu Teresa nauczyła się szyć.

Zaczynając pracę w hufcu, Teresa nie miała wyższego wykształcenia. Wtedy wystarczył kurs pedagogiczny, ale zaczęto przebąkiwać, że będą zwalniać tych bez magisterki. Poszła więc na studia. Zrobiła licencjat z pedagogiki opiekuńczo-wychowawczej i magisterium z resocjalizacji. Nie myślała o zmianie pracy. Była pewna, że w tym

wieku nikt jej już nie przyjmie. O dziwo, dostała propozycję i tak trafiła do szkoły.

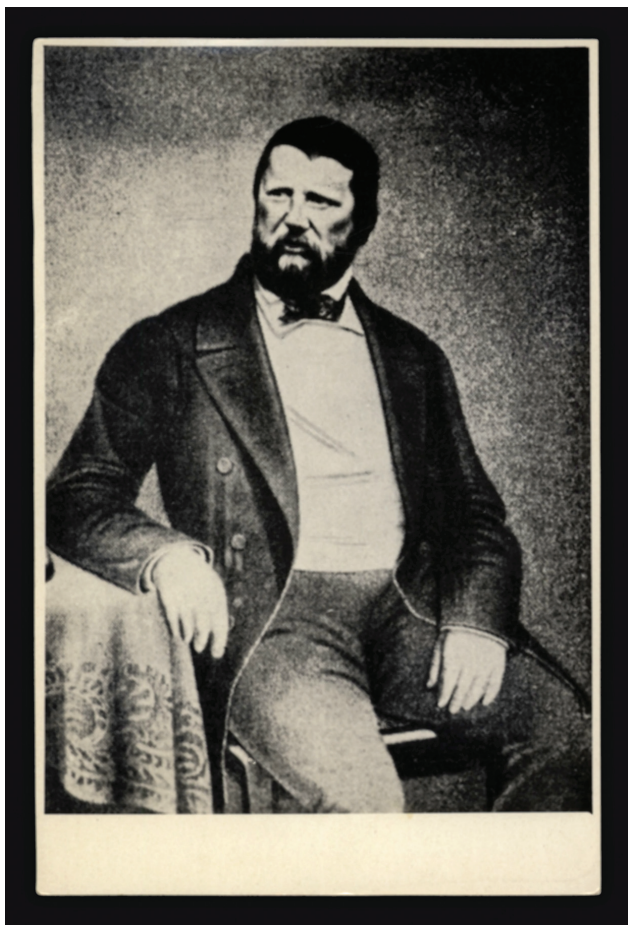
Teraz, po trzydziestu ośmiu latach pracy, może już iść na emeryturę i skupić się na swoim życiu. Na nieprzeczytanych książkach, wędrowce po górach, ogrodzie. Jednak na razie nie zamierza, lubi pracę z młodzieżą i czuje, że wciąż jest potrzebna.

Teresa nie myśli o pieniądzach, traktuje pracę jak powołanie. Wolny czas wykorzystuje na poznawanie uczniów. W okresie wakacji zgłosiła się, by pomóc przy naborze do szkoły. Miało być kilka godzin, lecz było tyle do zrobienia, że skończyło się na dyżurach od dziewiątej do dwiętnastej. Nowi uczniowie, ich historie i potrzeby — dzień zlatywał tak szybko. Cieszyła się, mówiąc, że to były jedne z najlepszych wakacyjnych tygodni.

Po powrocie do domu szybko zjada ugotowany przez męża obiad. Czasem pozwala sobie na krótki rodzinny relaks: ulubiony serial, rozmowy, spotkania na Skypie z wnukami. Potem zabiera się za dokumenty, pisze sprawozdania i opinie, planuje kolejne działania. Dzwoni do uczniów i ich rodzin. Aby nie liczyć minut, wykupiła największy abonament. Uczy się na pamięć nazwisk i imion, żeby znać ich lepiej. W tym roku ma ich pod opieką prawie sześciuset. Ale drugą połowę uczęszczających do szkoły, w której pracuje, też chce znać. Lubi wchodzić do klasy i dać do zrozumienia, że wszystkich rozpoznaje.

Teresa chce pracować do siedemdziesiątki. Jeśli nie na pełny etat, to przynajmniej parę godzin dziennie. Na emeryturę też ma już plany. Na wolontariacie poznała kilka fajnych osób i chce im pomagać w hospicjum. W tym również odnalazła sposób na działanie pedagoga. Wciąża w wolontariat młodzież. To okazja do rozmowy poza szkołą, udzielenia porad, wsparcia i oderwania młodych ludzi od codzienności. Czasem widzą też, że inni mają trudniejsze życie. To pozwala spojrzeć na siebie z nowej perspektywy.

Mąż Teresy już się nie dziwi. Gdy pyta o powrót, zwykle słyszy tę samą odpowiedź: „Wrócę autobusem o dziewiętnastej trzydzieści pięć spod Ronda”. Nie liczy godzin, które żona spędza w pracy. Zaakceptował, że wychodzi z domu wczesnym rankiem i wraca wieczorem. Ożenił się z pielęgniarką, a ma żonę pedagoga, wolontariusza, opiekuna szkolnego, doradcę, rozjemcę, mediatora, wychowawcę wypoczynku wakacyjnego, administratora szkolnej dokumentacji pedagogicznej i sam nie wie kogo jeszcze. Niedawno wpadła na kolejny pomysł. Tym razem rozwoju stowarzyszenia Arka, którego jest wiceprezesem.



Klaudia Siekańska
Jakoś to będzie

➤ Jędrzej Moraczewski
Ze zbiorów Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk

...jakości z tego nie ma. Jakość powstaje z chęci. Powoli, drobnymi krokami, od podstaw.

D jak Działanie

Panna K.

— Jak masz na imię? — pytam dwudziestoletniego chłopaka, który kilka sekund wcześniej był nieprzytomny.

Teraz zaczyna nieporadnie zbierać swoje rzeczy: telefon, portfel i papierosy, które rozsypały się, gdy upadał na podłogę urzędowego holu. Jest ubrany w szare dresowe spodnie z lokalnego bazaru.

— Pewnie pijany — dobiegają głosy z tłumu, który zgromadził się wokół.

— Nie, naćpany, na pewno jakimiś dopalaczami! — woła ktoś inny.

Chłopak ociera krew z nosa chusteczką podaną przez starszą panią. Wszystko dzieje się tak szybko... Gapie stoją z tyłu, w samym centrum on, ja i trzech innych pracowników, którzy cały czas mówią, a momentami krzyczą. Nie słyszę jednak co, bo staram się skupić na

poszkodowanym. Widzę, że jest w szoku. Jego duże, czerwone usta próbują mówić, ale otwierają się tylko jak u ryby wyjętej z wody, żadne słowa z nich nie wychodzą. Chwieje się i wodzi wzrokiem niczym uwięziona zwierzyna.

— Jak masz na imię? — pytam, próbując nawiązać jednocześnie kontakt wzrokowy. Łapię go delikatnie za ramiona, chcę skierować uwagę na siebie.

— Zostawcie mnie w spokoju! — mówi nieprzytomnie.

Z bliska widzę wypryski na jego twarzy i rozczochną fryzurę, włosy są niemyte od kilku dni, łupież sypie się na czarno-niebieską bluzę z kapturem. W końcu udaje się, chłopak patrzy na mnie. Powtarzam pytanie.

— Adam — odpowiada słabym głosem.

— Adam, proszę, usiądź.

— Kto to jest? — Słyszę z tyłu. — To nasz klient?

— Karetka już jedzie — woła inny pracownik urzędu.

— Obstawcie to, niech klienci się nie patrzą. — Próbuję opanować zbiegowisko, wydając polecenia.

Adam nie siedzi długo. Po niespełna minucie podrywa się niczym spłoszona sarna. Patrzy na drzwi, do których ma ledwie cztery metry. Trzymam go za ramię. Ktoś inny wydaje polecenie:

— Siedź spokojnie, zaraz będzie karetka!

— Zostawcie mnie! — mówi coraz donośniejszym głosem chłopak.

Tłum nadal patrzy, ale już obojętniej, widząc, że poszkodowany nabiera siły. Ludzie cofają się, przedstawienie się kończy. Z oddali dobiega dźwięk jadącego na sygnale ambulansu. Adam robi się jeszcze bardziej nerwowy. Spogląda na mnie, w jego oczach widzę błaganie. Nie próbuję go już zatrzymać. Chwiejnym krokiem, ale z determinacją rusza więc do drzwi, po drodze roztrącając kilka osób. Chudy, niewysoki, z impetem wybiega z urzędu. Widzę ręce,

które próbują go chwycić. Zastanawiam się, czy nie mają siły, aby złapać za tę czarno-niebieską bluzę z kapturem, czy po prostu zabrakło im woli.

Adam zniknął. Pani sprzątaczką starła podłogę. Ratownicy medyczni weszli już niepotrzebnie. Wracam do swojego pokoju, zamykam drzwi. Łzy zaczynają mi spływać po policzkach. Trzęsącymi się dłońmi wyciągam chusteczkę. Dopiero teraz widzę, że mam zakrwawione ręce. To nie moja krew. Muszę wyjść do łazienki. Uspokoić się. Dopiero dziewiąta, zaraz będę miała kolejnego klienta. O Adamie na razie muszę zapomnieć. W kolejce są inni, którym mam obowiązek pomóc.

— Dzień dobry, mogę wejść? Miałam być na dwunastą, ale mam chorego psa w domu i muszę wracać jak najszybciej. — Drzwi uchylają się i zagląda przez nie kobieta.

Widzę blond włosy zaczesane w kitkę, niebieski cień do powiek, różową szminkę, różową marynarkę z materiału podobnego do skóry i duże srebrne kolczyki w kształcie kół. Odruchowo cofam się o krok, zaglądam w harmonogram spotkań. Godzina dwunasta: Mariola, lat pięćdziesiąt dwa, wykształcenie średnie ekonomiczne, kilkuletnie doświadczenie w pracy biurowej, dzieci dorosłe, mąż na jej ubezpieczeniu. Zapewne pracuje za granicą — myślę.

— Pies, mówi pani? — odpowiadam nieco zirytowana.

Na monitorze komputera w elektronicznym systemie ewidencji bezrobotnych widzę, że klientka umówiona na dziewiątą jest dziś na zwolnieniu lekarskim, mam zatem okienko. Mariola właściwie powinna czekać do dwunastej, w końcu jest bezrobotna, ma czas. Zresztą wiedziała, o której godzinie powinna przyjść, no ale chory pies... O ile rzeczywiście ma psa.

— Proszę zaczekać chwilę. — Pokazuję zakrwawioną rękę. — Nie, to nie moja krew — zapewniam, widząc jej zaskoczenie.

Panna B.

Tego dnia coś nie dawało jej spokoju. Młoda, niespełna dwudziestopięcioletnia blondynka 3 marca 1836 roku zapisała w swoim pamiętniku:

Dziś mój szczegółowy dziennik z tygodnia kończy się, odczytałam go i widzę, że przez tydzień nic dla towarzystwa ludzkiego nie zrobiła, choć jadłam cudzą pracę i rzeczy darłam. Widzę, do jakiej próżniackiej klasy należę, a są w mojej klasie ludzie, którzy dlatego właśnie, że są próżniakami, myślą, że są wyższymi od ludzi pracowitych, jakby szerszenie wynosiły się na pszczoły¹.

Bibiana Moraczewska mieszkała w Zielątkowie niedaleko Obornik. Urodziła się i dorastała w ziemiańskiej rodzinie. Dom Moraczewskich odwiedzali artyści, politycy i działacze społeczni. Bibiana stykała się z ludźmi, którzy mieli znaczny wpływ na jej rozwój. Nie od razu stała się czynną działaczką społeczną. W młodości przede wszystkim oddawała się beztroskiej zabawie. Miała jednak możliwość uczenia się i poznawania świata z perspektywy zwykłych mieszkańców. „Nie myśleli, że za drzewo, które brali, tak mało robić będą. Biedacy! A oni każdy siedem dni robił od świtu do zmroku i jeszcze byli wdzięczni”² — pisała na kolejnych stronach dziennika. Słowa te zanotowała podczas obrachunków z chłopami w czasie nieobecności brata, Jędrzeja Moraczewskiego, na którego prośbę przejęła część obowiązków. Jędrzej objeżdżał wówczas Wielkopolskę, zachęcając ludzi do gromadzenia historycznych pamiątek narodowych. Dzięki tym działaniom powstały w Gnieźnie, Szamotułach i Gostyniu pierwsze gabinety archeologiczne.

¹ Bożena Krzywobłocka, *Wielkopolskie damy*, Poznań 1986, s. 150.

² Tamże, s. 153.

Czas spędzony w Zielątkowie to dla Bibi również początek przyjaźni z emancypantką Narcyzą Żmichowską. Dziewczęta rozmawiały o kwestii wyzwolenia kobiet, o tym, jak ważna jest edukacja, gdyż dzięki niej będą mogły wywierać wpływ na społeczeństwo i tym samym wносить swoje doświadczenie w jego rozwój. Pragnęły równości. Chciały zerwać z takim myśleniem, jakie prezentował kilka lat później między innymi Bronisław Trentowski w *Chowannie*:

Kobieta jest jednak wieczystym dzieckiem, wychowanie zatem jest dla niej rzeczą kardynalną. Kobieta, zaniedbując dzieci swe i gospodarstwo, jest zazwyczaj uczoną krową. Włosy długie, rozum krótki, rzekł Brodziński słusznie. Uczonej żony lękają się też mężczyźni równi, jak niebezpiecznej cholery. Siedem Muz było, a wszystkie ostały aż dotąd starymi pannicami. Dziewiczość potrzebuje mieć naturalny i wykształcony smak, dobre wychowanie, krasne lica, młodość, cnotę i niewiele więcej. Kobieta oświecona w końcu jest zazwyczaj lubieżnicą z tonem wyższym, bezbożnicą, francuską damą z czasów rewolucji. Głębsza nauka i oświata nie są tedy dla cór Ewy; lepsza im igła i wrzeciono³.

Najowocniejszy okres działalności Moraczewskiej zaczął się od przeprowadzki. Wspólnie z Jędrzejem w 1840 roku zamieszkali w kamienicy przy ulicy Berlińskiej 32 (dzisiaj 27 Grudnia) w Poznaniu. Życie w mieście obfitowało w liczne spotkania intelektualne. Dom Moraczewskich stał się sceną kulturalnego i politycznego oświecenia Wielkopolski. Bywali u nich działacze Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, Breański, Libelt i Kamiński. Ten ostatni założył czasopismo „Dziennik Domowy”, a do pisania w nim namawiał siostrę Moraczewskiego.

³ Tamże, s. 161.

Panna K.

Pięć minut później wracam z toalety. Pięćdziesięciolatka siedzi na krześle przed drzwiami. Nie da się jej nie zauważyć.

— Proszę, niech pani wejdzie — zapraszam do środka. Przerwę zrobić sobie w południe.

Mariola wchodzi pewnym krokiem. Różowa marynarka komponuje się z białym T-shirtem, niebieskimi džinsami i wysokimi, czerwonymi szpilkami. Podaję jej rękę, przedstawiam się. Nieco zdezorientowana moim zachowaniem niepewnie wyciąga swoją. Proszę ją, żeby usiadła. Przy stole z sześcioma krzesłami, trzy z jednej i trzy drugiej strony, wybiera to środkowe, bliżej ściany. Siada, odstawiając swoją połyskującą, czerwoną torebkę na blat. Wygląda tak, jakby miała być tutaj tylko chwilę, że to formalność, że zaraz wyjdzie.

— W sumie nie wiem, po co tu jestem — mówi z rozbijającą szczerością. — Ta pani z trójki na złość mnie tutaj skierowała.

— Na złość? — pytam zaskoczona.

— No tak. Tak powiedziała. Bo od dwa tysiące dwunastego roku nie pracuję i stwierdziła, że tak nie może być, że muszę porozmawiać z doradcą zawodowym.

— Pani Mariolu, rzeczywiście to nie jest dobrze, że tak długo pani nie pracuje i nadal jest w naszym rejestrze.

Zaczynam w tym miejscu wyjaśniać jej, na czym polega działalność urzędu pracy, że rejestracja w nim jest dobrowolna. Celem obu stron jest znalezienie zatrudnienia dla bezrobotnego. Urząd może w tym pomóc, ale główna inicjatywa leży po stronie klienta. A skoro zgłasza się i rejestruje, to znaczy, że potrzebuje pomocy.

Mariola przestaje się uśmiechać. W jej oczach widzę, że jest zdezorientowana. Mam wrażenie, że zaraz zacznie krzyczeć. Atmosfera robi się nerwowa.

— A jak ja niby mam iść do pracy? — podnosi głos. — Matka chora leży. Sama z nią jestem. Męża nigdy nie ma, dzieci mają

swoje życie. Kto mnie zresztą zechce po pięćdziesiątce? Poza tym nie mam prawa jazdy, jak ja dojadę do pracy? Może pani będzie mnie zawozić?

Patrzę na jej kartę osobową, szybko liczę w myślach: pierwsza rejestracja w 2012 roku, czyli kobieta miała niespełna czterdzieści pięć lat, gdy zwróciła się o pomoc do urzędu.

— Pani Mariolu, pozwoli pani, że na początku wyjaśnię, czym się zajmuję jako doradca zawodowy? — pytam spokojnym głosem.

Kobieta podwija rękawy różowej marynarki niczym do walki, ale skinieniem głowy daje mi pozwolenie. Wyjaśniam, że rolą doradcy jest pomoc w odnalezieniu się na rynku pracy, wskazanie kierunku kształcenia, szkolenia, przekwalifikowania, pomoc w ustaleniu predyspozycji zawodowych, w napisaniu CV i listu motywacyjnego, przygotowaniu do rozmowy kwalifikacyjnej i wyjaśnieniu, jak radzić sobie ze stresem. To podstawa, by ruszyć z miejsca, szczególnie po długiej przerwie czy — jak to w urzędowym slangu się określa — „długości oddalenia od rynku pracy”. Najważniejsza jednak w tym wszystkim, w tej całej formalnej pomocy, jest relacja klienta z doradcą. Aby były efekty, klient musi chcieć tej pomocy. Kończę wyjaśniać i czekam, aż Mariola coś powie. Cisza trwa kilkanaście sekund.

— No to co ja mam zrobić? Pewnie napisze pani w tej opinii, że nie chcę iść do pracy i mnie wyrejestrujecie? Tak to teraz będzie? — odpowiada z lekką ironią.

Mogłabym tak napisać, jestem przecież urzędnikiem. Aby być zarejestrowanym w urzędzie, trzeba być zdolnym i gotowym do podjęcia pracy. Pani Mariola jest zdrowa, ma wykształcenie, zawód, zatem ma zdolności do podjęcia pracy. A jednak mówi, że nie chce do niej iść, co oznacza, że brakuje jej gotowości. Mam wrażenie, że jest zarejestrowana tylko po to, by mieć ubezpieczenie zdrowotne. Są na to natomiast inne sposoby: można samemu wykupić je w Narodowym Funduszu Zdrowia albo przypisać się do pracującego małżonka czy

małżonka emeryta. Jest jeszcze opieka społeczna. Oczywiście można być ubezpieczonym przez urząd pracy, ale głównym celem takiego wyboru jest podjęcie pracy, a ze strony urzędu — by bezrobotny przestał być bezrobotnym.

— Pani Mariolu, proszę mi powiedzieć, jakie ma pani plany zawodowe. Co pani zamierza robić do emerytury? W końcu to jeszcze kilka lat.

Kobieta zastanawia się.

— Ja w sumie nie muszę pracować, mąż dobrze zarabia za granicą. Poza tym matkę mam chorą — wyjaśnia.

No i psa — myślę.

Im dłużej rozmawiamy, tym bardziej kobieta traci pewność siebie. Po ostatnim pytaniu krzyżuje dłonie na piersi i przestaje patrzeć mi w oczy. Dziś już raczej z nią nie porozmawiam. Proponuję kolejne spotkanie. Nie wypuszczam jej jednak od razu. Daję jej materiały, z których w domu na spokojnie będzie mogła dowiedzieć się, czym się zajmuję i w czym mogę pomóc. Dostaje też broszurę o prawach i obowiązkach osób zarejestrowanych w urzędzie pracy. Proszę, żeby to przeczytała i zastanowiła się, czy chce mimo wszystko skorzystać z mojej pomocy. Przy okazji taktownie zauważam, że przed nią przecieć jeszcze kilka lat, zanim przejdzie na emeryturę, a i na emeryturze można robić coś ciekawego, rozwijać się.

— Proszę się zastanowić na spokojnie. — Podaję żółto-białą papierową teczkę.

Mariola chwyta ją obojętnie i wkłada do czerwonej torebki. Nie czekając, aż zapnie zamek, przypominam, że opinię i tak napiszę, bo to mój obowiązek.

— Robię to po to, żeby pani pomóc, najlepiej jak potrafię, takie jest zadanie pośredników i doradczy — mówię, przypominając również o tym, że zgodnie z przepisami prawa i oświadczeniem o dobrowoli rejestracji w urzędzie sama się na to godzi.

Pięćdziesięciolatka z grymasem na twarzy słucha w milczeniu, spoglądając co jakiś czas na swoje długie, granatowe paznokcie.

Daje jej czas na zastanowienie. Proponuję kolejne spotkanie za miesiąc. Wtedy zdecyduje, czy chce coś zrobić ze swoją przyszłością zawodową. Mariola przytakuje kiwnięciem głowy. Biorę tekturową kartę wizyt i zaznaczam termin, proszę, aby się pod nim podpisała. Kolejne stawienie się w wyznaczonym dniu to dla niej gwarancja zachowania praw wynikających z rejestracji, w tym prawa do ubezpieczenia.

Nagle klientka odzyskuje pewność siebie. Wstaje z głową podniesioną do góry. Srebrne kolczyki, ocierając się o różową marynarkę, wydają szeleszczący dźwięk.

— W takim razie dziękuję. Do zobaczenia za miesiąc — mówię.

— Ja również. Do widzenia. — Mariola podaje mi dłoń.

Tym razem ja jestem zaskoczona jej gestem. Kobieta wychodzi pewnym krokiem. Drzwi się zamykają. Na zegarze jest prawie dziesięć. Po takich klientach jak Mariola zawsze zastanawiam się, jaki jest sens pracy z osobami, które tak naprawdę nie chcą żadnej pomocy. Dla nich liczy się tylko ubezpieczenie, mimo że prawo wyraźnie wskazuje, że celem rejestracji w urzędzie pracy jest pomoc w znalezieniu zatrudnienia.

Panna B.

W warszawskim „Przeglądzie Naukowym” rozpoczęła się dyskusja na temat działalności społecznej kobiet. Mężczyźni wyśmiewają się i drwią. Jędrzej Moraczewski staje w obronie kobiet. Karol Libelt uważa, że „panie nigdy się o prawa swoje nie dobijały [...]. Mężowi przyrodzenie dało siłę woli, umysłu i ciała, kobiecie moc wdzięku, uczucia przy drobniejszym ciele i słabszych władzach umysłowych”⁴.

⁴ Tamże, s. 161.

Głos w tej kwestii zabrał Bronisław Trentowski, który pognął kobiety jeszcze bardziej.

Bibiana z zaskoczeniem odebrała słowa na temat płci pięknej znanych i cenionych przez siebie teoretyków. Mimo wszystko skupiła się na pracy w księgarni i na działalności politycznej. W 1843 roku w domu Moraczewskich zaczęło się pojawiać wielu młodych spiskowców z Królestwa i z zachodnich ziem zaboru. Ten okres to także wzmożona działalność przyjaciółki Bibiany — Narcyzy Żmichowskiej. W Warszawie kobiety zaczynają działać na rzecz emancypacji. Zawiązują grupę, która później zapisze się w historii jako „entuzjastki”. Do ich grona dołącza Moraczewska.

Czasy, w których działały emancypantki, nie były łatwe: z jednej strony trudna sytuacja polityczna, a z drugiej — nieprzychylność społeczeństwa, stereotypy mocno zakorzenione nie tylko wśród mężczyzn, ale i wśród samych kobiet, które przez stulecia przywykły do roli matek, gospodyń, opiekunek domu. Praca na rzecz równości z trudem dociera do mas.

S jak sens

Panna K.

„[...] klientka ma predyspozycje do wykonywania zawodu florysty. Podsumowując: przyznanie środków na szkolenie indywidualne w tym zakresie wydaje się zasadne” — kończę pisać opinię po kolejnej rozmowie z petentką. Słońce już nie wpada do pokoju, robi się szaro. Na zegarze po dwunastej. Teraz powinnam mieć przerwę.

— Hej. I co tutaj dziś się stało? — Martwą ciszę przerywa nagle szarpnięcie drzwi i piskliwy głos koleżanki z księgowności.

— Co? — pytam, jakby wyrwana ze snu.

— No ten chłopak, co się przewrócił rano. Rozmawiałam już z dziewczynami. Mówią, że go nie kojarzą, a ty? — dopytuje na jednym oddechu.

Czyli czekał do rejestracji — myślę. Pewnie dlatego uciekł przed karetką, bo nie miał ubezpieczenia. Bał się, że będzie musiał za wszystko zapłacić.

— Wiem tyle, co mi teraz powiedziałaś. Mam nadzieję, że wszystko z nim w porządku — odpowiadam uprzejmie.

— Podobno naćpany był?

— Nie wiem, nie znam się na tym. Wiesz co, przepraszam, ale mam klienta za chwilę — mówię, chcąc jak najszybciej skończyć tę rozmowę.

Zerkam na monitor komputera. W elektronicznym systemie kolejkowym podglądam, czy ktoś pobrał do mnie bilet i czeka. Klikam w odpowiednie okienko, wywołując numererek. Koleżanka, wychodząc, mija w drzwiach starszego, szczupłego mężczyznę.

Wstaję jak do każdego klienta, przedstawiam się i podaję rękę. Okazuje się, że to pan Jan, umówiony na trzynastą. Przyszedł dużo wcześniej.

Starszy mężczyzna w za dużych, kremowych sztruksach i wypłowiałej żółtej koszuli z długim rękawem siada przy stole, zajmuje jednak inne miejsce niż kilka godzin temu Mariola, jak najdalej ode mnie, w samym rogu. Jakby chciał się schować. Pod bujną, zaniebabaną, szarorudą brodą widzę jego obojętną twarz. Pan Jan ściąga brudną, postrzępioną na brzegach czapkę z daszkiem. Zaglądam w elektroniczną kartę klienta: sześćdziesiąt trzy lata, wykształcenie wyższe, magister inżynier rolnictwa, długa lista doświadczenia zawodowego. Mój wzrok przykuwa informacja, że był kierownikiem w gospodarstwie rolnym i agentem Służby Bezpieczeństwa. Rodziny nie ma, w adnotacji pośrednika pracy poniżej widnieje „bezdomy”.

Próbuję nawiązać rozmowę. Tłumaczę, czym się zajmuję i jak mogę pomóc. W odpowiedzi tylko przytakiwanie. Mężczyzna co jakiś czas patrzy niepewnie to na mnie, to na stół. Widzę, że mnie słucha, chce być uprzejmy.

— Panie Janie, na podstawie tego, co powiedziałam, uważa pan, że mogę w czymś panu pomóc?

Z trudem zbiera się, aby odpowiedzieć. Widzę, jak rusza się jego podbródek wraz z szarorudą brodą. Usta zaczynają się otwierać nieśmiało, powoli.

— Nie — mówi cicho. — Ja już nic nie potrzebuję. Dziś dostałem zasiłek, rozmawiałem z kierownikiem opieki — dodaje z wielkim wysiłkiem.

Pokój zaczyna robić się jeszcze bardziej ponury. Chcę zapytać o doświadczenie, o jego pracę. Jestem ciekawa i chcę jakoś pomóc. Pan Jan jednak wydaje się niezainteresowany rozmową.

— Panie Janie, a może chociaż jakieś CV napiszemy?

— Kiedy ja nie mam telefonu ani adresu — przerywa cichym głosem.

— Jako numer telefonu możemy podać nawet ten do urzędu, adres też. — Próbuję czegokolwiek, chociaż czuję, że on tego nie chce.

Jest raczej zamknięty na jakąkolwiek pomoc, a jednocześnie onieśmielony i trochę zaciekawiony, że ktoś wyciąga do niego rękę.

— Wie pani co? — Podnosi głowę. — Ja naprawdę już nic nie potrzebuję. To, co mam, mi wystarczy — dodaje.

Czuję, że kolejnym pytaniem mogę wykroczyć poza swoje kompetencje. Z szacunkiem i ostrożnością podaję mu spis specjalistów, którzy zawsze mogą mu pomóc, i to za darmo. Na liście są: radca prawny, terapeuta uzależnień i psycholog. Na koniec po wpisaniu wizyty w kartę, podpisaniu jej przez klienta i wręczeniu zielonej karteczki przypominam, że jeśli będzie potrzebował, to jestem tutaj i w każdej chwili może przyjść.

Wychodzi z takim samym obojętnym wyrazem twarzy, z jakim wszedł. Po cichu, jakby w ogóle go tutaj nie było. Drzwi zamyka delikatnie.

Podchodzę do okien, czas przewietrzyć pokój. Wizytę pana Jana wprowadzam do elektronicznego systemu. Zerkam na jego PESEL — jeszcze dwa lata i ZUS się nim zajmie. Przed oczami mam jego zarośniętą, brodatą twarz przypominającą gąbkę, która za długo leżała na słońcu, suchą, twardą, pomarszczoną, bez życia. Wystarczy jednak kropla, tylko jedna. Tyle że on już jej nie chce, nie potrzebuje, woli wejść w cień. Z zaciśniętymi do emerytury, byle do końca, byle jakoś.

Panna B.

W Poznaniu nie brakowało przykrych i denerwujących spraw. Trzeba było troszczyć się nie tylko o losy rodziny własnej, ale też o rodziny aresztowanych spiskowców. Szukano dla nich obrońców. Starano się przewidzieć ich dalsze losy, wbrew wszelkim przeciwnościom nie upadać na duchu⁵.

Lata 1843–1848 to okres, w którym Bibiana z przyjaciółkami wysyłała do Królestwa zakazane wówczas pisma i księgi. To również czas licznych aresztowań spiskowców. Do więzienia trafiają Karol Libelt i Ludwik Mierosławski. Wtedy też miała miejsce nieudana próba wywołania powstania wielkopolskiego, które było planowane nocą z 21 na 22 lutego 1846 roku. Kamienica przy Berlińskiej 32 była wówczas pod stałą obserwacją policyjną.

Bibiana za swoją działalność konspiracyjną w 1846 roku została zresztą okrzyknięta przez landrata Baerensprunga jedną z najgorszych kobiet sprzysiężenia. Mimo to szlachcianka nawet przez chwilę nie ustawała w działalności na rzecz społeczeństwa. Po egzekucji jed-

⁵ Tamże, s. 163.

nego ze spiskowców, Antoniego Babińskiego, mimo zakazów zajęła się organizacją nabożeństwa żałobnego w kościele Świętego Marcina.

Krótko po tych wydarzeniach w Wielkopolsce wybuchło powstanie przeciwko Królestwu Pruskiemu. Bibiana pomagała, pielęgnując rannych w Śremie, Miłosławiu i Wrześni. Dwa lata później Jędrzej zajął się pisaniem książki o najnowszej historii Polski. Wydał również historię Polski dla ludu pod tytułem *Gospodarza Jędrzeja opowiadanie podług starych ksiąg polskich, jak dawniej była Polska i jacy starzy Polacy*. Bibiana także pisze i wydaje, ale anonimowo. Jędrzej umiera 20 lutego 1855 roku w Poznaniu.

Jeszcze w 4 miesiące po śmierci brata pragnęła umrzeć, ale potem życie okazało się silniejsze od śmierci. Znalazła zresztą pole do działania. Trzeba było poprawić wspomnienia o bracie, nawet te pisane przez przyjaciół. Bardzo ją oburzyło to, co napisał Libelt o Jędrzeju, a mianowicie, że Moraczewski odradzał spiskowcom wybuch powstania w 1846 roku⁶

— pisze Krzywobłocka.

W dzienniku szlachcianki z Zielątkowa czytamy:

A przecież ja z Jędrzejem codziennie o tym, do czego się zabierali, rozmawiałam i wiem, że nie był bez wiary w całą tę sprawę; zaopatrywał się nawet w przybory bojowe, jak fuzję i trwałą odzież; ułożyliśmy wszystkie konsekwencje sprzysiężenia, powstania i przyszłej organizacji kraju. On był republikaninem polskim, oni demokratami kosmopolitami. Bywałam często świadkiem tych sporów i dyskusji i nieraz długich skarg na Jędrzeja się nasłuchiwałam, bo ówczesni koryfeusze demokracji, tak z emigracji, jak z kraju, woleli mnie niż

⁶ Tamże, s. 165.

Jędrzeja. Służyłam im też wiernie w korespondencjach i rozsprzedawaniu książek, w umieszczaniu po znajomych mi domach emisariuszy z emigracji, a w końcu przechowywałam prochy i kule⁷.

Panna K.

W harmonogramie na dziś jeszcze jedna osoba. Justyna, trzydzieści siedem lat. Była już u mnie, za pierwszym razem z pretensjami. „Jak ja z czwórką dzieci mam iść do pracy?” — krzyczała. Na ekranie komputera widzę, że już czeka. Wywołuję numerek. Tak, to ona — chuda, niewysoka kobieta z długimi, rozpuszczonymi, brązowymi włosami i okularami na nosie. W szarym swetrze i czarnych legginsach wygląda na bezbronną, jakby potrzebowała, żeby ktoś się nią zaopiekował. Skromnie staje przy moim biurku. Dziś jest inna niż ostatnio, spokojna, nie ma w niej tej agresji.

— Dzień dobry, pani Justyno. Miło mi panią znowu widzieć. Pośrednik wspominał, że sama pani chciała przyjść do mnie na wizytę. Proszę usiąść i opowiadać, co takiego panią do mnie sprowadza.

Kobieta siada na brzegu krzesła, trzymając na kolanach brązową torebkę niczym tarczę. Z kartoteki i ostatniej rozmowy wiem, że najmłodsze dziecko ma trzy lata, najstarsze trzynaście. Kilka lat temu się rozwiodła. Mąż pił i bił. Na dzieci ręki nie podniósł, ale ona dostawała regularnie. Ma za co żyć. Są alimenty i zasiłki z pomocy społecznej, ale potrzebowała ubezpieczenia. W rejestrze pośredniaka figuruje od pięciu lat. Najmłodsze dziecko urodziła innemu, z którym obecnie żyje. On ją wspiera w tym, żeby coś w swoim życiu zmieniła.

— Wie pani co, ja chyba zaczynam chcieć czegoś dla siebie. Tylko nie wiem czego. Może jednak byśmy spróbowali?

— A czego pani chce konkretnie? — dopytuję.

⁷ Tamże, s. 165–166.

— Nie wiem. Wiem, że nie mogę tak dłużej. Chcę, żeby dzieci były kiedyś ze mnie dumne. Może jakiś kurs? Nie wiem, może nawet własną firmę założę.

Odkłada torebkę na bok. Tarcza nie jest już jej potrzebna.

Zaczynamy od początku, czyli od określenia potrzeb, oczekiwań, od analizy dotychczasowych osiągnięć, ale również warunków środowiskowych, które mogą ją ograniczać. Daję jej testy zawodowe do wypełnienia w domu.

Po ponadgodzinnym spotkaniu ta nieśmiała, bezbronna kobieta wydaje się jakby silniejsza i gotowa do działania. Umawiamy się na kolejny termin.

— Dziękuję — mówi, podając mi zdecydowanym ruchem dłoń.

Życzę jej powodzenia i siły, żeby się nie poddawała. Widzimy się za dwa tygodnie, sama tak zaproponowała. Im wcześniej, tym lepiej, bo — jak wyjaśniła — i tak już za długo czekała.

Panna B.

Druga połowa XIX wieku to początek kolejnych zmian w życiu Bibiany. Działała głównie na rzecz emancypacji kobiet. Przeprowadziła się do kamienicy przy Świętym Marcinie pod numerem 78. Kilka lat później wstąpiła do zawiązującego się pod przewodnictwem hrabiny Działyńskiej Stowarzyszenia Dam — organizacji niosącej pomoc sierotom. Bibiana wydawała też poprawione książki dla ludu mające uczyć historii.

W Wielkopolsce Moraczewska walczyła o prawa i edukację kobiet. Była jedną z głównych założycielek Towarzystwa Pomocy Naukowej dla dziewcząt, które zaczęło działać w 1881 roku. Niedługo przed śmiercią pisała w swoim dzienniku:

Obecnie staraniem i kosztem tego stowarzyszenia przeszło 50 panienek bywa kształconych. Wszystkie moje starania zwrócone

*ku temu celowi, z troską niemałą obok opieki starania się o fundusze. Nie sama jedna dopełniłam tego ważnego w naszym tutaj położeniu zadania, dyrekcja składa się z pań czynnych i nader chętnych, lecz jako przewodnicząca od chwili założenia znowu rozsnuwający się wątek i całe pasmo interesów obowiązana jestem trzymać w moim ręku*⁸.

Umiera 6 października 1887 roku w Środzie Wielkopolskiej. Pannę Bibianę, bo Moraczewska nigdy nie wyszła za mąż, uczcili jej wielkopolscy krajanie oraz warszawscy sympatycy entuzjastek, publikując o niej wspomnienia i artykuły. Całe swoje życie Bibiana Moraczewska poświęciła wielkopolskiemu społeczeństwu, walcząc o polskość, a przede wszystkim stwarzając równe szanse osobom mniej zamożnym, głównie dziewczętom. Dzięki tym działaniom kobiety zaczęły umacniać swój głos i udowadniać, że nie są wyłącznie „uczonymi krowami”.

Moraczewska wierzyła, że można stworzyć lepsze miejsce dla wszystkich Polaków bez względu na płeć, wiek i pochodzenie. Była jedną z tych, które mimo przeciwności zawsze szły do przodu. Żyła w trudnych czasach: z jednej strony zaborcy, z drugiej — zagorzali zwolennicy starych podziałów społecznych. Jednak wizja, sens działań były najważniejsze.

Panna K.

Na zegarze kilka minut przed piętnastą. Sprzątam biurko. Zastanawiam się, co będzie dalej z Justyną, co stanie się z panem Janem. Czy Mariola wreszcie się wyrejestruje? Moja praca nie zawsze ma sens. Czasami odnoszę wrażenie, że jest niepotrzebna. Niewielu z tych, którzy przychodzą, chce mojej pomocy. Rejestracja jest dobro-

⁸ Tamże, s. 168.

wolna, powody jednak zgoła różne. „Trudny klient” — powtarzają urzędnicy, ale to chyba nie tak. Trudne są sytuacje, a każda historia inna. Pośród tych tysięcy widniejących w elektronicznym systemie zawsze będą ci, którzy nie wiedzą, co dalej, którzy potrzebują wsparcia kogoś, kto pomoże podjąć im przynajmniej te zawodowe decyzje. Po to właśnie jestem. Jakość tkwi w szczegółach i naprawdę taka jedna Justyna, która powie „dziękuję”, to sukces. To ten największy sens. I nieważne, że efekty pojawiają się później, gdy już tych osób być może nie zobaczę. Liczą się pojedynczy ludzie, nie statystyki.

Bibliografia

Dobrzyńska-Rybicka Ludwika, *Dziennik Bibiany Moraczewskiej; wydany z oryginału przez wnuczkę dr Dobrzyńską-Rybicką*, Wielkopolska Biblioteka Cyfrowa, <http://www.wbc.poznan.pl/dlibra/docmetadata?id=47560&from=publication> [data dostępu: 09.09.2019].

Krzywobłocka Bożena, *Wielkopolskie damy*, Poznań 1986.

Ustawy dla Kandydatek Towarzystwa Pomocy Naukowej dla Dziewcząt Polskich w W. X. Poznańskim, Wielkopolska Biblioteka Cyfrowa, http://www.wbc.poznan.pl/dlibra/docmetadata?id=62827&from=&dirids=1&ver_id=&lp=1&QI= [data dostępu: 09.09.2019].

Żmichowska Narcyza, *Poganka*, Biblioteka Klasyki Polskiej i Obcej, Warszawa 1976.



Joanna Żołądkowska
„Jadwiga” w drodze

➤ Bazar

Ze zbiorów Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk

Praca u podstaw. Gdy uczyłam się o tym i czytałam w liceum *Ludzi bezdomnych*, nie sądziłam, że za kilkanaście lat moje życie będzie współczesną wersją działań doktora Judyma. Poprzez pracę w projektach unijnych zmieniam na lepsze los ludzi „zagrożonych wykluczeniem społecznym”. A to zawsze ma sens.

Poniedziałek

Po ósmej wychodzę na trzynastkę na plac Wielkopolski. Typuję, czy ktoś ze stojących na przystanku będzie na moich zajęciach. Zobaczę matkę sześciorga dzieci i żonę alkoholika oraz chłopaka, który mieszka z matką i pasjonuje się damską bielizną. Niedługo będę ich uczyć, jak szukać pracy. A co ważniejsze: jak jej nie stracić.

Duża sala na trzecim piętrze budynku gazety „Głos Wielkopolski” przy Grunwaldzkiej. Kwadrans do rozpoczęcia zajęć. Otwieram laptopa, aby odpowiedzieć na najpilniejsze maile. Dziewiąta. Wchodzę do świetlicy obok. Kilka osób siedzi w milczeniu, zajmując miejsca obok stolika z prasą. Świeża „Wyborcza” i „Gazeta Prawna”.

— Zapraszam państwa na zajęcia.

Zajmują miejsca przy długim stole — aby jak najdalej od mojego.

— Dzień dobry. Nazywam się Joanna Żołądkowska. W projekcie Feniks będę prowadzić zajęcia pod nazwą „trening umiejętności zawodowych”. Proszę opowiedzieć kilka słów o sobie, podać swoje imię, wykształcenie, zawód, powiedzieć, kiedy była ostatnia praca i dlaczego się skończyła.

— Jowita. Wykształcenia nie mam, to znaczy mam, liceum, ale bez matury. Ostatnio pracowałam w biurze Polfy.

— Kiedy to było?

— Przed urodzeniem córki, w dziewięćdziesiątym szóstym.

— Jakie ma pani plany?

— No, chciałabym w sumie iść do pracy biurowej, ale takiej bez komputerów. Bo jak pracowałam w biurze, to ich nie miałyśmy. A tak to jestem w trakcie rozwodu. Uwielbiam przeglądać OLX-a, Oddam za darmo. Teraz po zajęciach jestem umówiona z jedną panią, ma dać mi torebkę.

OLX oferuje też mnóstwo ofert pracy — myślę.

Po Jowicie poznaje następnych. Łączy ich to, że mieszkają w Poznaniu, mają orzeczenie o niepełnosprawności i korzystają z pomocy społecznej. W większości są to samotni mężczyźni. Radek w zawodzie dziennikarza przepracował piętnaście lat. Alkoholik. Z powodu schizofrenii połączonej z depresją wiele tygodni w roku spędza w szpitalu psychiatrycznym. Stara się o upadłość konsumencką. Ratuje przed śmiercią bezdomne koty. Henryk ma wadę wzroku, minus jedenaście. Mieszka z matką i siostrą. To były spawacz w spółdzielni inwalidów, ostatnio rozdawał ulotki i układał towar na półkach w marketach. Nie wie, gdzie ma iść do pracy, bo matka z siostrą mówią mu, że i tak jest do niczego. Stefan mieszka w ośrodku dla bezdomnych. Niedawno po dziesięciu latach odsiadki wyszedł z więzienia. W obronie własnej skutecznie użył siekiery. Jako zawodowy kierowca przejechał pół świata. Teraz na nowo uczy się poruszać po

mieście tramwajem i używać darowanego smartfona. Po trzy razy pyta, czy może wyjść do toalety, i za każdym razem czeka na wyraźne potwierdzenie.

Krótką przerwa. Uczestnicy wychodzą na papierosa. W powietrzu, na ścianach i w dywanowej wykładzinie pozostają charakterystyczne wyziewy potu, leków, wilgoci i grzyba, najtańszego tytoniu, niepranych ubrań i niemytych włosów. Sprawdzam nieodebrane połączenia. Tym razem tylko dwa: od opiekuna projektu z urzędu marszałkowskiego i księgowej z Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie. Mija kilka minut. Wracają.

Ciąg dalszy prezentacji uczestników. Edyta z kamienicy na Jezycach, w której ktoś nad bramą napisał: „Na chuj się patrzysz”, mieszka z konkubentem, jego rodzeństwem i ich ciotką. Ciotka co dzień gotuje obiady dla jedenastu domowników. Konkubent nie skończył podstawówki i już nie skończy, bo w tym wieku to niemożliwe. Jurand jest inżynierem, energetykiem wysokonapięciowym. Dwadzieścia pięć lat w zawodzie. Przez problemy ze stawami przestał pracować na wysokości i w energetyce. Przez jakiś czas był kierowcą karetki. Potem już tylko dorywczo. Karany za niepłacenie alimentów. Marcin nie pije dwadzieścia trzy lata. Był motorniczym, miał udar w pracy. Dowiózł ludzi na pętlę, tam czekała na niego karetka. Szuka pracy w ochronie, naienne zmiany. Niedługo ma mieć operację serca. Mieszka sam i martwi się o swoją świnkę morską.

Długa przerwa. Wyczekiwana, bo zgodnie z regulaminem oznacza po bułce dla każdego. Może nie do końca zgodnie z założeniami, ale dla tych ludzi bułka jest często najważniejszym motywem uczestnictwa w projekcie. Jediną rzeczą, którą ich zdaniem będą z tego mieli. Niektórzy pytają, czy jak przyjdą po poradę do prawnika, to też bułka będzie się należała. Zgodnie z zapisem dokumentacji konkursowej ogłoszonej przez instytucję zarządzającą, „koszt cateringu dla uczestników szkolenia zasadniczo nie powinien być

kwalifikowalny, chyba że jest to uzasadnione długością trwania szkolenia w danym dniu”.

Bułki znikają w okamgnieniu. Niektórzy wolą zjeść w domu, ponieważ źle zrobiona na NFZ sztuczna szczeka stwarza problemy. Zostawiam uczestników samych, aby ich nie krępować. Sprawdzam maile.

Instytucja Zarządzająca Wielkopolskiego Regionalnego Programu Operacyjnego 2014+ przypomina o konieczności zachowania prawidłowego montażu finansowego założonego w umowie o dofinansowanie (równe 85% — UE, maksymalnie 10% — budżet państwa oraz minimalnie 5% — wkład własny łącznej kwoty wydatków kwalifikowalnych faktycznie rozliczonych całościowo w projekcie). Należy odpowiednio skorygować oświadczenie o rozliczeniu kwoty dofinansowania, by osiągnąć montaż finansowy projektu. Ponadto końcowa sumaryczna tabela oświadczenia zawiera błędne kwoty. Należy przesłać poprawione oświadczenie.

Wartość wskaźnika „Liczba osób zagrożonych ubóstwem lub wykluczeniem społecznym objętych usługami społecznymi świadczonymi w interesie ogólnym w programie” oraz „Liczba osób zagrożonych ubóstwem lub wykluczeniem społecznym objętych usługami wspierania rodziny i pieczy zastępczej w programie” jest niezgodna z wartością sumaryczną wykazaną w poprzednich wnioskach o płatność oraz z wartością osiągniętą w bieżącym okresie sprawozdawczym. Należy wyjaśnić/oświadczyć. W przypadku nieosiągnięcia wskaźnika na poziomie minimum 100% należy przesłać stosowne wyjaśnienia¹.

¹ Fragmenty pochodzą z pism przesyłanych przez instytucję zarządzającą beneficjentowi projektu.

W przerwie przychodzi Patryk. Brał udział w zajęciach cztery miesiące temu. Od tego czasu zdążył wstawić sobie brakującą jedynkę. Jest narkomanem po terapii. W projekcie zrobił kurs profesjonalnego sprzątania, po stażu dostał umowę o pracę na stałe. Dawniej mieszkał w ośrodku dla bezdomnych, teraz — w lokalu socjalnym. Od kolegi pracującego w zoo dostał pieska preriowego.

— Pokażę pani na zdjęciu. — Wyciąga z kieszeni dresowych spodni starą nokię. — O, tu jest, ale niewyraźnie widać, bo chowa się ciagle. A tak w ogóle, pani Joasiu, to przyszedłem podziękować. Bo dużo się u mnie zmieniło. Wy tu wszystko podajecie ludziom na tacy, tylko trzeba umieć z tego skorzystać.

Idę po kawę. Długim korytarzem o kulach sunie Paweł, medalista z paraolimpiady. Czeka na sportową emeryturę. Do czterdziestki zostało mu jeszcze siedem lat. Dostał pracę w klubie sportowym, uczy pływania.

Trwają zajęcia. Jowita ma atak padaczki, nagle osuwa się z krzesła na podłogę. Dzwonię po pogotowie, reszcie każe wyjść. Drgawki ustają po minucie. Jowita dochodzi do siebie. Podaję jej chusteczkę, wyciera ślinę. Prosi, aby odwołać pogotowie. Wychodzi posiedzieć w świetlicy. Stamtąd odbierze ją syn.

Po zajęciach przychodzi Michał, rocznik pięćdziesiąty czwarty. Ma na sobie czarny golf, jego włosy są białe jak mleko. W latach dziewięćdziesiątych był przedsiębiorcą. W firmie produkującej parkiety zatrudniał ponad sześćdziesiąt osób. Teraz mieszka w ośrodku dla bezdomnych.

— Jak się pan z tym czuje?

— To nie jest najgorsza sytuacja, jaką przeżyłem. W młodości siedem lat siedziałem za zabójstwo. Byłem niewinny. Proces poszlakowy. Moi bliscy doprowadzili do kasacji wyroku. Nie ma tego złego, bo w więzieniu nauczyłem się inkrustacji. Cuda potem robiłem. Ale przez to zniszczyłem sobie kolana i stawy.

— Co będzie dalej?

— Pochodzę na zajęcia, bo lubię. Widać, że u was nie ma ludzi przypadkowych. Skończę kurs komputerowy, to na pewno mi się przyda. Za rok emerytura. Wyjdę z ośrodka i coś wynajmę.

Muszę ochłonać. Wracam pieszo remontowanym Świętym Marcinem. Do późnego wieczora siedzę przy laptopie. W generatorze obsługi wniosków o płatność wprowadzam zmiany statusów dwustu osiemdziesięciu dwóch osób, tak by wskaźnik numer cztery stał się sumą wskaźników trzy, pięć i sześć.

Wtorek

Po ósmej na dworcu letnim jak co wtorek wsiadam w pociąg Regio do Szamotuł. Kilka znajomych twarzy: dziewczyna z togą na rękę, anglista podstawówki w Rokietnicy. Ludzie wracający po nocce do Kiekrza i Pamiątkowa. Zajmuję miejsce przy oknie. Otwieram komputer, sprawdzam maile, dzwonię. Pociągiem jestem na miejscu w pół godziny. Samochodem trwałoby to o wiele dłużej, jeżdżę nim tylko w zestawie: długa trasa plus duży bagaż.

W skrócie: jestem kimś w rodzaju urzędnika do wynajęcia lub project managera, jak kto woli.

W Szamotułach od dworca do PCPR mam kilka minut piechotą. W korytarzu na parterze przed biurem paszportowym kłębi się tłum. Ci ludzie już za kilka dni będą walczyć o leżaki przy hotelowych basenach w Egipcie. Są zupełnie inni od tych, z którymi na co dzień pracuję, kierując unijnym projektem. Ma on prawie trzymilionowy budżet i ponad pięciuset uczestników: niepełnosprawnych, rodziny zastępcze i te zwyczajne, zagrożone odebraniem dzieci, bo sobie nie radzą, seniorów walczących o to, aby nie trafić do domu pomocy społecznej, wychowanków domu dziecka, którzy nie chcą znaleźć się

na ulicy. Dla nich kupiliśmy nowe mieszkanie od dewelopera, wyposażone w meble z Ikea. Na razie mieszka w nim jedna dziewczyna z domu dziecka. Pracuje w fabryce czekolady i uczy się w liceum dla dorosłych. Chcemy to pokazać. Na dziesiątą przyjeżdża ekipa z telewizji ASTA. Niestety, bohaterka nie chce wystąpić. W pracy nikomu się nie przyznała, że mieszka w mieszkaniu od powiatu. Chce, aby tak zostało. W jej zastępstwie wypowiada się spięty starosta. Wygłasza tekst przygotowany wcześniej przeze mnie. I tak to wytną. Kilka słów dodaje dyrektor PCPR. Jedziemy kręcić materiał w domu dziecka, potem w pustym mieszkaniu. Opowiadam o projekcie, a na koniec pokazujemy niepełnosprawnego pana Jarka, który żyje w starej kamienicy przy rynku i w czynnościach życia codziennego pomaga mu asystentka z projektu.

O trzynastej ekipa telewizyjna jedzie na montaż, a ja do biura. Przez kilka kolejnych godzin będziemy siedzieć z księgową nad wnioskiem o płatność. W ciągu dwóch lat trwania projektu instytucja zarządzająca przysyła w centralnym systemie teleinformatycznym sto dziewięćdziesiąt pięć wiadomości. Każda odpowiedź wymaga wielu godzin obliczeń, pisania wyjaśnień i skanowania dziesiątków dokumentów. Każda wydana złotówka musi być opisana: numer zadania, numer dokumentu, nazwa towaru lub usługi, kwota dokumentu brutto, kategoria kosztów, wydatki kwalifikowalne. Usługi społeczne dla mieszkańców powiatu szamotulskiego świadczy czterdziestu pięciu specjalistów: psychologów, prawników, logopedów. Każdy ma założoną kartę pracy rozliczającą co do minuty czas poświęcony podopiecznym. W projekcie jest też czterech partnerów instytucjonalnych realizujących odrębne zadania. Pięciuset czterdziestu mieszkańców powiatu jest szczegółowo opisanych w formularzu Monitoring uczestników. Składałam to wszystko w całość. Dziś piąty, ostatni dzień roboczy na przesłanie dodatkowych wyjaśnień.

Pismo z instytucji zarządzającej z prośbą o wyjaśnienia może przyjść w każdej chwili. Podobnie jak informacja o kontroli. Dlatego urlopy spędzam tylko w kraju, a pocztę sprawdzam co godzinę.

— Pani Joanno, dyrektor mówił, że może pani wystawić fakturę.
— Księgowa narzuca kurtkę i wychodzi zapalić papierosa.

Z rozliczenia kosztów pośrednich wynika, że faktura może być wystawiona za dwa miesiące pracy. Bez wynagrodzenia, z koniecznością opłacania co miesiąc składek na ZUS, na własnym laptopie, telefonie i przy trybie stałego czuwania pracuję pięć miesięcy. Pieniądze z pewnością otrzymam, ale nie wiadomo kiedy.

Jest dziewiętnasta. Stoję na peronie, wdychając rześkie wieczorne powietrze. W głowie układam listę rzeczy do spakowania. Od jutra prowadzę szkolenie w Borach Tucholskich.

Środa

Darek podjeżdża o szóstą trzydzieści. Do bagażnika wrzucam tylko małą walizkę. Kilka lat temu, gdy z kolegą prowadziliśmy szkolenie w Kudowie, zmarł mój dziadek. Na pogrzeb pojechałam prosto ze szkolenia, pekaesem, walcząc z ogromnym bagażem. Od tego czasu zabieram jak najmniej rzeczy. W kartonach mam jeszcze rzutniki, flipczarty, materiały dla uczestników i segregatory z dokumentami: listę potwierdzającą skorzystanie z wyżywienia i zakwaterowania, listę potwierdzającą odbiór materiałów szkoleniowych, codzienną listę obecności, kartę usług doradcy zawodowego, kartę usług psychologa. I mnóstwo innych dokumentów — nawet wywieszki na drzwi informujące, że projekt jest współfinansowany ze środków Unii Europejskiej w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego. Takie są wymogi.

Jedziemy przez Gniezno, Bydgoszcz, Osielsko, Niewieściny i w lewo na Tleń. Odkąd w 2000 roku powstała Fundacja imienia

Królowej Polski Świętej Jadwigi, w branży zwana „Jadwigą”, z wolontaryjnej pracy trzech osób i prywatnych pieniędzy założycieli do dzisiaj przerodziła się w organizację, która dzięki funduszom unijnym pomogła tysiącom osób. Za sprawą odpowiedniego zarządzania i zatrudniania najlepszych w swoich dziedzinach specjalistów operuje milionami. Nie złotych. Euro. Przeznacza je na obozy rehabilitacyjne, na kursy zawodowe, na zakładanie spółdzielni socjalnych, stowarzyszeń i fundacji, na wsparcie matek, ojców i opiekunów dorosłych niepełnosprawnych, by mieli choć chwilę wytchnienia i czas na pozbieranie myśli. Na to, by w sferze działalności społecznej też mogły pojawić się pieniądze. Wreszcie na to, po co akurat przyjechaliśmy do Tlenia: by móc prowadzić kursy aktywnego poszukiwania pracy i kursy umiejętności społecznych. To impuls, aby chciało się chcieć. Od tego zaczyna się zmienianie życia na lepsze.

Autobus z grupą dojeżdża do ośrodka godzinę po nas. Wsiadają. Kółka walizek szurają po bruku. Część od razu staje przy popielniczce przed wejściem do budynku. Rozbiegane spojrzenia, nerwowe śmiechy, niepewność nadrabiana miną. Dwóch pijanych od razu odsyłamy tym samym autobusem do domu. Zaczyna się dobieranie w dwójki lub trójki, przydzielanie pokoi, wydawanie kluczy. Trzeba uwzględnić, kto na wózku, a kto o kulach. Czasem ani to, ani to, a z bólu uczestnik nie zejdzie z drugiego piętra. Przy okazji wybuchają małe kłótnie. Niektórzy w stresie reagują agresją. Potem obiad. Ciemny chleb do zupy znika w pierwszej kolejności. To są ludzie wyedukowani przez telewizyjne programy typu „Wiem, co jem”. To nic, że chleb tylko barwiony karmelem — kolor robi swoje. Przy śniadaniu też wiedzą, co zdrowe, i dyskutują na temat łączenia pomidora ze świeżym ogórkiem czy herbaty z cytryną.

Zebranie. Pierwszy kontakt z grupą. Rozdajemy materiały szkoleniowe, uczestnicy podpisują dokumenty. Wszystko trzeba wytłumaczyć, wyjaśnić zasady korzystania z ośrodka, odpowiedzieć na

setki często prozaicznych pytań. Trzeba to zrobić zrozumiałym językiem. Zupełnie innym niż ten, którym operuję w urzędowych dokumentach. Tam udział w projekcie biorą beneficjenci ostateczni, im przysługują: dwutygodniowy pobyt na obozie szkoleniowym, kurs komputerowy, wybrany kurs zawodowy i udział w płatnym stażu. Uczestnicy jednak widzą to inaczej.

— Jak tu od nas z miasta grupa była w lutym, wyjechali na basen. A my co mamy? — pyta mężczyzna z wąsem.

— Mamy szczyt sezonu letniego, macie państwo do dyspozycji strzeżone kąpielisko nad jeziorem oraz wycieczkę ze zwiedzaniem zamku w Świeciu i malowniczego Chełmna — odpowiadam.

— Ale to nie jest sprawiedliwe. — Były wojskowy nie ustaje w roszczeniach. — Ja was do TVN-u podam, jak niesprawiedliwie ludzi traktujecie.

— Nasza oferta jest taka i albo pan korzysta z całego pakietu, albo wcale — mówię spokojnie, lecz zdecydowanie.

Beneficjent szmerze coś jeszcze, odchodząc na bok.

— Przypominam, że udział we wszystkim, co oferujemy, jest bezpłatny. — Z obowiązku dodaję jeszcze formułkę o współfinansowaniu przez EFS.

— Bo my już myśleli, że za dwa tygodnie nam fakturę przyślecie — zaśmiewa się wesoła pięćdziesięciolatka z włosami farbowanymi na mahoń.

Wieczorem Darek słyszy, jak dwie panie pytają recepcjonistkę o możliwość zamiany usługi ośrodkowego masażysty na gotówkę. Są zawiedzione odpowiedzią, że to niemożliwe. Na kolacji brakuje Wiktora, sześćdziesięcioletniego ekonomisty, kiedyś dyrektora w spółce akcyjnej. Po wyciągnięciu firmy z kłopotów i po wielkich sukcesach został skierowany do pracy w nowym oddziale. Podczas delegacji na drugi koniec Polski znalazł towarzystwo butelki. W ciągu roku od kieliszka dobił do 0,7 litra każdego wieczoru. Z nowym oddziałem

się już nie udało. Po powrocie do domu okazało się, że żona kogoś sobie znalazła. Po rozwodzie mieszkają w jednym domu: Wiktor, była żona i jej nowy mąż. Z czwórki dzieci kontakt ma tylko z jednym z synów. Choruje na depresję i schizofrenię. Trudno z takim bagażem znaleźć pracę, więc żyje z zasiłku z MOPS-u. Współlokator Wiktora mówi, że nic nie wie, był w odwiedzinach na innym piętrze. Sprawdzam w pokoju. Włączony telewizor, TVP Historia, na stole niedopita kawa z fusami, tytoń i gilzy. Darek wychodzi poszukać zaginionego. Na wsi jest kilka lokali, ale tam go nie znajduje.

— Nie ma na co czekać — mówię. — Trzeba zgłosić zaginięcie. Dajmy szansę policjantom i strażakom, zanim zrobi się całkiem ciemno.

Formalnie odpowiadamy tylko za zajęcia z harmonogramu. Nie jesteśmy instytucją opiekuńczą. Uczestnicy po zajęciach moglibyśmy jechać do domu i wrócić rano na kolejne. Mimo to czujemy się za nich odpowiedzialni. Podobnie uważają policjanci, którzy są na miejscu już po kilkunastu minutach. Dla formalności badają nas alkometrem. Do pracy rusza pies tropiący. Niedawno przestał padać deszcz, a po ośrodku wciąż kręci się mnóstwo ludzi, więc pies szybko gubi ślad. Darek jedzie z policją szukać Wiktora. Ja zostaję w ośrodku, w razie gdyby mężczyzna wrócił. Wśród uczestników wybucha lekka histeria. Część osób chce się przyłączyć do poszukiwań. Przy bramie zawracam kilkoro z nich, gdy postanawiają iść do lasu. To nie będzie lekka noc.

Po dziesiątkach prób połączenia Wiktor wreszcie odbiera telefon.

— Gdzie jesteś?

— W lesie — mówi słabym głosem.

— Co widzisz?

— Drzewa i wodę.

Koło północy abonent jest już czasowo niedostępny. O czwartej nad ranem przychodzi SMS. Darek pisze jedno słowo: *Jest*.

Czwartek

Przy śniadaniu ogłaszam, że zaginiony się odnalazł. Prowadzę krótkie zajęcia z obiema grupami. Darek musi przespać się choć dwie godziny po nocnym przeczesywaniu borów. Idziemy do pokoju Wiktora, siedzimy z nim trochę. Prosi o wezwanie karetki. Nieopodal, w Świeciu, jest szpital dla nerwowo i psychicznie chorych.

— Nie widzę się w przyszłości — mówi. — Gdyby nie moja osiemdziesięcioletnia matka, już dawno bym ze sobą skończył.

Proponujemy spacer. Idziemy nad jezioro. Wiktor pali papierosa za papierosem. Ładnie opowiada o drzewach, o dolnośląskich zamkach i górskich szlakach. Wracamy. Po chwili pojawia się karetka. Wiktor bierze parciany plecak i wsiada. Podnoszę rękę na pożegnanie. Na balkonach widownia obserwuje scenę w milczeniu. Niektórzy robią zdjęcia. Karetka odjeżdża, a ja idę do pokoju. Ostatnio tak smutno było mi dziesięć lat temu, kiedy jako pracownik socjalny organizowałam pogrzeb nieznanego mężczyzny, którego zwłoki znaleziono w lesie. Wybierałam wtedy trumnę, model Opieka. Pamiętam do dziś.

Sprawdzam maile.

Beneficjent oświadczył, iż wydatek został poniesiony w ramach przeprowadzenia procedury rozeznania rynku w przedziale 5–20 tys. netto. Należy dostać pełną dokumentację potwierdzającą przeprowadzenie ww. procedury i zasadność wybrania właściwej oferty².

Wychodzę z pokoju na rozmowę doradczą. Pani o drobnej sylwetce i zmęczonej twarzy już czeka przed pomieszczeniem, które na co dzień jest gabinetem masażu.

² Tamże.

— Wiem, że my tu powinniśmy pracy szukać i uczyć się nowych rzeczy, ale ja się nie mogę teraz na niczym skupić. Córka zmarła dwa miesiące temu.

Podaje jej chusteczkę z pudełka. Trzęsącą się ręką wyciera łzy spływające po bruzdach na twarzy jak strumyki w górach.

— Dopiero co aplikację zrobiła, do kancelarii miała iść do pracy. Taka śliczna, mądra... Rak trzustki. Ale wie pani, jakby w ten ostatni dzień coś przeczuwała. Poprosiła mnie o pilniczek i lakier do paznokci, taki jasnoróżowy. „Żeby wam ładnie wyglądała na koniec”, powiedziała.

Siedzimy godzinę, pani Wanda opowiada o córce i młodszych dzieciach.

— Ale powiem pani, że cieszę się, że tu przyjechałam. Jedną panią ze swojej miejscowości tu poznałam. Razem na cmentarz będziemy chodzić, ona niedawno męża pochowała.

Kobieta wychodzi. Otwieram szeroko okno. Teraz Marcin, kawaler po czterdziestce. Wypracowywał zyski dla największego polskiego banku, który w raportach dla akcjonariuszy podaje zatrudnienie na poziomie blisko trzydziestu tysięcy etatów. Odszedł z powodu mobbingu. Przypomina mi się kilka innych przypadków uczestników projektów, byłych pracowników tego banku. Tego, żadnych innych. Pan Marcin miał załamanie nerwowe. Leczy depresję. Kilka poprawek w CV i może aplikować do pracy w administracji.

Po zakończonych rozmowach wracam do pokoju. Siadam do laptopa i piszę maile do partnerów projektu, instruując, które skany przygotować do wysyłki. Dochodzi dwudziesta trzecia. Wychodzę na balkon. Przy grillu trwa korporacyjna impreza integracyjna. Przyjechały dwa autobusy z szybami zaporowanymi od alkoholowych wyziewów. Panowie uzgadniają między sobą komunikaty dla żon o braku zasięgu „w tych lasach”. Bieganie po długich korytarzach, głośne śmiechy i odwiedziny w pokojach trwają do rana.

Piątek

Przed śniadaniem trzyosobowa delegacja zgłasza, że od jednej pani i jej syna, którzy są razem w pokoju, strasznie czuć. Idę na drugie piętro. Trafiam po zapachu. Pani i jej lekko upośledzony syn siedzą na tapczanach.

— Co się dzieje? Nie korzystacie z prysznic? — pytam.

Kobieta wzrusza ramionami i odwraca głowę w bok.

— Ja tam nie wiem — mamrocze po cichu. — My w domu nie mamy łazienki. Ino wygodkę w podwórku. W misce się myjemy.

Pokazuję co i jak.

Dzwoni pani z kontroli projektu. Pyta, czy mogę jej dosłać oświadczenie na temat kryteriów dostępu oraz politykę bezpieczeństwa jednego z partnerów. Wysyłam. Trwają zajęcia. Pytam uczestników o wrażenia.

— Ja tam się bałam wyjeżdżać — mówi pani Marysia. — Bo to na dwa tygodnie dom opuścić niełatwo. A tu okazuje się, że zięć potrafi sam sobie bułki do pracy naszykować.

— A my tu dużo rozmawiamy, pani Joasiu. I na zajęciach, i potem, jak spacerujemy. W domu nie ma na to czasu, żeby tak nad życiem się zastanowić. — Mężczyzna na wózku wzrusza się własnymi słowami. — I tu żeśmy uradzili, że stowarzyszenie będziemy zakładać. Żebyśmy mogli się częściej u siebie spotykać i sobie pomagać. I liczymy, że „Jadwiga” nam w tym pomoże.

Za trzy miesiące będę z nimi w wiejskiej świetlicy projektować logo nowego stowarzyszenia i układać plan pracy. Za dwa lata odbiorą nagrodę burmistrza za działalność na rzecz środowiska lokalnego.

Epilog

W Po-Dzielni na Głogowskiej układam kilka rzeczy na regałach. Genialne miejsce. Oddajesz, co zbędne, inni biorą za darmo. Dostrzegam panią profesor z Uniwersytetu Ekonomicznego, założycielkę Magazynu Dobra. Tam z kolei oddajesz rzeczy, a z ich sprzedaży co kwartał wspierana jest inna fundacja. Podchodzę, witam się, rozmawiamy chwilę o obu tych miejscach. U pani profesor pisałam pracę na temat odpowiedzialnej konsumpcji. Pomagam jej wyklądać na półki porcelanę z dużej torby z Biedronki. Pyta, czym zajmuję się zawodowo. Opowiadam pokrótce.

— Zazdroszczę pani — mówi. — Na pewno ma pani poczucie sensu.

Nie zaprzeczam.

Imiona bohaterów zostały zmienione. Prawdziwe są jedynie nazwiska i imiona pracowników Fundacji oraz Pana Jarka, bohatera reportażu TV ASTA.



**SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA
WIELKOPOLSKIEGO**



Posłowie Marka Woźniaka Marszałka Województwa Wielkopolskiego

Jesteście Państwo po lekturze zbioru reportaży, które powstały podczas warsztatów zorganizowanych przez Urząd Marszałkowski Województwa Wielkopolskiego. Ich uczestnicy zmierzili się z ideą pracy organicznej — zarówno jeśli chodzi o historyczny kontekst tego zjawiska, jak i o jego obecność w codziennym życiu współczesnych Wielkopolan. Bohaterami tekstów stali się dziewiętnastowieczni tytani pracy organicznej, działający w wielkopolskich miastach, miasteczkach i wsiach, między innymi Zofia Tułodziecka, Hipolit Cegielski, Dezydery Chłapowski czy Bibiana Moraczewska. Reportażysty jednak nie tylko zdali relację z tych aspektów ich działalności, które trwale zapisały się w historii naszego regionu, ale podjęli się trudniejszego zadania. Zaglądając za kuliszy oficjalnych biografii organiczników, odkryli przed czytelnikami szczegóły, dzięki którym w postaciach zna-

nych dzisiaj z pomników udaje się zobaczyć ludzi podobnych do nas, takich, z którymi dzielimy uczucia, emocje, marzenia i oczekiwania wobec życia. Cenne jest to, że autorom reportażu prezentowanych w tym tomie praca organiczna nie jawiła się jedynie jako idea sprzed ponad stu lat, posiadająca ogromną, ale jednak przede wszystkim historyczną wartość. Umieeli ją zobaczyć także współcześnie: w codziennym wysiłku nauczycieli, w działalności biblioteki, w koncertach chóru, którego śpiew towarzyszy lokalnym uroczystościom już od ponad stu lat. Niektórzy dostrzegli obecność owej idei w detalach własnego życia i odważyli się napisać o sobie jako o współczesnych propagatorach wartości pracy organicznej. Pomimo oczywistych różnic pomiędzy historycznym a współczesnym wizerunkiem organicznika wydaje się, że zarówno w XIX wieku, jak i dziś pracować organicznie to znaczy podejmować działania oparte na codziennym wysiłku, systematyczności, konsekwencji w dążeniu do celu. Zwykle nie są one spektakularne i nie przynoszą szybkich efektów, takich, które mają potem wysoką klikalność w Internecie i można o nich przeczytać na pierwszych stronach gazet. Ale w dłuższej perspektywie to właśnie one decydują o kształcie rzeczywistości, w której wszyscy żyjemy.

Mam nadzieję, że przedstawiony tom skłoni Państwa do refleksji na temat tego, jak na przestrzeni lat idea pracy organicznej zmieniała się, aby sprostać wyzwaniom, przed którymi stoimy dziś jako współcześni Wielkopolanie — spadkobiercy tych, którzy z pracy uczynili sztukę.

Niech ta książka stanie się równocześnie zaproszeniem do odwiedzania obiektów związanych z pracą organiczną, których jest w naszym regionie wiele. W najbliższych latach zostaną one połączone przez Samorząd Województwa Wielkopolskiego, stając się elementami Szlaku Pracy Organicznej. Dzięki niemu będziemy mogli w pełniejszy i ciekawszy sposób poznawać historię przebytej przez Wielkopolan drogi do wolności — drogi zakończonej zwycięskim powstaniem wielkopolskim 1918/1919 roku.

Biogramy

Piotr Bojarski — rocznik 1970, pisarz i publicysta z 24-letnim doświadczeniem pracy w mediach („Gazeta Poznańska”, „Gazeta Wyborcza”). Pochodzi ze Wschowy. Absolwent historii na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza. Laureat nagród wielkopolskiego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, finalista konkursu Grand Press w kategorii reportaż za tekst *Ewa Braun pisze do Ewy Braun* (2011). Autor książek reporterskich: *Cztery twarze Prusaka, Poznaniacy przeciwko swastyce* i *1956. Przebudzeni*, a także kilkunastu powieści — m.in.: *Juni* (nagroda dla najlepszej powieści o Poznaniu w 2016 roku), *Ściema*, *Biegacz*, *Cwaniaki* czy *Szmary*. Pracuje w Wydawnictwie Miejskim Poznań, prowadzi portal www.historiamowiona.poznan.pl. Nauczyciel w Maszynie do Pisania — kursach pisarskich.

Maciej Brzeziński — absolwent historii i stosunków międzynarodowych, specjalność wschodoznawstwo na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Od 2011 roku prowadzi blog o historii Poznania, rozszerzony niedawno o przeszłość i teraźniejszość Wielkopolski. Interesuje się historią powszechną i Polski XIX stulecia, historią Wielkopolski, architekturą i muzyką klasyczną. Uwielbia

długie spacery z psem po lesie, w wolnych chwilach czyta, słucha muzyki i gotuje. Stara się także jak najczęściej pisać i marzy o wydaniu własnej książki.

Joanna Ciechanowska-Barnuś — ukończyła filologię polską na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu; zawodowo związana z edukacją i doskonaleniem nauczycieli. Jest absolwentką Szkoły Liderów Polsko-Amerykańskiej Fundacji Wolności. Aktywnie działa w sektorze pozarządowym, angażując się w projekty społeczne, między innymi wspierające udział kobiet w życiu publicznym oraz dbające o prawo osób w wieku dojrzałym do aktywności i rozwoju. Dla równowagi pisze bloga www.senioralki.blogspot.com i publikuje felietony.

Magdalena Hrycz — absolwentka Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Pracowała w wielu różnych miejscach, najdłużej w instytucjach finansowych. Ma dwie pasje: literaturę i rękodzieło.

Anna Jantos — z wykształcenia historyk i ekonomistka, z zamiłowania — organizator wyjazdów i licencjonowany pilot wycieczek, z rozsądku — księgowa. Lubi brać udział w biegach na dystans 5 kilometrów, szczególnie gdy cel jest szczytny. Uprawia jogę, by pracować nad prawidłową postawą: ciała i moralną. Mama, która w wolnym czasie pisze opowiadania dla swoich dzieci.

Karolina Kozłowska — urodziła się w 1996 roku w Łodzi. Studentka dziennikarstwa i komunikacji społecznej ze specjalizacją dziennikarstwo muzyczne na Uniwersytecie Wrocławskim. Absolwentka Akademii Menedżerów Muzycznych i Tak Brzmi Miasto. Inkubator. Pisała dla portali internetowych Wyspa.fm, Kultura do góry nogami czy DlaStudenta.pl.

Alexander Mills — czterdziestolatek u progu kryzysu wieku średniego. Z zawodu architekt, duchem człowiek wolny. Rezyduje na wsi, hen daleko, za Notecią, gdzie jako rolnik amator próbuje prowadzić małe gospodarstwo. Miłośnik rzeczy analogowych, dobrych kryminałów, najlepszej fantastyki i przedwojennej literatury poradnikowej. Mąż jednej żony, ojciec szóstki dzieci, dla których i dzięki którym pisze to, co pisze.

Bartłomiej Najtkowski — urodził się w 1998 roku. Absolwent liceum ogólnokształcącego o profilu prawniczo-dziennikarskim we Wrześni, student dziennikarstwa na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Jest pasjonatem sportu i autorem licznych tekstów publicystycznych na temat piłki nożnej — m.in. na portalu PubSport, Tak Się Gra, w e-gazecie studenckiej „Sic!”. Interesuje się polityką krajową i międzynarodową. Fan teleturniejów i quizów, lubi zgłębiać wiedzę ogólną. Miłośnik książek, szczególnie z gatunku literatura faktu.

Janina Maria Kraszkiewicz — absolwentka filologii polskiej na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Pracuje w Szkole Podstawowej w Morawinie. Interesuje się literaturą, historią, geografą. Słuchając rocka, lubi rozwiązywać łamigłówki, szczególnie krzyżówki jolki i sudoku. Jest mamą trojga dorosłych dzieci i babcią sześciorga wnucząt.

Łukasz Opłatek — pasjonat reportażu, którym się zaczytuje i sam próbuje go pisać. Przez 10 lat dziennikarz lokalnych mediów, kilkakrotnie nagradzany (za reportaż, wywiad, dziennikarstwo śledcze i interwencyjne). Niepoprawny kopacz piłkarski — oj, miał kilka kontuzji — i smakosz innych kultur. Własny kawałek nieba znalazł w małej miejscowości na północy Wielkopolski i nie zamierza go zamieniać na żaden inny.

Przemysław Semczuk — dziennikarz, publicysta, autor książek z gatunku literatura faktu. Specjalizuje się w tematyce kryminalnej i historii Polski okresu PRL. Jego teksty można przeczytać w tygodnikach „Newsweek”, „Wprost”, „Gość Niedzielny”, w miesięcznikach „Focus Historia”, „Wysokie Obcasy Extra” czy „Playboy”. Autor reportaży historycznych: *Czarna wołga, kryminalna historia PRL*, *Wampir z Zagłębia* (nagrodzony Kryształową Kartą Polskiego Reportażu podczas Festiwalu Reportażu w Lublinie 2017), *Kryptonim Frankenstein* (Nagroda Publiczności Festiwalu Reportażu w Lublinie 2018) oraz *M jak morderca*. Napisał także biografię małego fiata. Wydał opartą na faktach powieść kryminalną *Tak będzie prościej* (nagrodzona Srebrnym Kluczykiem w plebiscycie tygodnika „Nowiny Jeleniogórskie” i Prezydenta Miasta Jeleniej Góry 2018) i jako kontynuację *To nie przypadek*. W 2016 roku został stypendystą Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Od kilku lat przy okazji spotkań autorskich prowadzi projekt edukacyjny dla młodzieży pt. „Oparte na faktach”, pokazując powiązania literatury i filmu z prawdziwymi wydarzeniami. Pasjonat historii najnowszej, muzyki filmowej i gór. Jako uczeń szkoły muzycznej grał w orkiestrze na instrumentach perkusyjnych.

Patryk Rzemyszkiewicz — magister historii, ale bardziej skupiony na teraźniejszości niż przeszłości. Na co dzień oddany kulturze w każdej formie, z nastawieniem na kinematografię i literaturę. W wolnych chwilach spędza czas z rodziną i pisze w nadziei, że urodzi się z tego dobra książka.

Ewa Spławska — autorka opowiadań historycznych i kryminalnych. Zwycięzczyni ogólnopolskiego konkursu „Stulecie Polskiego Kryminału” w 2019 roku w kategorii opowiadań retro „Kryminał sto lat temu”. Laureatka konkursów na opowiadanie kryminalne

oraz treatment filmowy w latach 2015–2017 w ramach Międzynarodowego Festiwalu Kryminału we Wrocławiu. Pasjonatka reportażu historycznego, ulubiony obszar badawczy to I wojna światowa i dwudziestolecie międzywojenne. Z wykształcenia radca prawny, absolwentka Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, na co dzień zajmuje się prawem rodzinnym i medycznym.

Marcel Woźniak — autor trylogii kryminalnej *Powtórka* (2017), *Mgnienie* (2017), *Otchłań* (2018) oraz książki *Biografia Leopolda Tyrmanda. Moja śmierć będzie taka jak moje życie* (2016), za którą otrzymał nagrodę Magazynu Literackiego „Książki”. Współautor powieści *Tysiąc obsesji* (2019). Laureat wyróżnienia Komendanta Głównego Policji za opowiadanie *Granatowa cisza* (2019). Twórca scenariuszy seriali telewizyjnych (TVN, Polsat Café), absolwent Adaptacji Scenariuszowej w Warszawskiej Szkole Filmowej, doktorant literaturoznawstwa na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Urodzony w Kwidzynie, „mieście tysiąca rond”. Mieszka w Toruniu, „mieście aniołów”.

Maria Sobczak — ukończyła Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Od lat wierzy w moc literatury. Wychowana w duchu organiczników, podejmuje działania, które mają zachęcić młodych ludzi do czytania, zdobywania wiedzy, poznawania kultury i języków krajów Unii Europejskiej. Realizuje projekty finansowane przez UE, by otwierać przed młodymi nowe horyzonty i nowe możliwości.

Klaudia Siekańska — dorosłe życie zaczęła od pracy dziennikarki lokalnej. To właśnie w niej zrozumiała, że pisanie może stać się jej pasją. „Może”, ponieważ nadal to odkrywa i uczy się pisanie. W poszukiwaniu sensu i spełnienia zawodowego ponad rok temu mikrofon i pióro zamieniła na biurko, stając się na krótko doradcą zawo-

dowym. To doświadczenie doprowadziło ją do miejsca, które uważa obecnie za idealne połączenie. Od kilku miesięcy spełnia i rozwija się w komunikacji społecznej oraz CSR.

Joanna Żołądkowska — absolwentka Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza oraz Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu. Socjolog, doradca zawodowy, trener warsztatów umiejętności społecznych i zawodowych. Koordynator projektów unijnych realizowanych na rzecz osób zagrożonych wykluczeniem społecznym. Entuzjastka klasyki i kolekcjonerka książek poświęconych modzie. Fanka i mieszkanka Starego Miasta w Poznaniu.

Spis treści

Marcin Kącki, Pylek rzeczywistości.....	5
Piotr Bojarski, <i>Urodzony w Trzech Króli</i>	7
Maciej Brzeziński, <i>Trzej mocarze</i>	25
Joanna Ciechanowska-Barnuś, <i>Bogu miła mrówa</i>	43
Magdalena Hrycz, <i>Podzielmy się na dzielni</i>	63
Anna Jantos, <i>W kobiecych rękach</i>	83
Karolina Kozłowska, <i>Tutaj nikt nie czyta</i>	103
Alexander Mills, <i>Pamiętnik z drugiego życia</i>	117
Bartłomiej Najtkowski, <i>Pionier i wizjoner</i>	135
Janina Kraszkiewicz, <i>Przyszedłem przychylić wam nieba i chleba</i> ..	145
Łukasz Oplatek, <i>Nie oczekuj podziękowań</i>	161
Przemysław Semczuk, <i>Cześć pieśni!</i>	171
Patryk Rzemyszkiewicz, <i>Można inaczej</i>	185
Ewa Spławska, <i>Popsuta reputacja</i>	203
Marcel Woźniak, <i>Biało-czerwona szachownica braci Kopów</i>	223
Maria Sobczak, <i>Nowe siłaczki</i>	241

Klaudia Siekańska, <i>Jakoś to będzie</i>	255
Joanna Żołądkowska, „ <i>Jadwiga</i> ” w drodze	275
Posłowie Marszałka Województwa Wielkopolskiego	293
Biogramy.....	295

